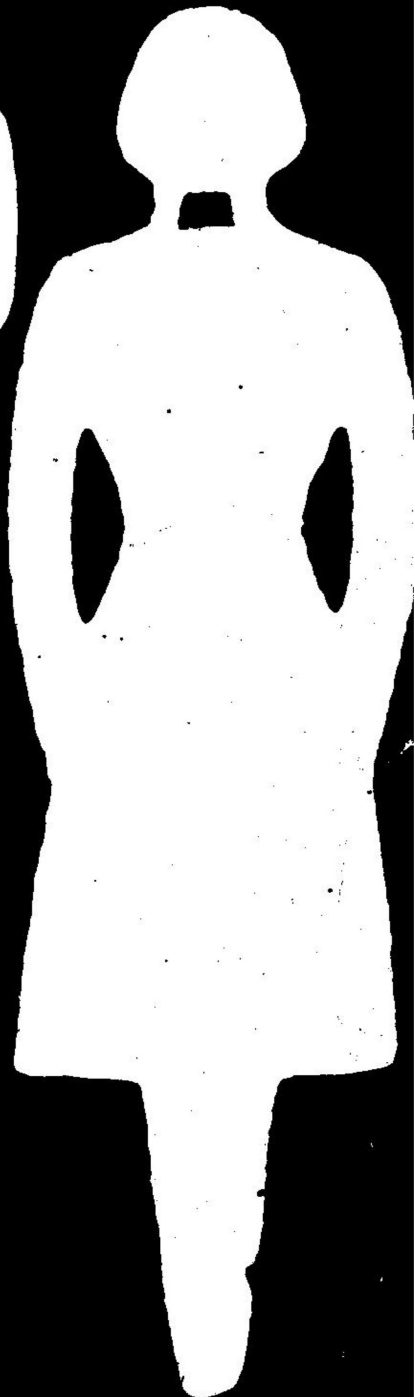
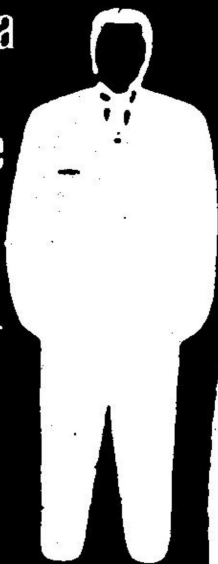




Mężczyzna
w skórza-
nej kurtce
usiadł na

fotelu naprzeciw dwojga
ludzi o zmieszanych, po-
bladłych twarzach.



URLOP Z MORDERCĄ

przyglądając się im
z drwiącym uśmiechem.
– Mam nadzieję, żeście nas
nie okłamali – powiedział,
skandując słowa tonem
pełnym okrutnej satysfakcji

ZOFIA KACZOROWSKA

CZYTELNIK

Ali-Baba

Zofia

Kaczorowska

urlop
z mordercą

Czytelnik
Warszawa
1985

Rozdział I

Albinosku, co robisz dzisiaj wieczorem? Chyba nie masz zamiaru znowu siedzieć sama. Powinnaś przynajmniej pójść trochę na spacer.

Moja córka Monika przyglądała mi się krytycznie jak Jakiemuś osobliwemu okazowi rodu ludzkiego, mającemu niewiele wspólnego z normalną współczesną kobietą żyjącą w drugiej połowie XX wieku. Odkąd przerosła mnie o pół głowy, uznała się za moją opiekunkę i objęła ster rządów w naszym małym gospodarstwie. Obecnie miała dwadzieścia cztery lata, była dorosłą, dojrzałą dziewczyną i czasem wydawało mi się, że jest starsza ode mnie, gdyż mój rozwój intelektualno-uczuciowy doznał w swoim czasie gwałtownego i pod wieloma względami nieodwracalnego zahamowania, a jej postępował wciąż naprzód w sposób bujny i dynamiczny.

- Albinosku, mówię poważnie, tobie stanowczo potrzebna jest jakaś rozrywka - ciągnęła Monika tonem, jakim przemawia się do małego dziecka. - Dlaczego nie umówisz się z Kamilem do kina, do teatru? Dzwonił ostatnio tyle razy. Nie krzyw się. Wiem, że nie lubisz z nim chodzić. No - to z jakąś znajomą babką. Organizujecie przecież spotkania koleżeńskie. Sama mówiłaś kiedyś, że są bardzo przyjemne i ni stąd, ni zowąd przestały cię interesować. Naprawdę, zupełnie cię nie rozumiem, dlaczego nie chcesz widywać się z ludźmi. Wiesz, że czasami boję się o ciebie.

Pozwoliłam jej mówić, gdyż lubiłam na nią patrzeć, szczególnie gdy wpadała w zapał oratorski, mający na celu pobudzenie mnie do aktywnego życia. Gdy tak stała w niedbalej pozie, wysoka, w długich spodniach, uwydatniających jej zgrabne kształty, w grubym wełnianym swetrze -jako że wieczór był wyjątkowo chłodny, już gotowa do wyjścia, a jeszcze myślami przy mnie, ze złocistą grzywą włosów rozsypujących się przy każdym słowie, była mi jednocześnie bliska i obca. Bliska - bo stanowiła część mojego „ja”, mój aplegierek rozwijający się przy mnie od początku swego

istnienia, obca - bo żyła w innym własnym świecie, tak kontrastowo różnym od mojego, że nie mieścił się w wymiarach mych pojęć - i nie było już dla mnie w nim miejsca.

- Mamo, o czym teraz myślisz? Wcale mnie nie słuchasz. Mam rację, że dziwaczniejsza.

- Wiesz, to jest naprawdę śmieszne - powiedziałam -nie możesz zrozumieć najprostszej rzeczy, że jestem najzwyczajniej w świecie zmęczona po pracy i dlatego najchętniej przebywam na własnych śmieciach. Zamiast urągać rodzonej matce, powinnaś wreszcie iść na randkę. Pewno Marek już cię szuka po wszystkich lokalach rozrywkowych Warszawy, żeby cię przyłapać z jakimś chłopakiem. A kysz! Już ciebie tu nie ma! Przez to twoje gderanie nie wyjdzie mi pasjans.

- Nie martw się, zaraz pójdę. Ale powiedz, czy ty jedziesz na tę wycieczkę do Bułgarii? Widzę, że się wcale nie przygotowujesz, a przecież wyjazd za niecałe dwa tygodnie.

- Proszę cię, przestań mnie dzisiaj zamęczać. Najpierw chciałaś, żebym leciała na spacer, a teraz wysyłasz mnie za granicę. Chyba nie przypuszczałaś, że wzięłam na serio tę propozycję Kaniszowej? Mam tak nagle wszystko rzucić? Co bym tam robiła? Będę objać się po obcym kraju, zamiast zajmować się własnym domem? Też pomysł.

- Mamo, bądź raz rozsądna. Przecież taki wyjazd - to bomba! Opalisz się, nawdychasz jodu i to wprost za psie pieniądze. Musisz się zdecydować.

- Już zdecydowałam. Nie jadę.

- Ale ty jesteś uparta. Przecież nie wysadzasz nosa za ten próg przynajmniej od dziesięciu lat. Ja stale jeździłam na kolonie, obozy, a ty siedziałaś w mieszkaniu jak żywcem zamurowana. W końcu odbije się to na twoim zdrowiu - bądź pewna. A teraz masz taką wspaniałą okazję do wypoczynku i chcesz ją zmarnować. Jak cię znam - nigdy-byś nie poszła z własnej inicjatywy do „Orbisu”, żeby sobie załatwić jakąkolwiek wycieczkę zagraniczną. Przecież tobie nawet po kraju nie chce się ruszać.

- Moniko, pozwól mi robić, co mi się podoba. Mówiłam ci już, że teraz mam ochotę postawić sobie pasjansa, a ty mi nie

dajesz, bo stoisz nade mną jak kat nad dobrą duszą zamiast lecieć do swego chłopaka.

- Idę - Monika wyjęła z przewieszonej przez ramię konduktorki jasną pomadkę do ust i przesunęła nią po wargach. - Ale radzę ci raz jeszcze przemyśleć sprawę wyjazdu. Zaraz powiesz, że cię męczę, ale z tobą nie można inaczej. Zachowujesz się zupełnie jak małe dziecko.

Monika energicznie trzasnęła drzwiami. Zostałam sama i poczułam znaczną ulgę. Teraz będę mogła rozporządzić Wolnym czasem zgodnie ze swoimi upodobaniami. Przed wszystkim filiżanka mocnej czarnej kawy, o ile uda mi się przy jej przygotowywaniu nie spalić czajnika, ulubiony papieros i pasjans. Dzisiejszy dzień w biurze był wyczerpujący. Naprawdę, nie chciałoby mi się wyjść z domu nawet na randkę z szachem perskim. Mimo woli spojrzalam na stojący na biurku kalendarz. To dziwne, ale chyba po raz pierwszy od 25 lat nie obudziłam się tego rana ze świadomością, że jest to pierwszy sierpnia, rocznica powstania warszawskiego. Jednak zgodnie z nawykiem lat ubiegłych wystarczyło mi przymknąć oczy, żeby zobaczyć siebie - Idę Czerską - roześmianą, rozchichotaną dziewiętnastoletnią dziewczynę, opaloną lipcowym słońcem, o platynowych włosach, białych brwiach i rzęsach, biegnącą W dół Agrykołą do Myśliwieckiej, trzymając się za ręce z Łukaszem, z oczyma zatopionymi w jego oczach, niepomierną okropności i nieszczęścia wojny, wymieniającą z nim ukradkowe, gorące pocałunki pod gołym niebem.

Łukasz ... Przemknął przez moje życie jak meteor, ale w mojej pamięci utrwalił się na zawsze jego uśmiech, kiedy był zadowolony i szczęśliwy, że jesteśmy razem blisko siebie, groźne zmarszczenie brwi, kiedy był głęboko, niemal okrutnie zazdrosny o każde moje spojrzenie w stronę innego mężczyzny, dotyk jego dłoni, szorstkość marynarki, do której często tuliłam policzki, wszystko...

Poznaliśmy się na studiach, na wydziale prawa tajnego uniwersytetu, rozcząstkowanego na szereg kompletów, zakonspirowanych w prywatnych mieszkaniach studentów i profesorów. Uczęszczaliśmy na ten sam rok i ten sam komplet,

mimo iż Łukasz był o trzy lata starszy ode mnie, ale w owych czasach nie było w tym nic dziwnego. Najpierw łączyły nas przypadkowe zetknięcia rąk w czasie wykładów, kiedy gasło światło i trzeba było pośpiesznie zapalać karbidówkę, jakiś taniec przy dźwiękach „Habanyry”, wydobywającej się z piskiem z półzjechanej płyty, spaceru nad Wisłą, wycieczki pod Warszawę w gronie kolegów, którzy stale ubywali ze wspólnych szeregów. I nagle wszystko, co działo się poza nami, straciło swój sens i znaczenie. Pamiętam zrozpaczone spojrzenie mamy: -Ida, na litość boską, gdzie ty znów lecisz? Jest tak późno! Nie zdążysz przed godziną policyjną! - i wyrozumiały uśmiech babci drepczącej o kijku wokół stołu. Nikt już nam nie był potrzebny. Byliśmy na świecie tylko my dwoje, młodzi, egocentryczni, zakochani. Łukasz pisał wiersze, hymny na cześć miłości, wzruszające, bezradne, a potem coraz bardziej dojrzałe. Miałam je wszystkie w szufladzie swojego biurka, starannie ukryte przed okiem matki, ale spłonęły razem z mieszkaniem w gruzach Warszawy. Był czuły, troskliwy, przeżywał tylko niepotrzebnie męki zazdrości, gdyż żaden inny chłopiec dla mnie nie istniał, ale najwidoczniej leżało to w jego naturze. Zazdrość i jej wybuchy, których czasami prawie się bałam, były paliwem podsycającym jego twórczość, natchnienie poetyckie. Zresztą często śmiechem rozpraszałam jego dziwaczne pretensje, a nieraz sprzeczaaliśmy się, aby tym goręcej się przepraszać.

A potem wybuchło powstanie. Ja byłam łączniczką, on walczył jak inni młodzi o każdą cegłę, o każdą grudę ziemi. Przemykaliśmy się piwnicami, kanałami, czarni, osmaleni od ognia, z opaskami na rękawach. A potem gdzieś wśród huku bomb padaliśmy sobie w ramiona, by przysięgać wierność i dozgonną miłość.

Czajnik zaczął gwałtownie podskakiwać na kuchence. Szybko powróciłam do rzeczywistości i zerwałam się z fotela. Na szczęście jeszcze w porę, w ostatniej chwili. Monika ma rację, że jestem nie zrównoważona psychicznie. W końcu całe mieszkanie puszcze z dymem. Zapaliłam papierosa, otworzyłam radio, w którym nadawano właśnie słuchowisko o

powstaniu warszawskim: o walce, bohaterstwie, smutnej miłości bez jutra.

Więc jak to było? Pod koniec sierpnia postanowiliśmy się pobrać. Ślub miał być zawarty w piwnicy, z całą pompą i ceremoniałem, jaki towarzyszył wszystkim powstańczym związkom. O świcie tego dnia przybiegł Łukasz blade, ręce mu drżały. Wiedziałam, że stało się coś strasznego i nieodwracalnego. I tak było w istocie. Jego oddział został odkomenderowany do natarcia na uniwersytet i musiał natychmiast przedrzeć się kanałami do Śródmieścia. Ostatni uścisk, ostatni pocałunek... W rękę została mi kartka papieru z pożegnalnym wierszem, którą zachowałam do dnia dzisiejszego, pożółkłą, czarną od powstańczego dymu. Znam każdą zgłoskę na pamięć.

Ido, los nas rozdziela,
Nie przyniosłem ci kwiatów,
Zamiast pieśni wesela
-Huk i ogień granatów.
W twoich oczach dziewczęcych
-Krzyk skrwawionej Warszawy,
W twoich dłoniach młodzieńczych
Sztandar chwały i sławy!
Ido, żono w żałobie,
Kartę dziejów odwrócę,
Będę zawsze przy tobie
I po śmierci też wrócę!

Tak napisał Łukasz w ów pamiętny poranek sierpniowy i wtedy też widziałam go po raz ostatni w życiu.

Popiół z papierosa wraz z żarzącym się ogarkiem wpadł mi w szeroki rękaw szlafroka. Syknęłam, ale natychmiast zapanowałam nad bólem. Czajnik znów zaczął wyczyniać niesamowity taniec na kuchence. Złorzeczając pod nosem na własną głupotę ponownie nastawiłam wodę na kawę. W audycji radiowej głosy aktorów mieszały się z hukami bomb i rozrywających się granatów. Nie wsłuchiwałam się w tekst, ale

zdawało mi się, że jestem tam z nimi, ćwierć wieku temu, że walczę samotna i zrozpaczona, tak jak wówczas, bez żadnej wiadomości od Łukasza. Kiedy wychodziłam z Warszawy na początku października, byłam już pewna, że jestem w ciąży, i wiedziałam, że matka moja i babka zginęły pod gruzami domu na ulicy Hożej.

Przez obóz w Pruszkowie udało mi się przeszwarcować w zwojach bandaży, mimo iż zrządzeniem losu nie odniosłam najmniejszego zadrasnięcia. W ten sposób można było wyprowadzić czasem w pole Niemców i uniknąć dalszej poniewierki w niewoli. Wtedy przypominałam sobie, że w Leśnej Podkowie mieszka w swojej posiadłości daleka, zamożna krewna ojca, pani Zofia, słynąca w całej rodzinie z przeciwstawnych cech charakteru: ze skrajnego skąpstwa i historycznej niemal filantropii jednocześnie. A pora była już ku temu najwyższa, bowiem nie miałam ani grosza przy duszy, od dwudziestu czterech godzin nic w ustach, a przy życiu trzymała mnie tylko jedna myśl, że Łukasz żyje - i na pewno mnie odszuka, gdziekolwiek bym się nie znajdowała.

Pani Zofia - osoba wysokiego wzrostu w żałobnej czerni, z równie czarnym kokiem na głowie, miała aktualnie u siebie w domu dwadzieścia pięć osób z Warszawy, w tym sześciu profesorów, dwóch doktorów medycyny i trzech adwokatów z rodzinami lub bez oraz dziesięć rasowych psów. Było to towarzystwo, którym na co dzień lubiła się otaczać i przed powstaniem. Przyjęła mnie z profesjonalnym, udręczonym obliczem godnym matki Grakchów, zaciskając splecione ręce na podolku.

Oczywiście o roli dwudziestej szóstej pensjonariuszki już być nie mogło mowy, otrzymałam natomiast jako najmłodsza w tym gronie i najniżej postawiona w hierarchii społecznej - nominację na starszą pomoc kuchenną. Przez kilka miesięcy twardo i zaciekle wypracowywałam w niej kawałek chleba, ażeby tylko wytrwać, czując pod sercem dziecko, nasze dziecko, które powinno było i musiało przeżyć razem ze mną ten tragiczny okres. Rąbałam drzewo, paliłam w piecach, zmywałam talerze i garnki, nosiłam toboły z prowiantami.

Miałam ręce spękane na mrozie, a nogi tak spuchnięte, że trudno mi się było poruszać.

Po pewnym czasie moja chlebodawczyni i krewniaczka zaczęła mi się przyglądać coraz baczniej. Jej ciężkie spojrzenie ześlizgiwało się po mojej zniekształconej postaci. Wreszcie pewnego popołudnia, pod koniec lutego, kiedy ścisnął tęgi mróz, a moje jedyne buty wypowiedziały posłuszeństwo, pani Zofia z kwaśną miną cierpiętniczki wezwała mnie na zasadniczą rozmowę.

- Nie powiedziałaś mi, moja droga, że jesteś w ciąży, wprowadziłaś mnie w błąd. Jak mi wiadomo - nie jesteś zamężna. Sama chyba rozumiesz, że w naszych kręgach towarzyskich taka sytuacja jest oględnie mówiąc nie do przyjęcia. Profesor Błamowiecki jest człowiekiem starej daty, mecenasowa Grobowińska - to z domu hrabianka Szamotulska z Szamotułów, trudno więc... Jednym słowem mimo iż jesteśmy w pewnym stopniu spokrewnione, twoja dalsza obecność w moim domu nie jest możliwa. Żebyś jednak chwilowo mogła się urządzić, chcę ci dać trochę pieniędzy. Może siostry zakonne wezmą cię do siebie - tu moja dobrodziejka usiłowała wetknąć mi w rękę kilka banknotów.

- Nie! - krzyknęłam przeraźliwie-nie! nie! - pieniądze rozsypały się na podłogę, a ja wybiegłam tak jak stałam na śnieg, na mróz, prosto przed siebie, zrozpaczona i niezdolna zrozumieć, że to, co uważałam za świętość, za swój wielki obowiązek: utrzymanie przy życiu i urodzenie dziecka Łukasza - może być przez kogoś poczytane za obrazę moralności. Nie wiem, jak długo biegłam, otulona jakąś starą, podartą chustą, którą akurat miałam na sobie, z gołą głową, dotykając prawie bosymi nogami zlodowaciałej ziemi, aby jak najprędzej oddalić się od tego straszego domu, bo wkrótce przewróciłam się i straciłam przytomność. I byłabym pewnie została tam na zawsze w charakterze sopolka lodu, gdyby nie odnalazła mnie przypadkiem Marta Grzebieniowa, była gosposia pani Zofii, która mnie знаła od dziecka. Świadomość życia odzyskałam w jej małym, ciasnym mieszkanku w Milanówku i tam już pozostałam przeszło rok. Długu, jaki zaciągnęłam wobec tej

starszej, steranej pracą kobiety, nie można by spłacić żadnymi walorami doczesnymi. Trochę szorstka w obejściu, ale o gołęmb sercu, roztoczyła nade mną macierzyńską opiekę. Pod jej skrzydłami urodziła się Monika i tam przetrwała pierwszy rok swego życia, które nie zapowiadało się na długo, gdyż podobnie niewydarzonego, chudego, zabiedzonego noworodka trudno by znaleźć na całej kuli ziemskiej. Ja natomiast nie mogłam się wygrzebać z powikłań po zapaleniu płuc nabytym w następstwie zemdlenia na śniegu, a do tego przyłączyła się apatia i niechęć do jakiegokolwiek wysiłku umysłowego i fizycznego. Nawet nie ja, a Marta zarejestrowała urodzenie

dziecka w Urzędzie Stanu Cywilnego, gdyż dla mnie wszelkie sprawy doczesne były całkowicie obojętne. W owym okresie ważyłam czterdzieści trzy kilo i wyglądałam jak śmierć angielska. Na takie dwa chuchra zapracowywała się Grzebieniowa do granic ludzkich możliwości, piorąc, sprzątając, rąbiąc drwa po ludziach. Wieczorem po pracy ocierała dosłownie nam obu nosy, gdyż ja byłam prawie tak samo nieporadna jak dziecko, które wydałam na świat.

W ten sposób niepostrzeżenie dla mnie przyszedł koniec wojny, zaczął się okres powrotu jeńców, więźniów z obozów, wzajemne żywiołowe poszukiwanie się członków rodzin rozdzielonych przez działania wojenne, a ja nadal pozostawałam bierna i nieczuła na wszystko, co mnie otaczało. Dopiero kiedy Monika spojrzała na mnie uważnie i z wyraźną dezaprobatą brązowymi oczyma Łukasza, fakt, że on mnie nie szuka, że nie mam od niego żadnej wiadomości, dotarł do mnie z brutalną świadomością, zmobilizował do działania i obudził do nowego życia. Zaczęłam więcej jeść, aby nabrać siły, i wyruszyłam do Warszawy.

Trudno opisać uczucia, jakich doznawałam, idąc w kierunku ulicy Oboźnej, gdzie przed powstaniem mieszkał Łukasz z rodzicami. Łudziłam się, że może na gruzach znajdę jakąś kartkę, tabliczkę, ślad życia, gdyż wówczas pozostawianie na szczątkach domów informacji o bliskich było powszechnie stosowane. Jakież ogromne było moje zdziwienie i wzruszenie, kiedy zobaczyłam, że dom, którego szukam, stoi prawie nie

naruszony, a mieszkanie Świro-niów ocalało. Serce tańczyło mi w piersi rozszalałego kankana, kiedy pukałam do podziurawionych kulami drzwi. Otworzyła mi je jakaś zgarbiona, chuda kobieta z chustką naciśniętą na oczy, w której z niemalą trudnością po dłuższej chwili rozpoznałam matkę Łukasza. Ona jednak potraktowała mnie jak zupełnie obcą osobę, nie wpuściła do środka, patrząc z niechęcią błyszczącymi rozgorączkowanymi oczyma. Płacząc złapałam ją za ręce, potrząsałam nimi, obsypywałam je pocałunkami.

- Łukasz... - powiedziała wreszcie - nic o nim nie wiem, nie wraca, nie pisze. Byli tu niedawno jego koledzy. Mówili, że zginął, widzieli jego trupa - zaniósł się nagle krótkim, urywanym szlochem. - Nie powinni mi byli tego powiedzieć, nie powinni... Pewnie tak jest, bo przecież nie zostawiłby mnie tak samej, już dawno by przyszedł do domu. Ale kto ty właściwie jesteś? Łukasz miał dziewczynę, nosił jej fotografię, ale ty nie jesteś do niej podobna, tylko te włosy... Ja wiem, chcesz z nim porozmawiać. Noto chodź do mieszkania, może już wrócił ze szkoły. Dzisiaj miał tylko pięć godzin. Powinien już być. Obiad dawno gotowy, ale on często się spóźnia i gubi książki. Raz zostawił w parku teczkę... było tyle kłopotu. Ale teraz jest spokojny, bardzo spokojny... - Nagle zrobiło mi się tak słabo, że ziemia zawirowała mi pod nogami. Jakaś obca kobieta o przyjemnej, uśmiechniętej twarzy objęła mnie wpół i zaprowadziła na pobliską ławkę.

- Niech pani odpocznie - zaraz przyniosę pani wody. Pani Świroniowa jest bardzo nieszczęśliwa. Straciła w czasie powstania męża i syna. Ona nie zawsze zdaje sobie sprawę z tego, co mówi. Powinna się leczyć. Jutro ma przyjechać do niej siostra. Pewno się nią zajmie.

Wspomnienia przerwała mi prozaiczna czynność, nalanie kawy do filiżanki. Sparzyłam sobie wprawdzie przy tym trochę palce, ale na szczęście zupełnie nieszkodliwie. A kawa jest smaczna, czarna, pachnąca. Zresztą na wszystkie bóle i cierpienia fizyczne jestem całkowicie odporna. Przez tak długo nie mogłam sobie pozwolić na najmniejszą słabość, że teraz tylko chyba trzęsienie ziemi mogłoby mnie zwalić z nóg.

Jeszcze tego samego dnia, kiedy szłam przed siebie wśród ruin i zgłiszcz budzącej się do życia Warszawy z drewnianą twarzą i na wpół oślepyłymi od łez oczyma, z dziwną świadomością, że zostałam absolutnie sama na świecie z Moniką, między obcymi ludźmi, spotkałam niespodziewanie Irenę — koleżankę szkolną, najbliższą i najlepszą przyjaciółkę. Chwyła mnie w objęcia i zaczęła wydziwiać: - Ida, coś ty taka błada? Co się z tobą dzieje? Musisz zaraz pójść do mnie. Co robisz? Tyle mam ci do powiedzenia!

Irena była zawsze usposobiona życzliwie do całego świata, poza tym miała wrodzoną żyłkę organizatorską, reprezentując wspaniały okaz społecznicy poświęcającej się dla idei. Natychmiast zaciągnęła mnie po walących się, prawie zasypanych schodach i po przystawionych na dokładkę drabinach z pozoru ocalałej kamienicy - do pokoju, posiadającego pół sufitu, ze wspaniałym widokiem w drugiej jego połowie na warszawskie niebo.

- Prawda, jakie klawe mieszkanie? Nawet niedługo będzie elektryczność. Możesz się zaraz do mnie sprowadzić. I dostaniesz pracę w pierwszorzędnej fabryce „Lam-polu” — zdecydowała za mnie. — Jest stołówka, świetlica i inne urządzenia socjalne. Zabieramy się za produkcję lamp radiowych. Wiesz, zakład powstał na bazie przedwojennej, prywatnej fabryki, teraz się go modernizuje. Możemy cię zatrudnić jako maszynistkę na hali maszyn albo w produkcji. Jak wolisz. Ale w produkcji można dużo więcej zarobić, oczywiście jeżeli ktoś się nie boi roboty. No to kiedy się sprowadzasz?

- Jest mała komplikacja - z zażenowaniem spojrzałam na przewiewny sufit - mam roczne dziecko.

- A! - Irena rozchyliła usta, miała zabawny zwyczaj szerokiego ich otwierania ze zdziwienia - to nieco zmienia postać rzeczy. Ale to nic. W takim razie zorganizujemy ci pokój w hotelu robotniczym. - To posługiwanie się przez nią liczbą mnogą w stylu: „zorganizujemy, zrobimy” -miało oznaczać przynależność Ireny do aktywu działającego dla dobra ludzkości. Irena wręcz pałała żądzą przyjscia ludziom z pomocą

i taka była naprawdę.

-Nic się nie martw, dziecko to fajna rzecz. Pójdzie do żłobka przyzakładowego - szybko przeszła do porządku dziennego nad tą sprawą, jakby z natury rzeczy mogło pochodzić z dzieworódtwa. I stało się tak, jak mówiła. Po kilku dniach zaczęłam pracować w „Lampolu”, oczywiście jako robotnica, żeby jak najwięcej zarobić i za pomocą różnych sztuczek gorącej mojej popieczniczki Ireny, wielkiej działaczki na terenie zakładu, otrzymałam wkrótce maleńką, ale osobną izbę w hotelu robotniczym dla siebie i dla Moniki.

Biedna Irena - dziesięć lat temu umarła na raka. To był wspaniały człowiek, ale miała jedną, potężną wadę: nie mogła usiedzieć długo na jednym miejscu. Ja od dwudziestu pięciu lat pracuję nadal w „Lampolu”, a właściwie po jego reorganizacji i zmianie profilu produkcji - w „Rade-xie”, a ona już po roku wyemigrowała do Elbląga, gdzie załatwiła mi „cudowną” posadę sekretarki prezydenta miasta i usiłowała mnie na nią ściągnąć - tym razem jednak bezskutecznie. Zanadto byłam przywiązana do Warszawy, aby uciekać w najtrudniejszym okresie dźwignania jej z gruzów. Wierzyłam mocno i niezłomnie, że Łukasz żyje, wróci i że któregoś dnia padnę w jego stęsknione, opiekuńcze ramiona. I nagle cały ten starannie kultywowany świat marzeń rozleciał się jak bańka mydlana.

Pewnego jesiennego poranka, kiedy padał szary deszcz, przyszedł do mnie do pracy Wojtek Matusiak, najserdeczniejszy kolega Łukasza. Nawet nie zapytałam, w jaki sposób mnie odnalazł, gdyż uderzył mnie wyraz jego twarzy zmieszany, niepewny, jakby to, co miał mi powiedzieć, nie mogło mu przejść przez usta. Pocałował mnie w rękę, dłuższy czas milczał, zawisł gdzieś nad moimi plecami pustym spojrzeniem, wreszcie powiedział: - Idę, musisz być dzielna. Nie mogę tego przed tobą ukrywać, tym więcej, że wyjeżdżam na stałe z Warszawy na zachód Polski i nie wiem, kiedy tu przyjadę. Chyba się już domyślasz, tak mi jest trudno... Łukasz nie żyje. To stało się w pierwszych dniach września. Walczyliśmy na Starówce, dokąd nas przerzucono ze Śródmieścia. Była to straszna noc, prawie rzeź, zmiotli nas

kartaczami. Pomagałem transportować rannych do prowizorycznego szpitala, umierali mi na rękach. Trupy wynosiliśmy do piwnicy zamienionej na kostnicę. On tam leżał zakrwawiony, ale twarz miał spokojną. Ido - nie płacz! Przecież moim obowiązkiem było ci to powiedzieć. Tak mi przykro, tak mi bardzo przykro...

Wojtka też widziałam wtedy po raz ostatni. W pewien czas potem doszły mnie wieści, że zginął w nieznanych okolicznościach gdzieś koło Wrocławia.

Wkrótce po wizycie Wojtka poczułam pierwsze objawy powracającej choroby płuc. Byłam wtedy słaba, przerażająco słaba fizycznie i psychicznie. Straciłam siły do walki z przeciwnościami losu, uderzającymi mnie jednocześnie. Jedyna bliska mi osoba, która tak czule dopomagała mi w wychowywaniu Moniki, której zawdzięczam życie, zginęła w głupim wypadku pod kołami pociągu, odjeżdżając po wieczorze spędzonym u nas do Milanówka. Monika w tym okresie przerażająco źle znosiła warunki żłobka, łapała wszystkie choroby zakaźne i ginęła w oczach, a ja, pragnąc uciułać trochę grosza na lepsze odżywianie, zaziębiłam się na dobre, dostałam ponownie zapalenia płuc, które usiłowałam przechodzić, i byłam o krok od śmierci. Wtedy w moim życiu pojawił się Wiktor - chłopak pracujący razem ze mną na tej samej hali produkcyjnej. Był młody, hałaśliwy, pewny siebie, buńczuczny i trochę łobuzowaty, ale sympatyczny. Stanowił przeciwieństwo smutku, żałoby i innych makabrycznych spraw, które mnie stale dotykały. Śmiał się pełną piersią, wyglupiał, przy nim można było zapomnieć o chorobach i troskach. Już od dawna zerkał w moją stronę. Mężczyźni w fabryce zresztą często zwracali na mnie uwagę. Przyciągały ich moje platynowe włosy, szczupła sylwetka, a najwięcej wizytówka... panny z dzieckiem. Początkowo uważali mnie za łatwą zdobycz, potem zniechęceni moim bezwzględnym oporem odwrócili się ode mnie ostentacyjnie. Jedyne Wiktor potraktował mnie jako równorzędną partnerkę, normalną, młodą dziewczynę i za to byłam mu wdzięczna. Zaczął mi nadskakiwać, zajmował się małą, obiecywał złote góry. Oświadczył, że mnie kocha, że żyć

beze mnie nie może, że będzie ojcem dla Moniki, weźmie na swoje barki wszystkie moje kłopoty. Kiedy odrzuciłam jego oświadczyzny, powiedział, że się powiesi, i rzeczywiście przez dwa dni nie pokazywał się w pracy, czym mimo woli wzbudził mój cichy niepokój. Tymczasem fizycznie czułam się coraz gorzej, a przecież na żadną słabość nie było mnie stać, miewałam stany podgorączkowe i początki wysięku w płucach, a Monika nadal cherłała. W pewnej chwili poczułam, że dłużej sama nie dam sobie rady. Wtedy Wiktor wygrał.

Już w parę dni po ślubie zrozumiałam, że popełniłam ohydny zdradę wobec pamięci Łukasza, i uznałam się we własnym przeświadczeniu za najgorszego potwora, jaki kiedykolwiek stąpał po ziemi. Tego rodzaju nastawienie do instytucji małżeństwa nie wpłynęło dodatnio na harmonię naszego pożycia. Wiktor bardzo szybko odczuł moją niechęć, a sam również nie sprawdził się w roli małżonka i przybranego ojca. Jego prymitywne, a nawet wulgarne usposobienie szybko dało znać o sobie, a wrodzony pociąg do kieliszka uczynił wspólne życie nieznośnym. Trzeba przyznać, że nie dokładałam najmniejszych wysiłków, aby przywiązać go do siebie, a odwrotnie, robiłam wszystko, żeby zrozumiał, iż nasz związek jest pomyłką. Mimo to przeszło rok mieszkaliśmy razem w nieco większym niż poprzednio pokoju w hotelu robotniczym, który został nam przydzielony jako rodzinie. Przez ten czas miałam możliwość ocenić w pełni charakter mojego męża, który w gruncie rzeczy był nierobem, małym pijaczkiem i niepoślednim nicponiem. Kiedy oświadczył mi, że się wyprowadza, bo nie myśli „robić” dalej na mnie i na mojego bękarta, i że znalazł godną siebie towarzyszkę życia, która go nareszcie rozumie, poczułam niewysłowioną ulgę. Zaraz też przeprowadziłam rozwód i powróciłam do panińskiego nazwiska. Oczywiście dla kontrastu postać nieżyjącego Łukasza rozrosła się do wymiaru symbolu, pielęgnowanego jak świętość w najgłębszych zakamarkach ducha. No, ale dzisiaj na dobre rozkleiłam się w tę dwudziestą piątą rocznicę powstania. Wypiłam właśnie sama nie zdając sobie z tego sprawy trzecią filiżankę kawy i wypaliłam tyle papierosów, że w pokoju

mogłaby swobodnie zawisnąć przysłowiowa siekiera. Muszę się wziąć w garść, żeby Monika niczego nie spostrzegła i nie miała okazji do swoistych komentarzy. Przez radio w kończącym się właśnie słuchowisku zabrzmiały żałobne werble wzywające duchy zmarłych powstańców na apel poległych, stanowiące przeciwieństwo do rozgwaru letniego wieczoru, wlewającego się przez otwarte okno z Rynku Mariensztackiego, pełnego śmiechu i nawoływań rozbawionej młodzieży.

Nawet nie zdążyłam zastanowić się nad sprawą mojego udziału w zakładowej wycieczce do Bułgarii, którą zupełnie niespodziewanie zaproponowała mi Teresa Kaniszowa, mój bezpośredni szef w „Radexie”. Monika wbiła sobie do głowy, że powinnam na nią pojechać. Właściwie kandydatką „Radexu” była właśnie Kaniszowa, faworytka różnych dyrektorów, aktywistka na wszystkich frontach, ale w tym samym czasie otrzymała atrakcyjną delegację do Holandii i zwróciła się do mnie, abym wykorzystała jej miejsce, chociaż lista uczestników w zasadzie jest już zamknięta. Ale to absolutnie niedorzeczny pomysł.

Klucz zgrzytnął w zamku, w przedpokoju zabłysło światło.

Mamo, dlaczego siedzisz po ciemku. Czy urządzasz jakiś seans spirytystyczny? Wiesz, robi się bajecznie ciepiło. Niepotrzebnie wzięłam sweter. Ale co to za swąd w mieszkaniu? Chyba nie było pożaru?

- Nie, ale zdaje się, że jednak przepaliłam czajnik.

Wstał rano z dokuczliwym bólem głowy. Dopiero po kąpieli i obfitym śniadaniu poczuł się lepiej, a nawet uśmiechnął się do swoich myśli. Tak, wszystko wskazywało na to, że ostatnia sprawa, którą podjął się załatwić, przyniesie mu krociowe zyski, a być może pozwoli na zerwanie z dotychczasową egzystencją pełną ustawicznego ryzyka i napięcia i umożliwi przeniesienie się na zasłużony odpoczynek. Właściwie pragnął już tego. Dość miał ciągłego balansowania na pograniczu życia i śmierci. Jego konta za granicą pęczniały, a co za tym idzie perspektywy na przyszłość stawały się coraz bardziej atrakcyjne, niosące zapowiedź

beztroski i dobrobytu, jakiego obraz wypielęgnował w najskrytszych marzeniach: willa na Lazurowym Wybrzeżu, biała niemal surowa w supernowoczesnej architekturze z polem golfowym, basenem, małym jachtem zakotwiczonym tuż przy własnej plaży, najnowszy model auta, restauracje pełne najwykwintniejszych smakołyków, łaskoczących podniebienie. Wszystko to co prawda dość późno, nie w młodości, kiedy życie uśmiecha się różnorakimi powabami, ale lepiej teraz niż wcale. A jeszcze, gdyby przy nim była ta kobieta, której od tylu lat pragnął, o której stale myślał, ta jedyna nieosiągalna - ideał piękna i wdzięku... Psiakrew! Na tę myśl zmarszczył brwi i zmełł w ustach przekleństwo. Żeby ona wiedziała, jak bardzo był o nią zazdrosny, jak cierpiał przez długie, długie lata, jakby był młodym chłopcem, a nie statecznym mężczyzną. Żeby to choć dotarło do jej świadomości... Ale ona nic nie wie, żyje w innym świecie, niepomna wcale na to, że kiedyś ugodziła go w samo serce. A tego się nie zapomina. Miłość łatwo przekształca się w nienawiść.

Całe szczęście, że ta druga kobieta, ta, od której zależy powodzenie całej akcji, jest innego pokroju. Ona przynajmniej wie, czego chce. Dla niej nie ma przyjaźni, honoru, obowiązku, jest tylko jeden magnes, który przyciąga wszystkie jej pragnienia i dla pieniędzy poświęci wszystko.

Teraz też na pewno zgodzi się na jego propozycję i profity, jakie jej zaoferował, ulegnie pokusie dobrobytu i luksusu, który jej zapewni, być może na całe życie, pomyślne zrealizowanie zamierzonego zadania. Gra jest ryzykowna, to prawda, ale się opłaci. Mimo iż przywykł już od lat do niebezpieczeństwa, instynktownie pomacał ręką lufę rewolweru, ukrytego w kieszeni marynarki. Chłód, który z niej spłynął, uspokoił go. Był już przecież rutyniarzem, tyle lat zmieniał skórę, występował incognito, przeprowadzał różnorodne operacje, z których zawsze wychodził zwycięsko. To fakt, że stale walczył z uczuciem lęku, który jak pętla zaciskał się na jego szyi, ale w końcu nauczył się go pokonywać. Teraz też musi się wszystko udać. A potem cały świat będzie u jego stóp, a może i ona.

Kto wie?...

Trzeba tylko sprawnie i szybko działać, zmobilizować całą energię i wysiłek, aby dopiąć celu.

Zdecydowanym ruchem sięgnął po słuchawkę telefonu.

Rozdział II

- Pani Ido, może pani pozwoli do mnie. Pani Ido, czy pani mnie słyszy? Proszę na moment oderwać się od pracy - głos Teresy Kaniszowej wibrował w powietrzu melodyjnymi tonami, ale nie docierał do moich uszu w huku rozpedzonych maszyn i kręciołków do liczenia.

- Pani Idalio, naczelnik panią prosi - Zygmunt Kolicki, siedzący najbliżej mojego biurka, przechylił w moją stronę twarz zaopatrzoną w ciemne okulary i przymilny uśmiech. Byłam tak pogrążona w zawłościach listu przewozowego firmy Hartwig, że powrót z labiryntu cyfr i procentów sprawił mi niemałą trudność. Odłożyłam stos papierów i odruchowo przetańczyłam zmęczone oczy. Teresa uczyniła w moim kierunku płynny, zapraszający gest ręką. Siedziała przy otwartym oknie i słońce oświetlało jej kunsztownie uczesane, tlenione na platynę włosy. Ubrana była w jedwabną, szafirową suknię mocno wydekoltowaną, gdyż dzisiaj w „Radexie” bawiła delegacja kooperującej z nami firmy zachodniemieckiej i Teresa jak zwykle miała brać udział w konferencji z racji swego stanowiska i różnych innych walorów, jakimi się odznaczała.

- Pani Ido - uśmiech Teresy owionął mnie łącznie z dyskretnym zapachem najdroższych francuskich perfum - niech pani na chwilę usiądzie tu przy mnie i zapomni o sprawach służbowych. Chciałam panią zapytać, dlaczego pani tak dziecinnie i niemądrze postępuje w sprawie tej wycieczki do Bułgarii. To nie ma sensu, niech mi pani wierzy. Obserwuję panią od dawna i widzę, jak bardzo jest pani przemęczona. Wiem, że od paru lat nie brała pani urlopu. - Teresa mówiła tonem tak pełnym sympatii i troski o moje zdrowie, że mimo woli przyjrzałam się jej ze zdziwieniem, tajemnicą poliszynela było bowiem, że obydwie z dziwną jednomyślnością nie

znosiłyśmy się wzajemnie. „Muszę wyglądać jak zhora - pomyślałam, nie mogąc wewnątrznie zaafirmować jej bezinteresownego zainteresowania moją osobą - jeżeli ona tak się mną zajmuje”.

Teresa pojawiła się na naszym horyzoncie siedem lat temu w okresie, kiedy skromny „Lampol” na dorobku przekształcił się w „Radex” produkujący sprzęt elektroniczny i radiotechniczny o wysokim światowym standardzie, maszyny cyfrowe, podzespoły do telewizji przemysłowej, jednym słowem stał się wielkim supernowoczesnym zakładem, który z biegiem czasu przejął w pewnym zakresie agendy centrali handlowej i otrzymał wyodrębnioną komórkę naukowo-badawczą: Biuro Rozwojowe, znajdującą się pod wysokim protektoratem PAN-u Korzystając jakby z tak sprzyjającej dla zakładu koniunktury, Teresa niemal z miejsca szturmem zdobyła tę fortecę, prześlizgując się w zawrotnym tempie po drabinie hierarchii urzędniczej za pośrednictwem magii własnej osoby i innych mniej lub więcej nadprzyrodzonych czynników. Jeżeli chodzi o kwalifikacje zawodowe złośliwsi twierdzili, że oprócz dość bieglej znajomości kilku języków obcych nic w jej aktach personalnych nie wskazuje, aby przez jakikolwiek okres życia zamęczała się nauką. Ale na te sprawy została zapuszczona gęsta zasłona. Pierwszeństwo miała błyskotliwość jej wymowy, urok osobisty, a przede wszystkim umiejętność działania bez kompromisów i z żelazną konsekwencją. Jej karierze w „Radexie” sprzyjał niewątpliwie fakt powstania Działu Eksportu, co przy wybitnych faworach dyrektora w bardzo krótkim czasie spowodowało awans Teresy na naczelnika wydziału i pociągało za sobą stałe niemal delegacje zagraniczne.

Przypuszczam, iż nie dlatego nie lubiłam Teresy, że jej zazdrościłam powodzenia i pozycji, chociaż i to w przypływie samokrytycyzmu przychodziło mi do głowy, ale ponieważ stanowiła całkowite moje przeciwieństwo: ja przechodziłam koło życia obojętnie, nie umiałam i nie chciałam walczyć o pierwszeństwo, o lepsze stanowisko, o korzyści materialne, ona zaś żyła pełną piersią, łapała wszystkie nadarzające się okazje i

podbijała świat. Skutek był taki, że od około dwudziestu lat tkwiłam na stanowisku starszego handlowca, a Teresa obecnie brylowała jako pierwsza dama „Radexu”. Co prawda i ja miałam swoje przebłyski szczęścia zawodowego i życiowego. W swoim czasie przewodnicząca Rady Zakładowej zwróciła na mnie uwagę i spowodowała moje przeniesienie z hali fabrycznej do biura, stwierdzając, że się marnuję na niewłaściwym stanowisku, a ówczesny mój dyrektor, początkowo wiążący ze mną pewne, osobiste nadzieje, które zresztą szybko rozproszyłam, z gruntu porządny człowiek, dopomógł mi w okresie szczególnego zainteresowania moim losem do otrzymania własnego mieszkania z puli zakładowej, tego, w którym do dnia dzisiejszego mieszkamy: dwóch maciupeńkich pokoi z kuchnią na Mariensztacie. To był mój największy sukces i wygrana. Przeprowadziłam się tam jak szalona już z „podrośniętą” Moniką i rozpoczęłam z wytrwałością i samozaparciem urządzenie się od pierwszej przysłowiowej łyżeczki. To wyróżnienie w pracy zmusiło mnie do podniesienia kwalifikacji zawodowych, w konsekwencji czego ukończyłam zaocznie ekonomię, nie kontynuując jednak rozpoczętych w czasie okupacji studiów na wydziale prawa. Ostatnio również mogłam uznać za pewnego rodzaju awans przeniesienie służbowe z Biura Ogólno-Technicznego do Działu Eksportu, gdzie spotkałam się z Kaniszową jako swoim bezpośrednim zwierzchnikiem. Mimo wszystko musiałam jej przyznać, że była energiczna, że z ogromną łatwością i odwagą na pograniczu z lekkomyślnością podejmowała decyzje w sprawach zawodowych, co jest niewątpliwie jednym z największych atutów ludzi predestynowanych na stanowiska kierownicze. Nie wiem, ale być może do zwiększenia mojej antypatii do Teresy przyczyniło się jedno zdarzenie. Umówiłam się kiedyś z koleżanką szkolną w kawiarni. Kilkanaście stolików dalej zauważyłam Kaniszową siedzącą z moim byłym mężem Wiktorem Mączykiem. Oboje pogrążeni byli w ożywionej rozmowie, świadczącej o bliższej znajomości. Trzeba przyznać, że w niemałe zdumienie wprawił mnie wygląd i sposób bycia Wiktora, którego zobaczyłam pierwszy raz od rozwodu. Z

gruboskórnego, niewydarzonego małego hulaki przekształcił się niemal w rodzimego playboya, świetnie, choć z krzyżącym smakiem ubranego, bywalca

drogich lokali i - jak było widać - znakomicie poruszają go się na tym gruncie. Obserwowałam ich przez dłuższy czas zakryta szczelnie gazetą, gdyż koleżanka się spóźniała. Od tej pory Teresa nieustannie kojarzyła mi się z Wiktorem, co budziło we mnie jeszcze większy niesmak i dziwną odrazę, gdyż moje krótkie nieudane małżeństwo i wszystko, co się z nim wiązało, uważałam zawsze za najciemniejszą kartę mojego curriculum vitae.

Fakt faktem, że na terenie „Radexu” Teresa była ulubienicą wszystkich dyrektorów, otaczała ją adoracja kooperantów zagranicznych, a ostatnio imię jej łączono niedwuznacznie z dyrektorem inżynierem Jerzym Suchniakiem, pracownikiem Biura Rozwojowego, słynnym naukowcem, twórcą wynalazku Q-93, otoczonego najgłębszą tajemnicą, a mającego ponoć rewelacyjne znaczenie w dziedzinie elektroniki. Powszechnie uważano, że Such-niak w sposób nie dający się ukryć stracił dla niej głowę i że wiążą ich intymne stosunki, co w pewnej mierze miało posmak skandalu towarzyskiego, gdyż doktor Suchniak był człowiekiem żonatym, ojcem rodziny i cieszył się do tej pory nieskalaną opinią w sprawach zawodowych i osobistych. Stugębna plotka głosiła, że Suchniakowa została skwapliwie przez życzliwych poinformowana o romansie męża z piękną Teresą i że małżeństwo inżyniera chwieje się w posadach.

Wszystko to przemknęło mi przez myśl, kiedy patrzyłam na gładką wypielegnowaną twarz Teresy, zwróconą teraz ku mnie z ujmującym uśmiechem. „Przecież ona mnie nie znosi - myślałam - dlaczego się więc tak do mnie wdzięczy, jaki ma w tym interes?” Ale z drugiej strony co jej może zależeć na tym, żebym wypoczęła nad Morzem Czarnym? To chyba ja jestem kompletnym odludkiem i niedowiarkiem, który nigdy nie umiał i nie umie współżyć z otoczeniem. Ale czyżbym tak bardzo dotąd myliła się w ocenie jej osoby? I właściwie z jakiego powodu Teresa ma mnie nienawidzić? Nie stanowią przecież dla niej najmniejszej konkurencji, najmniejszego

zagrożenia, ustępuję jej miejscu na każdym kroku. Chyba tylko dlatego, że mam naturalne platynowe włosy, a ona musi je sztucznie rozjaśniać i ustawicznie walczyć z odrostami, że jestem szczupła jak wiór, a ona łakomczuch, żeby utrzymać figurę, żyje w nieustannym lęku o każde łatwo przybywające deko i odmawia sobie ulubionych smakołyków. Ale w końcu jest sporo młodsza ode mnie i to stanowi jej niezaprzeczną przewagę, a poza tym te wszystkie rozważania są wielkim głupstwem, dziecinadą wylęglą wyłącznie w mojej wyobraźni.

- Gdyby nie delegacja do Amsterdamu - mówiła tymczasem z ożywieniem Teresa - na pewno bym wykorzystała tę okazję wyjazdu. Niech pani nie myśli, że jestem taką filantropką - roześmiała się, pokazując rząd bardzo białych zębów, stanowiących jedną z jej koronnych ozdób, i ten śmiech zabrzmiał przyjemnie - wycieczka jest przewidziana dla naszego wydziału i jest to damskie miejsce. Pani Barbara ma małe dzieci i nie może wyjechać, a pani Danuta za tydzień wychodzi za mąż, więc jej kandydatura też odpada. Pozostaje więc pani, Ido. Niech pani ratuje sytuację, bo jeśli nie wykorzystamy miejsca, nigdy więcej Rada Zakładowa nic nam nie zaproponuje. A poza tym szczerze radzę się zdecydować. Niech pani pomyśli ... dwadzieścia jeden dni w Družbie, w całkowitym oderwaniu od biura, w zupełnym odprężeniu. To coś znaczy i ... odmładza, niech mi pani wierzy.

Słowa Teresy wypowiedziane z sugestywną intonacją nasunęły mi nagle z nieodpartą siłą wizję złocistych plaż, zarojonych osmalonymi na brąz wczasowiczami, pławiącymi się w słońcu i pluskającymi w szafirowych falach morza i w tej samej chwili uświadomiłam sobie, że mam właściwie wielką, wprost niezwykłą ochotę na ten wyjazd. Nasza rozmowa przyciągała uwagę reszty personelu, gdyż pracowaliśmy stłoczeni w jednym pokoju i mimo niebywałego rozmachu, z jakim w ostatnich latach rozwijała się nasza instytucja, warunki lokalowe administracji nie uległy jeszcze poprawie.

W każdym razie Barbara - osoba wiecznie zakatarzona i zahukana domowymi kłopotami, zerkała raz po raz w naszym kierunku znad akt, siąkając przy tym w chusteczkę, Danką

strzygła uszami i ruszała trzepotliwie sztywnymi, sztucznymi rzęsami w stronę zachmurzonego, zatopionego w pracy Andrzeja Warcza, który jeden spośród wszystkich odizolował się od otoczenia, niedbale wydymając wargi, za to Zygmunt rzucał rozmodlone spojrzenia w stronę Teresy, która zdawała się niczego nie spostrzegać.

- Tak, to mogłoby być piękne - powiedziałam zupełnie niespodziewanie dla samej siebie - ale są i inne przeszkody. Nie, naprawdę, mimo wszystko muszę zrezygnować.

- Jakie mogą być przeszkody? Pani żartuje. Zresztą domyślałam się, o co chodzi. Pewno o stosowne ubranie. Pani przecież nigdy o sobie nie myśli, zawsze tylko dom, córka, a dla siebie - ani chwili czasu. Ale i na to jest rada. Proszę się nie obrazić, pani Ido, ale przyniosłam trochę ciuchów, przywiezionych z zagranicznych podróży, których jeszcze nie nosiłam, i mogę je pani pożyczyć na drogę. - Teresa sięgnęła do teczki i na biurko wysypały się w wielkiej obfitości różnokolorowe kobiece szmatki. Barbara i Danuta sfrunęły jednocześnie ze swoich miejsc i otoczyły ciasno biurko Teresy. Ich głowy i ręce zawisły nad sukienkami.

- Jakie to śliczne, piękne, to strój plażowy, prawda? Ta sukienka z wydekoltowanymi plecami to pewnie z Paryża, a ta wieczorowa, długa, jaka szalowa - gruchała Danką - a to co? Chyba poncho, prawda? Jakie wspaniałe, oryginalne, jeszcze takiego nie widziałam! Co za fantastyczny zestaw barw i jaki fason!

Rzeczywiście poncho było niezwykle atrakcyjne, zdolne wzbudzić zainteresowanie wszystkich kobiet w wieku „poborowym” na każdej szerokości geograficznej. Lekkie,

przewiewne, o niepowtarzalnym splocie tkaniny, intensywnie niebieskie, było w jakiś tajemniczy sposób przesiąknięte zielenią i czerwienią. Nawet długie frędzelki, którymi było obszyte, miały jakiś specjalny wdzięk i elegancję. Kiedy tak leżało na biurku Teresy, zdawało się, że nasz pokój biurowy stracił nagle swój chłodny i bezosobowy wyraz i zamienił się w paryski salon mody, pełen wytwornych toalet i wykwintnych prezenterek.

- Schowam to wszystko, żeby nas kto nie przyłapał -zaśmiała się Teresa i zręcznym ruchem wepchnęła wszystko do dużej plastikowej torby z zagranicznymi napisami, wyciągając ją w moją stronę.

- Dziękuję, ale nie lubię stroić się w cudze piórka -powiedziałam nagle twardo i nieuprzejmie, chociaż miałam straszną, nieprzepatą ochotę włożyć te fatalaszki i sprawdzić, czy mi w nich do twarzy.

Ręka Teresy z torbą zawisa na chwilę w powietrzu, jakby zmroził ją niegrzeczny ton mojego głosu, ale już w chwilę potem odzyskała zwykłą sprężystość i pewność siebie.

- Proszę tego tak nie traktować, pani Ido. Myślałam, żeśmy się dobrze rozumiwały. To zwykła koleżeńska przysługa, nie mająca dla żadnej z nas znaczenia. Oczywiście, że nie musi pani akurat mieć w pogotowiu rzeczy, które by się nadawały do noszenia w klimacie czarnomorskim. Naprawdę nie miałam intencji obrażenia pani. Proszę przynajmniej w domu przymierzyć.

- Dziękuję - wybąkałam i wzięłam torbę. Czułam wstyd, upokorzenie i złość na samą siebie, że uległam, ale w tej sytuacji odmowa byłaby wypowiedzeniem Teresie wojny, co w końcu nie leżało w moim interesie.

- A więc wciągam panią na listę uczestników wycieczki - skinęła wdzięcznie głową Teresa. Nagle zadzwonił telefon stojący na jej biurku. - Tak jest, panie dyrektorze. Konferencja już się rozpoczyna. Dobrze, zaraz idę - przejrzała się w lusterku i frunęła w kierunku drzwi, ciągnąc za sobą smugę perfum.

- Pani naczelnik dzisiaj w szampańskim humorze -zauważyła Danka natychmiast po jej wyjściu i zaszeleściła jak zwykle sztucznymi rzesami.

- No, szampan to będzie dopiero po północy w Bristolu albo w Europejskiej - podchwycił Zygmunt Koliczki.

- Nie rozumiem, dlaczego robiła pani takie ceremonie z tym wyjazdem, pani Ido. To poncho jest bajeczne -Danka cmoknęła przy tym słowie - sama bym chętnie pojechała, choćby po to, żeby je włożyć.

- To niech pani jedzie. Natychmiast ustępuję miejsca na pani

rzecz i będę z tego bardzo zadowolona - ucieszyłam się czując taką ulgę, jakby kamień spadł mi z serca.

- Nic z tego, pani Ido. Pani wie, że ja i Karol ustaliliśmy datę naszego ślubu na następną niedzielę. Trudno, żebym dla wycieczki odkładała małżeństwo.

- Szczególnie, że on potem by się rozmyślił - dokończył Zygmus.

- No, wie pan - obraziła się Danka, która w naszym kręgu znana była ze swych romantycznych skłonności i ciągłych poszukiwań kandydata na męża. Imiona jej ukochanych i narzeczonych tak szybko się zmieniały, że wkrótce nie starczyłoby świętych w kalendarzu. Obecnie więc, mimo iż zrobiliśmy już składkę na prezent ślubny, nikt jakoś na serio nie brał tej uroczystości.

- Ja też pani nie rozumiem, pani Ido - Basia z hałasem wytarła spuchnięty nos - przecież nie ma pani dziecka przy piersi.

- Raczej z piersiami - zachichotał Zygmus - i to z jakimi...

- Czy można by w tym biurze trochę popracować - powiedział nagle Andrzej, który ostentacyjnie odwrócony plecami do nas aktualnie piłował sobie paznokcie.

Andrzej sprawował funkcję zastępcy naczelnika wydziału. Był jeszcze bardzo młody i od początku swojej pracy w „Radexie”, trwającej zaledwie dwa lata, wykazywał wielką pewność siebie. Stanowił jakby męskie wcielenie Teresy, jeśli chodzi o rozmach awansów i wiele innych cech charakteru z tym, że miał wyższe wykształcenie, wysokie mniemanie o samym sobie i przykry sposób bycia, który nie zjednywał mu popularności. Bardzo zasadniczy, dokładny w pracy, nie liczący się z nikim oprócz Teresy, był przez dyrekcję ceniony jako dobry pracownik, ale nie lubiany jako kolega. Pomiedzy nim a Zygmuntem trwała ustawiczna wojna, z której w ostatecznej rozgrywce zawsze zwycięsko wychodził Andrzej.

W tej samej chwili drzwi naszego pokoju uchyliły się niepewnie, jakby ktoś wahał się, czy wejść do środka, i na progu ukazał się doktor inżynier Suchniak. Wysoki, nieco pochylony na skutek wybujałego wzrostu, o dużej, nieładnej

twarży, pofałdowanej bruzdami, mrocznej i zasepionej, wyglądał na człowieka, na którego zwały się wszystkie nieszczęścia świata naraz.

- Pani naczelnik jest u dyrektora - pośpieszył zakomunikować Zygmunt rozmyślnie ugrzecznionym tonem, uprzedzając jego zapytanie.

Suchniak skinął głową i wycofał się bez słowa.

- To dziwne, słowo daję, że nie zaprosili go do udziału w konferencji - wycedził Zygmunt. - A wygląda tak, jakby dzisiaj porządnie oberwał miotłą po łbie od żony.

- Ależ, panie Zygmuncie - obruszyła się Basia, którą zawsze raziła dosadność wyrażań i ingerencja w czyjeś osobiste sprawy, tylko zwykle brakowało jej odpowiednich słów na sformułowanie swego stanowiska - to przecież taki kulturalny człowiek i chyba nieszczęśliwy.

- A jednak Teresa jest dla mnie życzliwa, nigdy bym jej o to nie posądzała - myślałam stojąc po pracy w „Delikatesach” w kolejce po zakupy - ten gest z pożyczaniem ciuchów wyglądał na naturalny, a nie na chęć zaimponowania strojami. To się rzuca w oczy, że jestem zaniedbana. Zresztą nigdy by mi nie przyszło do głowy, żeby kupić sobie naraz tyle kiecek, a poza tym nie miałabym na to czasu i prawdę mówiąc środków finansowych. Całe życie miałam co innego na głowie: ubieranie i kształcenie Moniki, przystrajanie wnętrza mieszkania, którym dotąd jeszcze nie przestałam się cieszyć. Monika ma teraz wciąż mi za złe, że nie troszczę się o siebie, uważa to za pewnego rodzaju psychiczne odchylenie od normy. Co prawda w tej chwili mogłabym już może trochę pomyśleć o sobie, o swoim wyglądzie, kiedy ona stoi prawie na mocnych nogach, kończy anglistykę, robi pracę dyplomową i posiada od dłuższego czasu umiejętność zdobywania pieniędzy na część własnych potrzeb za pomocą spółdzielni studenckich. Ale czy to jest mi potrzebne do szczęścia? Kobieta wtedy dba o siebie, kiedy chce się podobać mężczyznom, a na tym od wielu lat wcale mi nie zależy. Nie dlatego właściwie, że czuję się związana jakimiś zobowiązaniami, ale po prostu doszłam do wniosku, że nie mam najmniejszej chęci na budowanie nowego

życia. Mężczyźni w „Radexie” już od dawna nie zwracają na mnie uwagi, zwłaszcza kiedy odrzuciłam propozycję matrymonialną głównego księgowego Kamila Nowaka, i uznali mnie najwidoczniej za niedostępną i znikowaną. Kamil od paru lat już u nas nie pracuje, gdyż uległ wypadkowi samochodowemu i przeszedł na rentę inwalidzką. Z nim jednym mogę od czasu do czasu pójść do kina czy do teatru bez uczucia skrepowania niezależnie od tego, czy byłabym w paryskiej toalecie, czy w zgrzebnym worze, gdyż traktuję go wyłącznie jako przyjaciela, nie posiadającego żadnej płci, a on się na to zgadza. Dlatego zawsze mogę go prosić o różne drobne przysługi, o odprowadzenie na dworzec, noszenie walizek, a czasem o zreperowanie kranu. W ogóle nie wyobrażam sobie innej formy kontaktu z mężczyzną. Może to jest rzeczywiście nienormalne, ale trudno, taka jestem.

Wolę na przykład kupić jakiś ciekawy drobiazg do mieszkania niż sprawić sobie nową suknię. Monika często mi to wyrzuca, ale wiem, że i ją cieszy przyozdabianie i upiększanie tych dwóch pokoików, w których się wychowała. Tu przecież, w tych kątach, przeżyła pierwsze wzloty i rozczarowania młodości, chociażby dwukrotny nieudany start do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej, który kosztował ją wiele straconych złudeń, a mnie wiele dalszych wysiłków i wyrzeczeń. Dobrze, że umiała pozbyć się artystycznych ciągót, nie wiadomo po kim odziedziczonych, jako tako okrzepnąć po doznanych zawodach i obecnie jest zadowolona z wybranego kierunku studiów. Teraz flirtuje niemiłosiernie z przeróżnymi brodacami krwawiąc im serca, a mną rządzi bezceremonialnie.

Kolejka w „Delikatesach” zbliżała się ku końcowi, a ja tak byłam pogrążona w retrospekcyjnych rozmyślaniach, że o mało byłabym zostawiła torbę Teresy w sklepie.

- Alebym się urządziła - mruknęłam, odbierając ją z rąk usłużnego starszego pana, który w porę spostrzegł moje gapiostwo.

- Zdaje się, że jadę do Bułgarii, złamałam się - zakomunikowałam na samym progu. Monika zatańczyła triumfalny taniec w przedpokoju o powierzchni 3x1,5 metra.

- To świetnie - powiedziała, zaglądając do łaszków Teresy - trzeba zadzwonić do Kamila, żeby cię odwiózł na lotnisko. Ale skąd to masz? To jest cudowne - krzyknęła wyciągając poncho, które w mgnieniu oka wyczarowało w naszym mieszkaniu najpiękniejsze barwy świata - będzie ci w tym wspaniale, przymierz!

- Słuchaj - powiedziałam po zaznajomieniu Moniki z pięknym gestem Teresy - ja jednak nigdy tego nie włożę. To jest śmieszne, żeby kobieta w moim wieku tak się stroiła. Jak ja bym w tym wyglądała. Popełniłam ogromne głupstwo, że w ogóle wzięłam te cudaczne kiecki do domu...

- Jestem zupełnie innego zdania.

- Zwiń to wszystko. Jutro zwrócę Teresie.

- I zrobisz głupstwo. To są naprawdę ładne rzeczy i zupełnie dla ciebie odpowiednie. Stale przesadzasz z tym swoim wiekiem. To już jakaś mania postarzania się. Pierwszy raz widzę, żeby atrakcyjna babka tak o sobie nie dbała. Przecież ciebie kijem nie można wygonić do krawcowej. Gdybym cię od czasu do czasu siłą nie zaciągnęła do jakiegoś domu towarowego, pewno chodziłabyś nago i boso.

- Monika, co ty znowu wygadujesz? Czy mam zacząć stroić się jak podlotek i chodzić z tobą do dyskoteki?

- Nie wpadaj z jednej ostateczności w drugą. Po prostu nie powinnaś ubierać się jak stara baba albo żałobna wdowa. Nie ma ku temu żadnego powodu. Nikt się nad tobą nie będzie litował.

- Nie złość się. To co mam wpierw przymierzyć?

Kiedy włożyłam najbardziej ekstrawagancką suknię z wydekoltowanymi plecami i stanęłam przed lustrem, zobaczyłam w nim jasną, białą zjawę o zastraszonej twarzy, jakby obcą, nie znaną mi osobę.

- No i co? - zapytałam Moniki.

- Jak się opalisz i nie będziesz miała takiego tragicznego wyrazu w oczach, będzie całkiem fajnie - pocieszyła mnie już mniej entuzjastycznie. - W każdym razie ta Teresa jest nadzwyczajna. Ona nawet zapakowała ci do torby plażowy kapelusz.

Doktor Jerzy Suchniak zgasił lampę stojącą na biurku. Pracownia pogrążyła się w mroku rozświetlonym nieco blaskiem kolorowego migającego neonu, opasującego rozstrzelonymi zygzakami fasadę zakładów. Nie mógł już dzisiaj dłużej pracować, gdyż niepokój nurtujący go bezustannie uniemożliwiał jakąkolwiek koncentrację myśli. Teraz w ciemności i ciszy, jaka wokół panowała, mógł chwilę odpocząć, aby nabrać trochę ducha i sił niezbędnych do dalszego życia. Czuł się tak niesłychanie zmęczony i przytłoczony narastającymi wciąż konfliktami, w które nieodwracalnie się wplątał, że ogarniało go bezgraniczne znużenie i zniechęcenie. Wiedział, że nie posiada siły woli, która pozwoliłaby mu opanować sytuację i podporządkować sobie otoczenie. W gruncie rzeczy przecież był zwolennikiem spokojnego, uregulowanego bytu, odmierzanego według utartych schematów wskazówkami zegarka, w którym praca zajmowała najpocześniejsze miejsce, kosztem innych potrzeb duchowych i fizycznych. Teraz ten normalny model życia uległ unicestwieniu i przed Such-niakiem otwarła się przepaść nie do przebycia. W tej chwili zaprzętała go jedna dojmująca do żywego myśl: Teresa nie przyszła na umówione spotkanie, nie dotrzymała danego mu słowa, co ostatnio zdarzało się coraz częściej. Rozhuśtana wyobraźnia podsuwała mu najróżnorodniejsze wizje, których treścią była zdrada, jakiej się niechybnie dopuściła i w takich momentach nienawidził jej z głębi duszy, pogardzając za małostkowość, lekkomyślność i brak jakichkolwiek zasad moralnych, z drugiej jednak strony tęsknił za nią rozpaczliwie i wiedział, że gdyby się pojawiła, czułby się najszcześniejszym człowiekiem na świecie. Gestem znużenia oparł głowę na rękach. Z niechęcią graniczącą ze wstrętem myślał o powrocie do domu. Ostatnio nie mógł patrzeć w czarne, zimne oczy Wandy, która ostentacyjnie manifestowała wobec niego wrogość i odpowiednio do swego stanu ducha formowała nastroje i zachowanie obojga ich dzieci. W ten sposób czuł się między nimi intruzem, który powinien jak najszybciej usunąć im się z drogi. Rozważał już

ewentualność wyprowadzki, ale przecięcie wszystkich więzów łączących go z rodziną nie było łatwe. Zresztą Teresa nie zdradzała chęci do oficjalnego utrwalenia ich związku, a sam nie umiałby żyć.

Nagle usłyszał jakiś szmer koło drzwi i mimowolnie podniósł głowę. Tak... niewątpliwie ktoś delikatnie i ostrożnie przekręcał klucz w zamku. Jednym susem był już na progu.

- Teresa - wyszeptał na widok wsuwającej się do pracowni postaci i w tej samej chwili poczuł się rześko i młodo.

- Tak, to ja - powiedziała po małej, ledwo dostrzegalnej sekundzie wahania czy zaskoczenia.

- To dobrze, że przyszedłaś. Ale dlaczego tak późno? Umówiliśmy się na szóstą, tyle czasu czekałem, miałem już iść do domu, niepokoiłem się - usiłowałem ją objąć, ale ona zrezygnowała i odsunęła się na bok.

- Zupełnie niepotrzebnie. Wiesz przecież, że mieliśmy dzisiaj spotkanie z przedstawicielami zachodnioniemieckiej spółki akcyjnej. W programie zwiedzanie Starówki, obiad w restauracji... Wszystko na zlecenie dyrektora, a to się przeciąga.

- Dziękuję, że mimo wszystko pamiętałaś o mnie -znowu przygarniał ją do siebie - ale w jaki sposób domyśliłaś się, że jeszcze tu jestem. Przecież zgasilem światło.

- Po prostu wyczułam. Intuicja kobieca. Wiesz, że nie chciałam ci zrobić zawodu. Jur, uważaj, popsujesz mi fryzurę!

- Dlaczego jesteś taka dziwna, obca? Tereso, ty piłaś?

- Głuptas - roześmiała się cicho, gardłowo - to należy do moich obowiązków - kilka toastów z gośćmi. Chyba nie jesteś znowu zazdrosny?

- Stale przebywałeś z innymi mężczyznami. Zdaję sobie sprawę, że wszyscy muszą cię podziwiać, adorować, ale taka sytuacja jest dla mnie nie do zniesienia. Chcę cię mieć tylko dla siebie! Zrozum, ja cierpię!

- Jur, nie przyszedłam tu po to, żeby wysłuchiwać twoich wyrzutów. Nie pora i nie czas po temu. Zaprażyłam cię zobaczyć, a ty jesteś taki przykry...

Radość pomieszana z upokorzeniem podpełnęła mu pod serce. - Tereso - tyle tylko zdołał powiedzieć i poczuł

muśnięcie jej warg na swoich ustach.

- No, już dobrze - energicznie wyszarpnęła się z jego natarczywych objęć - wpadłam tylko na chwilę. Zostawiłam całe towarzystwo i wymknęłam się do ciebie, ale teraz muszę już wracać. Do widzenia, Jur, zobaczymy się jutro.

- Tereso, nie odchodź! Jestem taki samotny, nie zostawiaj mnie teraz. Proszę, bardzo proszę...

- Ach, Jur, nie bądź śmieszny. Zachowujesz się jak małe dziecko. Naprawdę, muszę już iść. No, nie gniewaj się.

Drzwi zamknęły się bezszelestnie i Teresa zniknęła jak zjawą. Suchniak nie był pewien, czy rzeczywiście tu była, czy tylko mu się to wydawało. Chwilę stał jeszcze nieruchomo, a potem usiadł ciężko za biurkiem i desperacko zacisnął pięści.

Rozdział III

Leżałam na brzuchu, na ręczniku kąpielowym rozpostartym na piasku, czując na całym ciele rozżarzone promienie bułgarskiego słońca.

- Czy pójdzie pani dzisiaj z nami na dancing do Monastyrskiej Izby? - zapytała Marzena Trudzik, moja współtowarzyszka z pokoju w hotelu „Rilla” w Drużbie, smarując tłustą oliwą nogi od czubków palców aż do uda.

- Nie, idźcie sami - wymamrotałam niewyraźnie, gdyż brodę miałam utkwioną w piachu i nie chciało mi się podnosić głowy.

- Pani to się świetnie opala - ciągnęła dalej Marzena. - Wygląda pani cudownie, a ja robię się tylko czerwona jak upiór i skóra ze mnie złazi. Jeżeli wrócę nieopalona - mój Ludwiczek będzie się śmiał i wszystkie koleżanki w pracy. Ludwiczek lubi się ze mną pokazywać, kiedy ładnie wyglądam. Wtedy wydajemy mnóstwo na lokale i on kupuje mi różne prezenty. O! Idzie pan docent i pan Józio. Niech się pani zdecyduje, złociutka, na ten dancing, bardzo proszę. Będzie na pewno strasznie klawo.

Marzena podniosła się i kiwała ręką obu panom, kierującym się ku nam od strony schodów prowadzących na plażę. Nie

byłam z tego zbyt zadowolona. Hałaśliwe, wesołe towarzystwo, z którym dzieliłam stolik w restauracji „Czarnomorec”, zmuszało mnie bez przerwy do wysłuchiwania mniej lub więcej niewybrednych dowcipów, płaskich komplementów i do wymiany banalnych frazesów. Marzena natomiast pławała się w tej atmosferze, jak rybka w wodzie, wykorzystywała każdą okazję do rozrywki i podrywki, gdyż głównie w tym celu przyjechała do Bułgarii. Połączenie nas w jednym pokoju nie było fortunne ze względu na krańcową odmienność naszych usposobień i gustów, ale już po paru dniach zaczęłam się do niej przyzwyczajać, gdyż w gruncie rzeczy była to poczciwa dziewczyna o kurzym mózdzku i wymaganiach małego zwierzątka. Pracowała jako ekspedientka w CDO w dziale trykotaży. Z naiwną szczerością opowiedziała mi, że ma przyjaciela starszego od niej o lat dwadzieścia, właściciela prywatnego zakładu grawerskiego mieszczącego się w pawilonach, który subsydiuje jej wyjazd. Ludwiczek zresztą był dla niej najwyższym autorytetem i wyrocznią w życiowych sprawach, co nie przeszkadzało jej zarzucać sidła na wszystkich spotkanych mężczyzn. Od razu niemal nawiązała flirt z młodym, ognistym Bułgarem, oczarowanym jej złocistymi lokami i niebieskimi, lalkowatymi oczami, a poza tym kokietowała jak mogła naszego sąsiada z restauracji - pana Józia rodem z Zamościa, którego dowcip i sposób bycia trącił myszką, sięgającą epoki „Klubu Kawalerów”. Pech sprawił, że południowe słońce zamiast dodać jej wdzięku, spowodowało silne zaczerwienienie skóry i oparzenie, co ją początkowo wyłączyło z chodzenia na plażę, wobec czego opalałam się i kąpałam sama. Dnie te przeznaczyłam na całkowity relaks i odprężenie. Kąpiel w Morzu Czarnym była wspaniała, słońce grzało fantastycznie, plaża, wypełniona po brzegi turystami, usiana kolorowymi parasolami i materacami o przeróżnych kształtach, wyglądała jak kolorowa pocztówka. Wylegując się w kompletnym bezruchu na złocistym piasku mogłam dopiero ocenić, jak bardzo byłam przemęczona i spragniona odpoczynku. Jak zwykle zgodnie z niezbadanymi i zaskakującymi właściwościami moich pigmentów, opaliłam się

szybko i bezboleśnie, co stało się powodem szczerego podziwu Marzeny i kilku innych rozflirtowanych uczestniczek naszej wycieczki.

- Panie Józiu, panie docencie! - piszczała Marzena, wymachując rękami - tu jesteśmy!

Dwaj nasi panowie w pasiastych majteczkach kąpielowych, z ręcznikami przewieszonymi przez ramię, prężąc dość nagle torsy, dobrnęli do nas cali w ukłonach i w uśmiechach, po szczęśliwym ominięciu setek przeszkód w postaci rozciągniętych na piasku plażowiczów i ich sprzętu sportowego.

Pan Józio powitał nas nawet parafrazą słynnej piosenki śpiewając: „blondynki, blondynki, ja wszystkie was, dziewczynki, całować chcę” i natychmiast zwrócił się do mnie:

- Pozwoli szanowna pani, że ucałuję jej rączkę.

- Nie radzę, jest posmarowana kremem.

- Ale to nic nie szkodzi. Ta rączka taka dekwatna.

Pan Józio, którego profesja osłonięta była tajemnicą, niezmiernie lubił szermować wyszukаныmi słówkami i określeniami, niezależnie od możliwości ich zastosowania i znaczenia, ale w ogóle był niesłychanie sympatyczny i lubiany w naszym gronie. Docent Kruszko - kawaler koło pięćdziesiątki, współpracownik inżyniera Suchmaka, nieomal się z nim zaprzyjaźnił mimo różnicy poziomu intelektualnego.

Nie mogłam nie zauważyć, że pan docent zdradza niejaki zainteresowanie moją osobą, co zresztą było zupełnie przyjemne. Teraz też rozłożył z namaszczeniem kąpielowy ręcznik na małym, wolnym skrawku piasku koło mnie i rozciągnął się na nim z błogim uśmiechem.

- Oj, panie Józiu, panie Józiu - szczebiotała, sepleniąc Marzena - pan mnie wyraźnie zdradza. Mojej rączki to pan nie chce całować, tylko pani Idy. A ja już miałam pana z panem docentem zaprosić do nas do pokoju na koniaczka z pięcioma gwiazdkami.

- Koniaczek, koniaczkiem, a ja tymczasem pozwoliłem sobie przynieść szampana. Mam nadzieję, że nasze miłe panie nie odmówią - pan Józio już sięgał do teczki.

- Może później, teraz się wykąpiemy - wtrącił docent

Kruszko, widząc mój niechętny gest.

- Tak, tak, chodźmy się kąpać - zagruchała Marzena.

W wodzie było jak zwykle świetnie. Odplynęłam dość daleko, za mną z pewnym wysiłkiem podążał pan docent, a przed nas wysforował się pełen wigoru i niespożytych sił pan Józio. Marzena, która nie umiała pływać, śmiesznie kucała w wodzie przy brzegu. W pewnej chwili zgubiłam docenta i popłynęłam sama. Położyłam się na plecach i patrzyłam z uśmiechem na bezchmurne niebo. Monika miała rację - ten wyjazd był mi potrzebny. Poczułam się odrodzona, młodsza o „kopę” lat, nawet obudziło się we mnie coś w rodzaju kobiecości, która zdawała się już ginąć naturalną śmiercią. Chyba po półgodzinie tego czynnego relaksu zdecydowałam się wrócić do reszty towarzystwa.

Na brzegu w niedbalej pozie stał wysoki, muskularny mężczyzna, opalony na mahoń, o przystojnej twarzy amanta filmowego i przyglądał mi się z zainteresowaniem ze zmrużonymi oczyma. Wydawało się to wprost nienaturalne, ale ten młody człowiek wyraźnie zwrócił na mnie uwagę i szukał okazji do zawarcia znajomości. Zauważyłam go już parokrotnie w restauracji „Czarnomorec” w czasie posiłków. Sądząc po wyglądzie i zachowaniu na pewno był cudzoziemcem.

No nie, takiego rodzaju podbojów zupełnie nie oczekiwałam. Chyba trzeba upaść na głowę, żeby interesować się w jego sytuacji starą babą.

- Już się bałam o panią, tak długo pani nie było - powiedział docent, kiedy wróciłam na swój ręcznik.

- Pływam jak ryba od małego dziecka - uśmiechnęłam się - więc nie należy się o mnie bać.

- Moi panowie - świergotała Marzena. - Czy wiecie, że pani Ida nie chce dzisiaj z nami pójść na dancing? Rozbija nam towarzystwo. Może panowie będą umieli namówić, bo mnie się pani Ida nie słucha.

- Ależ, pani Ido, jak można nas tak malwersować i to pani taka efemeryczna istota - pan Józio przyłożył mokrą rękę do włochatej piersi.

- Panie Józefie, pani Ida na pewno nie jest malwersant-ką -

nie mogąc się już powstrzymać docent parsknął śmiechem. - A poza tym mam nadzieję, że nie odmówi nam swego udziału w naszej małej eskapadzie.

- Gotów jestem w tej intencji pójść na piechotę do Częstochowy - deklamował dalej nieszczęsny Józio, który nie zrozumiał wcale, o co chodziło docentowi. Poczułam nagle tak silną i nieprzepatą ochotę do śmiechu, jakbym miała osiemnaście lat. Żeby się opanować i nie zrobić przykrości Józiovi, zaproponowałam powrót do hotelu ze względu na zbliżającą się porę obiadową.

Kiedy wylegiwałyśmy się na swoich łózkach hotelowych w czasie sjesty popołudniowej, Marzena znów powróciła do tematu dancingu.

- Tak się cieszę, pani Ideczko, na dzisiejszy ubaw. Pani się już zgodziła, prawda? I wie pani - pan Zenek ten dyrektor z Suwałk, który siedzi przy naszym stole, też ię z nami wybiera.

- Nie wiem, czy będziecie mieli ze mnie pociechę.

Prawdę powiedziawszy już dawno zapomniałam się bawić, a tańczyłam chyba ostatnio ćwierć wieku temu. Ale mogę wam pomatkować.

- Co też pani mówi, pani Ido, pani jest szalowa babka. Co prawda, kiedy pierwszy raz panią zobaczyłam, była pani strasznie blada, prawie szara, ale teraz jak się pani opaliła, to wygląda pani na jakieś trzydzieści dwa, no najwyżej trzydzieści cztery lata.

- Chyba śmiało może pani jeszcze trochę dołożyć. Wcale się nie obrażę.

- Ależ skąd. Tak jest naprawdę. I takie ma pani ładne sukienki, same zagraniczne. A kiedy pani włożyła to błękitne poncho, wszyscy się za panią oglądali.

- Prawdopodobnie za ponchem, a nie za mną, ale pani miła jest, Marzenko.

- Wcale nie, pani jest naprawdę śliczna. Zupełnie w typie Ludwiczka. On lubi tylko blondynki i dlatego muszą stale odbarwiać włosy. Wie pani, ja z Ludwiczkiem często chodzę w Warszawie do Kongresowej i do Kamieniołomów. Mogłabym tańczyć bez przerwy przez dwadzieścia cztery godziny. Tylko

Ludwiczek jest za gruby, dostaje zadyszki.

Trochę przysypiałam, a Marzena paplała i paplała. „Jest mi tu dobrze - pomyślałam - bardzo dobrze. Nie muszę pamiętać o wiecznie przepalających się czajnikach, wyłączaniu żelazka, listach przewozowych Hartwiga, oglądać Andrzeja, Zygmunta, kichającej Basi, Danusi. Mogę zapomnieć o wszystkim, co mnie dotąd dręczyło. Tutaj jest tylko słońce, morze i weseli, opaleni ludzie spragnieni rozrywki i zabawy”. Chyba jednak zasnęłam, automatycznie kiwając głową nie przerywającej monologu Marzenie. Obudziło mnie jej wołanie:

- Pani Ideczko! Już niedługo kolacja, trzeba się ubierać I - po dłuższych oporach włożyłam za namową Marzeny ową powiewną, wydekoltowaną długą suknię, którą pożyczyła mi Teresa, jako że wieczór był piękny, ciepły, rozbrzmiewający racami wesołego śmiechu, przeświełtłony czerwienią roztapiającego się w morzu słońca i jakby zachęcający do romantycznych przygód.

Nieustępliwa Marzena zrobiła mi maquillage, piejąc z zachwyty nad moim wyglądem, mimo iż parokrotnie ścierałam szminkę i złorzeczyłam, że robi ze mnie clowna. Restauracja „Czarnomorec”, w której stołowała się nasza grupa wycieczkowa, położona była kilkadziesiąt metrów od hotelu. Jak zwykle o tej porze panował tu ogromny ruch. Kolacje w „Czamomorcu” mają swój specyficzny, niepowtarzalny charakter uroczystości celebrowanych na cześć Bacchusa, oszalamiają gości i wprowadzają w stan podniecenia na skutek podawanego do stołu wina, uderzającego do głowy lekkim i miłym szmerem. Akompaniament orkiestry, wygrywającej raz rzewne, raz skoczne melodie, sprawia, że pary ruszają do tańca między jednym daniem a drugim. Tego wieczoru także różnobarwny i różnojęzyczny tłum z dominującym językiem polskim i niemieckim falował na parkiecie w ogródku, na zewnątrz restauracji, a refrenista w białym smokingu chrząkał, podrygując w ekstatycznych drgawkach.

Docent i pan Józio siedzieli już przy stoliku, pałaszując sałatkę z pomidorów, papryki i ogórka. Na nasz widok o mało nie zakrztusili się połykanymi właśnie kęsami. Szczególnie na

twarży docenta odbiło się wyraźnie zaskoczenie, jakby nie dowierzał własnym oczom, że jestem tą samą osobą, która przed kilkoma godzinami leżała zasmarowana tłuszczem na plaży, a potem ociekała wodą z włosami jak strąki.

- A oto i nasze piękne panie - nie omieszkaj zadeklamować pan Józio, jakby dokonywał epokowego odkrycia.

- Nie tylko piękne, ale cudowne - ukłonił się z galanterią pan docent, patrząc wymownie w moją stronę. Ponieważ pan Zenek rezerwował nam stolik w Monastyrskiej Izbie kosztem własnej kolacji, przenieśliśmy się tam szybko, po spełnieniu kilku toastów z przydziałowego wina.

Na środku, pod gołym niebem, w przyćmionym świetle lamp, szalało już szereg par, orkiestra grała rozdzierające tango, strzelały korki od szampana. Docent natychmiast porwał mnie do tańca, a przed Marzeną wyrósł jak spod ziemi jej wielbiciel Bułgar. Nie tańczyłam już tak dawno, że obawiałam się, iż się skompromituję i rozciągnę jak długa na środku parkietu razem z panem docentem, ale niebawem okazało się, że taniec jak przed laty zaczyna sprawiać mi przyjemność. Co prawda partner był nieco niższy ode mnie i miał niemiły zwyczaj posapywania w okolicy mojej szyi, ale poruszał się lekko i odznaczał niezłym wyczuciem rytmu. Ledwo ukończyłam płąsy z docentem, zabrzmiała nowa melodia i jakaś postać męska oderwała się od sąsiedniego stolika, kierując w moją stronę.

„Co za diabelne powodzenie” - pomyślałam zionąc jak kudłaty psiak w czasie upału, gdyż ostatni żywiołowy kawałek dobrze dał mi w kość. Już miałam zamiar odmówić, kiedy zamurowało mnie wprost ze zdziwienia. Przedemną zgięty w nienagannym ukłonie stał ów młody, urodziwy cudzoziemiec, który od pewnego czasu obserwował mnie z daleka. Zauważyłam, że oczy Marzeny zrobiły się duże jak spodki z wrażeń i podziwu, więc zmieniłam zamiar i wdzięcznie poderwałam się z miejsca, jakby taniec z synami lordów i królów nafty był dla mnie Chlebem powszednim. Zrobiliśmy kilka okrążeń wśród tańczących par, kiedy nieznajomy odezwał się nagle po niemiecku:

- Piękna pani, dlaczego pani mnie unika? - pochylił przy tym twarz znakomicie opaloną, zbliżając niemal do mego policzka.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi - powiedziałam, gdyż byłam tak zaskoczona, że nie umiałam nic więcej wymyślić.

Muszę się z panią spotkać. Proszę powiedzieć, kiedy i gdzie? - ciągnął dalej przytłumionym głosem, który nieoczekiwanie nabral jakby rozkazującego tonu.

„A cóż za obcesowy sposób zawierania znajomości. Czyżby taka forma przyjęta była na Zachodzie? Wygląda na to, że ja muszę się z nim umówić, kiedy on tego sobie życzy” - pomyślałam z irytacją.

- A jeśli odmówię? Czy jest pan przyzwyczajony do tego, że kobiety tak łatwo ulegają pana żądaniom?

- Schöne Dame, jest pani bardzo interesującą kobietą i ma pani urzekające oczy, dlatego chciałbym, żebyśmy się dobrze zrozumieli. A więc kiedy i gdzie się spotkamy?

- Nigdy i nigdzie - byłam już podenerwowana jego natarczywością.

Ramię, obejmujące mnie w pół, wzmocniło swój uścisk.

- Mam nadzieję, że zmieni pani jeszcze zdanie. Będę czekał.

- Jaki on przystojny i elegancki - szepnęła porozumiewawczo Marzena, kiedy powróciłam do stolika, a mój danser pożegnał mnie ceremonialnym ukłonem.

I wtedy stało się to, czego nie mogłam się nigdy w życiu spodziewać, a co sprawiło, że cały świat zawirował nagle przed moimi oczyma i poczułam, że mdleję. Tylko siłą woli, przytrzymując się blatu stolika, powróciłam do przytomności: w gęstwie otaczających nas ludzi, zobaczyłam Łukasza Świronia. Siedział z kilkoma osobami bardzo blisko. Blask padający z latarni oświetlał jego twarz, tak mi drogą, która od tyłu lat pojawiała się w moich snach i wspomnieniach. Nie był to oczywiście młodzieniec, który pełen żarliwych uniesień żegnał mnie w ów pamiętny, sierpniowy poranek, ale dojrzały mężczyzna w średnim wieku o mocno przerzedzonych włosach. Rysy jego zmienione były przez upływ czasu, ale tak właśnie powinien wyglądać Łukasz po upływie dwudziestu pięciu lat.

Zaczęłam gwałtownie otwierać i zamykać oczy, co przez

postronnych obserwatorów mogłoby zostać uznane za nerwową tick, aby upewnić się, czy to nie zjawy - omam wywołany nadużyciem alkoholu, ale obraz pozostał stale ten sam: Łukasz albo osoba, która mogłaby znakomicie być za niego poczytaną, siedzący w otoczeniu dwóch kobiet i dwóch mężczyzn. W stronę naszego stolika płynęły wśród ogólnego śmiechu i wrzawy urywane strzępy zdań wypowiedziane przez tamto towarzystwo, jak mi się wydawało - w języku niemieckim.

A więc w tak niespodziewany i tragicomiczny sposób miało runąć moje wyobrażenie o wielkim, niezłomnym bohaterze, piewcy wolności, świętym idolu młodości, wzniesionym przeze mnie na niebosiężny piedestał? Po to przeżywałam tyle lat udręki, samozaparcia, wyrzeczeń, nękana wyrzutami sumienia, aby się przekonać, że on... W takim razie w imię czego? Gdyby nie ludzie, zaczęłabym wyć wielkim głosem nad swoją życiową kłeską. Po pewnej chwili nasunęło mi się jednak przypuszczenie, że mężczyzna ten mimo łudzącego podobieństwa nie był Łukaszem, tylko jego sobowtórem. W końcu upłynęło tyle lat, mogłam i ja pamiętać go mniej dokładnie, niż mi się wydawało. Co prawda sklepienie czoła, zarys brwi. nieco trójkątny kształt twarzy przypominały do złudzenia utrwalone w pamięci rysy Świronia. Brakowało tylko obramowania gęstych, falujących włosów i to stanowiło zasadniczą różnicę. Ale czy istniała pewność, że się nie mylę? Miniony czas mógł przecież w zupełnie inny sposób uformować wygląd autentycznego Łukasza, ponadto ten, którego brałam za ideał moich lat młodszych, był prawdopodobnie cudzoziemcem, aczkolwiek prowadzenie rozmowy w obcym języku nie było tego dowodem.

Patrzyłam na niego tak długo, że każdemu mogłoby się to wydać podejrzane, gdyby nie kilka butelek szampana, spełnionych przy naszym stoliku. Zauważyłam, że siedzi prawie milcząco, biorąc niewielki udział w ogólnej, ożywionej rozmowie, jakby był niezainteresowany otaczającymi go ludźmi. Chciałam, żeby na mnie spojrzał, żeby jego oczy spotkały się z moimi. Byłby marmurem, a nie człowiekiem, gdyby nie zareagował na mój widok. A może już dawno mnie

spostrzegł, tak jak i ja jego? Zakładając, że to jest Łukasz, dlaczego nie odezwał się do mnie przez te wszystkie lata, dlaczego zlekceważył tak święty, jak mniemałam, związek i poszedł inną drogą?

Ale to wszystko bzdura. Przecież Świroń nie żyje. Wojtek nie mógł się mylić, był jego najbliższym kolegą. A więc jakimś szatańskim zbiegiem okoliczności, tu na obcej, a przyjaznej ziemi, w pięknej scenerii przyrody ujrzałam widmo minionych lat. Jednak wątpliwości moje nie ustawały. Z trudem zdołałam opanować pragnienie podejścia do niego i zawołania po imieniu.

Na szczęście pan Zenek poprosił mnie do tańca i dobrze się stało, bo ustrzegł mnie od publicznego wygłupienia się, stwierdziłam bowiem w pewnej chwili, że spojrzenie domniemanego Łukasza absolutnie obojętnie ześliznęło się po mojej twarzy. A więc był to zupełnie obcy człowiek, gdyż trudno mi było nawet przypuścić, żeby tak panował nad sobą. Po chwili jednak uświadomiłam sobie, że Świroń mógł mnie nie poznać. Życie jego potoczyło się przecież odmiennymi drogami, więc spotkanie kobiety, z którą w gruncie rzeczy przelotnie był związany, nie wywoływało w nim już żadnych wzruszeń. Poza tym wpływ czasu mógł zatrzeć mój obraz w jego pamięci. Być może, że to, co ja uważałam za największe przeżycie, dla niego było tylko błahym epizodem bez znaczenia.

Nie będę się tak przejmować, nawet nic nie wspomnę o tym Monice. Chcę, żeby portret ojca w tym kształcie, w jakim go jej przekazałam, pozostał nieskalany w jej wyobraźni, choćbym miała niezbitą pewność, że nieznamy jest Łukaszem.

Orkiestra grała zapamiętałe „besa me, besa me mucho”, a mnie ogarnął swoisty, specyficzny humor. Zaczęłam szaleć jak dzierlatka, prawie się upiłam, nie bacząc na zgorzenie, jakie mogłam wywołać, gdyby zobaczył mnie któryś pracownik „Radexu”, uczestniczący w wycieczce. Wdzięczyłam się do docenta, który nie spodziewając się takiej metamorfozy omal mi się nie oświadczył w pijackim widzie. Jednocześnie kątem oka obserwowałam ewentualnego Świronia, który w ogóle nie tańczył, siedząc na jednym miejscu... Stwierdziłam, że jego

zimne, dalekie spojrzenie parokrotnie zawisło na mojej twarzy. Jeżeli to jest jednak Łukasz - niech widzi, że nie zginęłam bez niego, że się bawię, podobam mężczyznom, jeżeli jest to obcy człowiek - to też mi wszystko jedno. Niech to będzie stypa po mojej wielkiej miłości, jedyna, wielka okazja, żeby się dobrze zabawić. Szalowy nastrój został przerwany przez Marzenę, która ugryzła pana Zenka w ucho i dostała histerycznego ataku śmiechu, trzeba było ją natychmiast wyprowadzić. Wychodząc obejrzałam się: miejsce, gdzie siedział sobowtór Łukasza, było puste.

Tej nocy nie mogłam zasnąć. Odżyły wspomnienia już wyblakłe, teraz znów pełne dawnych barw... Oto Łukasz śmieje się szczerze... Jest w szarej marynarce, w której wygląda znakomicie, koszulę ma rozpiętą, czuję jego ramię, którym mnie mocno przytula, widzę kawałek jego twarzy i szyi ze śmiesznym, czerwonym znamieniem w kształcie gwiazdy, za chwilę schyli się jeszcze bardziej, żeby mnie pocałować...

Co to ja pomyślałam? O znamieniu? Z podniecenia usiadłam na łóżku. Muszę, za wszelką cenę muszę jak najszybciej sprawdzić, czy mężczyzna z dancingu ma znać mnie na szyi, i wtedy będę wszystko wiedziała.

Monika wchodziła przez wahadłowe drzwi kawiarni „Europejska” z mieszanymi uczuciami zaciekawienia i bliżej nieokreślonego niepokoju, czy postępuje lojalnie wobec swojej matki. Osobą, z którą miała się spotkać, był bowiem Wiktor Mączyk - były mąż Idy Czerskiej, z którym, zgodnie z posiadanymi przez Monikę wiadomościami, rozstała się przeszło dwadzieścia lat temu po krótkim i burzliwym pożyciu. Mączyk zadzwonił wczoraj po południu, ucieszył się słysząc jej głos, pytał ją o matkę, a kiedy dowiedział się, że wyjechała, zupełnie swobodnie i po prostu zaproponował spotkanie, jakby nie było w tym nic dziwnego i zaskakującego.

Monika przystanąła na progu sali, zastanawiając się, w jaki sposób Mączyk ją pozna. Kilku mężczyzn siedzących przy stolikach podniosło głowy na widok jej zgrabnej, młodzieńczej sylwetki w letniej, obcisłej sukience. Lubiła specyficzny klimat

w kawiarni, szumiącej gwarem głosów zmieszanych z dyskretnymi tonami fortepianu, z brzękiem łyżeczek i szkła, przesyconej dymem z papierosów. Nie były je niemiłe spojrzenia męskie taksujące jej urodę i składające jej niemy hołd, nie lubiła jednak czekać na umówioną osobę. Upłynęło jednak zaledwie kilkanaście sekund, a średniego wzrostu mężczyzna o lekko falujących włosach, w modnie skrojonym garniturze znalazł się przy jej boku.

- Witam cię, Moniko - powiedział wyciągając ku niej rękę i wskazując miejsce przy stoliku. - Cieszę się bardzo, że przyszłaś. Czego się napijesz? Proszę koniak, czarną kawę, melbę - już zamawiał u jasnowłosej kelnerki, która uśmiechem dawała do zrozumienia, że zna Mączyka jako stałego i cenionego gościa.

- Jesteś piękną dziewczyną - ciągnął przyglądając się jej z zainteresowaniem. - Wybacz, że mówię tak obcesowo, ale był czas, że traktowałem cię jak swoją córkę i chciałbym, żeby tak było nadal. Czy masz coś przeciw temu?

- Nie, nic oprócz tego, że właściwie się nie znamy.

- Rozumiem, mój telefon i ta propozycja spotkania po tylu latach milczenia jest dla ciebie zaskoczeniem. Właściwie chciałem zobaczyć się z matką, ale kiedy usłyszałem twój głos, zapragnąłem z tobą osobiście porozmawiać i naprawdę szczerze się bałem, że mi odmówisz.

- Nie odmówiłam i jestem - roześmiała się. - Ale jest dla mnie zagadką, w jaki sposób pan mnie tak łatwo rozpoznał?

- To nie było trudne. Killakrotnie widziałem was obie - ciebie i Idę - razem na ulicy i w sklepie. Ostatnio, kiedy robiłyście zakupy w CDT. Wiesz, Moniko, tyle jest do powiedzenia, że właściwie nie wiem, od czego zacząć. Zdaję sobie sprawę, że twój stosunek do mnie jest negatywny, gdyż matka nie mogła zachować o mnie dobrych wspomnień. Ale jeżeli mówiła ci o mnie coś złego, to miała rację. Byłem młody, głupi i nikczemny. Posiadałem kobietę piękną, ufną, dobrą i nie umiałem jej uszanować. Musisz mi uwierzyć, że do dzisiejszego dnia żałuję tego, co się stało. Postąpiłem okrutnie, zostawiłem właściwie dwoje dzieci bez opieki. Często przez te lata o tym myślałem.

Monika patrzyła na Mączyka z niedowierzaniem i zdziwieniem. To niespodziewane skierowanie z miejsca rozmowy na tor tak osobistych wynurzeń, to samooskarżenie przed bądź co bądź nie znaną osobą było wprost szokujące. „Chyba popił sobie trochę” - pomyślała, ale nic w wyglądzie Mączyka o tym nie świadczyło. Był nienagannie elegancki, może o jeden ton za bardzo, za krzykliwie, ale jednocześnie znośnie. Wprawdzie sprawiał wrażenie człowieka czymś zgnębnego, a nawet podenerwowanego, gdyż rysy twarzy ściągnięte miał jakimś grymasem, trochę wpadnięte oczy i pofałdowane czoło, ale mówił płynnie, ze swobodą, a w jego głosie brzmiała nuta szczerości. Mimo to jednak nie mogła opanować się pokusie powiedzenia: - Jak pan widzi, jednak żyjemy i czujemy się dobrze.

- Tak, Ida jest dzielną kobietą - pominął tę złośliwą uwagę. - Potrafiła sama stawić czoło wszystkim przeciwnościom. Widzisz, z biegiem lat człowiek wraca do przeszłości, trudno jest wszystko wykreślić z pamięci. I tak jest ze mną. Nie chciałbym mieć stale poczucia wyrządzonej komuś krzywdy. Może to brzmi pompatycznie, ale tak jest w istocie. W jakimś okresie żywota człowiek robi podsumowanie i okazuje się, że gdzieś tam bilans jest ujemny. Może uczyniłem to trochę późno, ale zawsze lepiej niż wcale. W każdym razie jeżeli tylko mogę być wam w czymś pomocny, to zawsze służę w miarę swoich sił i możliwości.

- Dziękuję, ale nie sądzę, aby mama chciała skorzystać z tej oferty. Już od lat przywykła sama dawać sobie radę.

- Rozumiem cię, Moniko, i zdaję sobie sprawę, że nie możesz mieć do mnie zaufania. Ale wierz mi: wiele w życiu przeszedłem i nauczyłem się. Jestem zupełnie innym człowiekiem. Nawet zmieniłem nazwisko, żeby zapomnieć o tamtej osobowości. Nazywam się teraz Mączarowski.

- Jednym słowem dręczą pana wyrzuty sumienia i chciałby pan naprawić grzechy młodości - roześmiała się Monika.

Po twarzy Mączyka przemknął skurcz, jakby słowa te trafiły w sedno sprawy.

- Mam nadzieję, Moniko, że jednak przewycięzę twoją

niechęć. Możesz zawsze na mnie liczyć. Mam szerokie znajomości w kręgach filmowców, w świecie artystycznym. Z twoją sceniczną urodą mogłabyś zrobić karierę. Może jeszcze kieliszek koniaku? I nie mów do mnie „pan”, bardzo proszę. Rozumiem, że nie możesz nazywać mnie ojcem, chociaż ja zawsze uważałem cię za swoją przybraną córkę, ale sprawiłabyś mnie dużą przyjemność mówiąc mi po imieniu. Zgoda?

- Zgoda - przytaknęła Monika, stwierdzając w duchu, że ten człowiek jest właściwie zupełnie sympatyczny i że nie ma powodu, aby okazywać mu wrogość.

Do Europejskiej napłynęła teraz fala gości, stałych bywalców, którzy przeważnie dosiadali się do swoich znajomych. Gwar głosów przypominał brzęczenie pszczoł wokół uli. Mączarowski wymienił szereg głębokich ukłonów z kilkoma mężczyznami, a wśród nich z dwoma znanymi aktorami warszawskimi.

- Ten pan w okularach - powiedział mimochodem, wskazując tęgiego blondyna o rumianych policzkach - to reżyser telewizyjny, Brzęszycki, mój bliski przyjaciel. Realizuje teraz serial „Kulisy słynnych procesów”. Ale słuchaj, Moniko, mam pewną propozycję. Pojedźmy do mnie, do domu. Pokażę ci, jak mieszkam. Mam własny domek na Urugwajskiej. Jestem ciekaw, czy ci się spodoba. Porozmawiamy tam spokojnie. Chciałbym się tyle dowiedzieć o tobie, o twojej matce. Jakaś mała przekąska znajdzie się w lodówce. Sądzę, że mi nie odmówisz?

„Ostatecznie mogę się zgodzić, nie ma w tym nic złego” - pomyślała wstając od stolika.

Rozdział IV

- Pani Ideczko, telefon do pani! - zawołała Marzena, wbiegając do naszego pokoju w momencie, kiedy po przyjściu z plaży przebierałam się do obiadu.

- Telefon? - zapytałam ze zdziwieniem, jakby Marzena była w stanie wytłumaczyć mi ten zdumiewający fakt. -Nie

spodziewam się od nikogo.

- Może od kogoś z pani wielbicieli? O, pani Ideczko, pani wczoraj była niesamowicie szykowna i wszystkich pani podrywała. Ten cudzoziemiec jest bardzo podobny do Gregory Pecka. A mówiłam, że będzie świetny ubaw. Dzisiaj też pójdziemy, dobrze?

- Co to, to nie. Ja już nigdzie nie idę - oznajmiłam, szamocąc się z zaciętym suwakiem.

Na dole portier wskazał mi odłożoną słuchawkę.

- Schöne Dame - zawibrował męski, głęboki głos. - Mam nadzieję, że się pani już namyśliła i zechce ze mną spotkać.

- Kto mówi? Nie wiem, o co panu chodzi.

- Schöne Dame, proszę mnie nie drażnić. Jestem i tak bardzo cierpliwy. Czekam na panią dzisiaj wieczorem przy basenie solankowym w kawiarence.

- Dobrze pan wie, że nie przyjdę. Nie warto się było trudzić.

- Niech pani nie będzie niemądra. A więc o dziewiątej, to umówione.

W aparacie coś zabrzęczało, rozmowa była skończona.

„Co za natręt z tego Niemca - pomyślałam. - Co go do tego upoważnia, żeby tak bezceremonialnie, wręcz niegrzecznie nalegać na spotkanie. Dlatego, że jest uderzająco przystojny, uważa, że wystarczy mu każdej kobiecie kiwnąć palcem, żeby za nim poleciała”. Widocznie mnie śledził, skoro wie, gdzie mieszkam. A zresztą, co on mnie obchodzi. Niech sobie czeka do samego rana. Musiałam chyba rzeczywiście porządnie narozrabiać na wczorajszym dancingu, bo w zachowaniu pana docenta odczułam wyraźnie zmianę, spowodowaną prawdopodobnie awansami, jakie mu czyniłam. W jego uśmiechu, spojrzeniu można było odczytać zadowolenie, a nawet pewność siebie, której nigdy nie przejawiał. Wobec tego postanowiłam zgasić zapędy wszystkich panów i jak najwcześniej wieczorem udać się do pokoju. Byłam zmęczona i pragnęłam wszystko, co się zdarzyło, raz jeszcze przemyśleć i zrekapitulować. Udzieliłam więc Marzenie błogosławieństwa na nowe dancinowe szaleństwo i z przyjemnością położyłam się do łóżka. W pokoju było cicho, tylko przez otwarty balkon

dobiegały odgłosy rozśpiewanej, roztańczonej Drużby. Zgasiłam światło, ale natłok myśli nie pozwolił mi zasnąć.

Już z samego rana przekonałam się, że mężczyzna z Monastyrskiej Izby, którego widok tak mną wstrząsnął, nie był Łukaszem Świroniem. Spotkałam go na plaży. Stał nad brzegiem morza i sylwetka jego wydała mi się tak bliska, tak znajoma, że poczułam ogarniający mnie niepokój. Wtedy zdecydowałam, że muszę tę sprawę ostatecznie wyjaśnić. W tym celu obeszłam go od tyłu i zajrzałam mu przez ramię. Nie był to bardzo zręczny manewr, ale w tłumie plażowiczów nie zwrócił niczyjej uwagi. Na szyi mężczyzny, zaczerwienionej od słońca, o złuszczonej skórze, nie było znamienia. Mogłam teraz spokojnie wznieść z powrotem na piedestał strąconego bożka mojej młodości. Moja zraniona duma i ambicja doznawała w tym żalonym potwierdzeniu nieodwracalnych faktów - ukojenia. Myśląc o tym uspokajałam się wewnętrznie i powoli zasypiałam. Nagle usłyszałam jakiś szelest i zamarłam w bezruchu. Na tle matowej szyby, oddzielającej nasz balkon od sąsiedniego - zamajaczył cień. Ktoś usiłował przełożyć nogę przez poręcz i dostać się do środka. Strach chwilowo sparaliżował mi mowę i przyprawił o gwałtowne bicie serca. Za drzwiami balkonu dojrzałam wyraźnie męską sylwetkę.

— Kto tam? - krzyknęłam przeraźliwie, zrywając się z łóżka i jednocześnie ręką sięgnęłam do kontaktu przy lampce nocnej. Tajemniczy intruz wykonał na balkonie kilka nieskoordynowanych ruchów, po czym zapanowała zupełna cisza. Przez parę minut trwałam w dziwnej pozycji, stojąc na jednej nodze, gdyż drugiej nie zdążyłam jeszcze wyciągnąć spod koca i nie mogłam się zdecydować na powrót do łóżka. Wreszcie skoczyłam gwałtownie do drzwi balkonowych, zamknęłam je oraz wszystkie inne otwory, przez które mógłby przedostać się chociaż centymetr powietrza, na skutek czego w pokoju zrobiło się niesamowicie duszno. Żeby powrócić do równowagi, wzięłam prysznic i od razu wszystko wydało mi się zupełnie proste, a nawet komiczne. Na pewno jakiś amator łatwych przygód, amant którejś z pań biorących udział w wycieczce zakradł się do swojej wybranki i pomylił drzwi. Nie

jest też wykluczone, że Marzena swoją kokieterią zachęciła któregoś z wielbicieli do takiego wyczynu akrobatycznego. Niezależnie od tego, kim był, musiał wyglądać, zawieszony pod poręczami balkonu, jak aktor w burlesce z epoki niemego filmu. Mimo woli uśmiechnęłam się i otworzyłam okno. Było już późno. Drużba zaczynała przycichać. Gdzieś tylko odzywały się głosy szalejących „by night” - turystów.

Na drugi dzień Marzena aż piszczała z uciechy, kiedy jej opowiedziałam o nocnym gościu, i zaręczała, że przyszedł do mnie.

Przy straganie z brzoskwiniami uformowała się kolejka wczasowiczów zerkających pożądliwie ku załadowanym skrzynkom. Urzeczona tą okazją stałam już około dziesięciu minut za otyłą Niemką, strofującą ustawicznie swoje dwie rozkrzyczane pociechy, usiłujące wywalić stertę pustych skrzyń po brzoskwiniach. Ponieważ słońce jeszcze silnie przygrzewało, opalałam twarz, mrużąc oczy, z głową zadartą do góry. Ktoś stojący za mną powiedział kilka słów, odnoszących się do wyglądu owoców, jakby chcąc przyciągnąć moją uwagę. Odruchowo odwróciłam się i spotkałam oko w oko z moim cudzoziemskim adoratorem. Uśmiechnął się, a jego mocne, równe zęby błysnęły bielą na tle mahoniowej opalenizny twarzy.

- Co za szczęście znów zobaczyć panią - ukłonił się z przesadną kurtuazją. Ubrany był w białe spodnie, sportową pasiastą koszulę odsłaniającą muskularne ramiona, a w ręku trzymał zawinięte w papier kwiaty.

Odpowiedziałam mu lekkim skinieniem głowy, postanawiając nie zwracać na niego uwagi. Nagle poczułam jego oddech przy swojej twarzy. Mówił prawie szeptem:

- Dlaczego nie przyszła pani na spotkanie?

- Nie byłam w odpowiednim humorze - mruknęłam wyraźnie akcentując niechęć do kontynuowania rozmowy.

- Bardzo nieładnie z pani strony. Czekałem dwie godziny. W takim razie w tym samym miejscu dzisiaj...

- Będzie się pan znów na próżno fatygował.

- Schöne Dame, niech pani nie kaprysi. Ja jutro wyjeżdżam.

- Cóż, życzę panu dobrej podróży.

- Jak widzę, jest pani w nastroju do żartów. Jednak będę nieustępliwy, tak łatwo się mnie pani nie pozbędzie...

Już miałam odpowiednio zareagować na tę niezwykłą natarczywość, kiedy usiłowania młodych Niemców zostały uwieńczone pomyślnym rezultatem i piramida skrzyń rozleciała się na wszystkie strony z piekielnym hałasem, budząc popłoch wśród ogonkowej klienteli. W tym momencie mój adorator wręczył mi niespodziewanie kwiaty, które trzymał w ręku, i nim zdążyłam zaprotestować, oddalił się śpiesznym krokiem. Kiedy objuczona kilkukilogramową torbą brzoskwiń powróciłam do hotelu, kwiaty wypadły mi z ręki i rozsypały się po podłodze. Były to czerwone róże o delikatnych płatkach, na długich łodygach. Do jednej z nich przyczepiony był mikroskopijny bilecik z jednym tylko słowem, tym razem w języku polskim: „Czekam”. Trudno o bardziej treściwą i konkretną propozycję - stwierdziłam, nie wiedząc w końcu, czy śmiać się, czy gniewać. A jeżeli to on zakradł się w nocy do naszego pokoju? Czyżby to było możliwe? Zanim przyszła Marzena, rozważałam taką ewentualność, ale odrzuciłam ją jako całkowicie niedorzeczną. Przecież nikt zdrowy na umyśle nie dopuściłby w publicznym miejscu do takiego skandalu, aby napadać na kobietę wbrew jej woli, tym bardziej że amaterek łatwych przygód można było tu znaleźć na kopy, i to młodszych o dwadzieścia lat. Nie, niewątpliwie było to umówione rendez-vous z niespodziewanym dla partnerów finałem.

Uśmiechnięty Łukasz stał koło mnie, jak niegdyś przed laty. Wyciągnął ręce, jakby pragnął mnie objąć, a ja usiłowałam się do niego zbliżyć. Ale jakiś cień stanął pomiędzy nami: był to młody Niemiec o cynicznej, bezmyślnej twarzy manekina wystawowego z laseczką w ręku. Laseczka nagle zamieniła się w rewolwer wycelowany w piersi Łukasza. Krzyknęłam i w tej chwili pomiędzy mężczyznami rozpoczął się pojedynek, którego stawką było moje serce i ręka. Płakałam, bo tragicznie, aż do bólu pragnęłam być blisko Łukasza, w jego ramionach. Ze łzami obudziłam się na łóżku pokoju hotelowego. Świt

ostrożnie wlewał się przez szyby, za oknami delikatnie zaczęły ćwierkać ptaki. Uświadomiłam sobie, że dzisiaj jest ostatni dzień naszego pobytu w Bułgarii. Po wczorajszej uroczystej kolacji zorganizowanej przez Orbis, uświetnionej bateriami butelek szampana, nasze towarzystwo wybrało się na uroczysty, pożegnalny wypad na dancing. Ja zdecydowanie odmówiłam wzięcia w nim udziału, chociaż wszyscy mnie do tego usilnie namawiali, łącznie z panem docentem, który stosował w tym celu różne uwodzicielskie zabiegi. Marzena permanentnie szalejąca do późnej nocy na dancingach, upojona powodzeniem u mężczyzn różnych nacji, roztańczona, rozflirtowana i nareszcie ładnie opalona, oczywiście pofrunęła razem z naszymi panami na skrzydłach swej trzpiotowatej beztroski. Ponieważ wieczór był wyjątkowo chłodny, gdyż w dzień padał krótki, ale gwałtowny deszcz, poprosiła mnie o pożyczanie poncha, w którym było jej bardzo do twarzy. Co prawda nie lubiłam rozprowadzać dalej pożyczonych rzeczy, ale błękitny kolor poncha tak świetnie harmonizował z opalenizną twarzy Marzenki i złotem włosów, że uległam, a nawet dzieliłam jej dziecinną radość z powodu tak atrakcyjnego wyglądu.

Chciałam się jeszcze trochę zdrzemnąć, ale na próżno. W pokoju było zupełnie cicho, widocznie Marzena spała mocnym snem po wczorajszej hulance. Weszło w zwyczaj, że przychodziła zwykle w środku nocy i wślizgiwała się do łóżka, mrużąc jak zadowolona kotka. Udawałam przeważnie, że nic nie słyszę, aby nie prowokować jej rozszczebiotanych wynurzeń, mogących się ciągnąć aż do rana.

Ostatnie dni w Družbie upłynęły pod znakiem słońca, morza i absolutnego wypoczynku. Nachalny Niemiec przestał mnie niepokoić, nigdzie go nie spotykałam, widocznie rzeczywiście wyjechał. Za to przypadek stykał mnie często z sobowtórem Świronia. Szedł naprzeciw zręcznym, sprężystym krokiem Łukasza, zwykle samotnie z niezmiennie obojętną, kamienną twarzą i niewidzącymi oczyma, nieraz siedział niedaleko w kawiarni, restauracji, płynął w pobliżu w morzu, rozkładał materac dość blisko na plaży. Czasami zaczynałam się

zastanawiać, czy istotnie tylko przypadek decydował o tych spotkaniach, ale rzeczywistość natychmiast rozwiewała tego rodzaju iluzje. Przecież ja po prostu dla niego nie istniałam, byłam małym, ruchomym punkcikiem na tle kolorowej masy wczasowiczów, którego się nie zauważa. Mimo niezaprzeczalnego dowodu, że nie był Świroniem, nie mogłam pozbyć się nawyku utożsamiania go z Łukaszem. Wystarczył jakiś ruch ramion, gest ręki, skinienie głowy, aby nasunąć wspomnienie o tamtym człowieku. Wówczas byłam gotowa biec za nim, stanąć oko w oko, zacytować fragment owego wiersza powstańczego i czekać na jego reakcję. Później od razu mi to przechodziło i śmiałam się sama z siebie, z tych głupich, pensjonarskich zapędów tak nie licujących z moim bądź co bądź statecznym wiekiem.

Słońce niespodziewanie ostrym snopem wpłynęło do pokoju. Nadal panowała kompletna cisza, nie zmacona najmniejszym szelestem. Trochę mnie to zdziwiło, bo Marzena zwykle po tanecznych wyczynach nie spała spokojnie, widocznie jeszcze we śnie przeżywając swoje podboje, toteż uniosłam się na łokciu, aby spojrzeć na jej łóżko.

Ku memu zdziwieniu Marzeny nie było, a łóżko jej pozostało nietknięte. Nigdy dotąd się to nie zdarzyło. Dziewczyna, mimo specjalnego upodobania do rozrywek, zawsze wracała do hotelu. Tym razem jak widać uległa szaleństwu tej właśnie „zielonej” nocy.

„Ostatecznie to jej sprawa, nie jestem stróżem niczyjej moralności” - pomyślałam, zapadając w krótki, mocny sen. Obudziło mnie stukanie do drzwi. Na progu stała recepcjonistka, jedna z kilku dziewcząt, obsługujących gości w hotelu, mówiąca dość biegle po polsku. Na jej śniadej twarzy widać było oznaki zdenerwowania, oczy rzucały rozbiegane spojrzenia.

- Przepraszam, pani proszona jest o zejście na dół do gabinetu dyrektora. Czeka na panią milicja - powiedziała.

- Mjlicja? - ze zdziwienia rozłożyłam ręce.

- Ja nic nie wiem, proszę pani, ale sprawa jest poważna. Gdyby pani mogła się pospieszyć...

Skinęłam głową i zaczęłam się błyskawicznie ubierać, trzęsąc się wewnątrz z niepokojem. Naturalnie od razu wyobraziłam sobie, że będzie to jakaś katastrofalna wiadomość z Polski o Monice.

W standardowo urządzonej gabinecie wyposażonej w biurko i regały siedział z zaferowaną twarzą czarnowłosego dyrektora „Rilli”, pilotka naszej grupy wycieczkowej - drobna, wysuszona pani Maria, której nazwiska nie znałam, i dwóch funkcjonariuszy milicji bułgarskiej, z których jeden był na pewno oficerem.

- Czy pani Idalia Czerska? - zapytał uprzejmie niezłą polszczyzną oficer. - Niestety jesteśmy zmuszeni poprosić panią razem z nami do Warny w dość nieprzyjemnej sprawie i jednocześnie prosić o kilka informacji. Z przykrością powiadamy panią, że pani towarzysza ze wspólnego pokoju, pani Marzena Trudzik, została tej nocy zamordowana. Uprzedzamy, że chodzi o identyfikację zwłok.

Poczułam, że ręce i nogi lodowacieją mi jednocześnie, a serce bije mocno i nierówno. Takiego okropnego finału tego udanego odpoczynku nie przewidywałam w najkoszmarniejszych snach, toteż spojrzałam na sympatycznego skądinąd bruneta wybałuszonymi i przerażonymi oczyma, których wyraz zrobił widać na nim dziwne wrażenie, bo poruszył się niespokojnie na krześle.

- Ale co się stało? Dlaczego? Kto to zrobił? - wykrztusiłam.

- To wykaże niewątpliwie śledztwo. A i pani nam pomoże, mamy nadzieję.

W aucie milicyjnym, którym jechaliśmy do Warny, panowała głucha, przygnębiająca cisza, a mnie prześladowała głupia, uporczywa myśl, że prawdopodobnie zginęło lub zostało zniszczone poncho Teresy i że nie będę mogła go jej zwrócić... Sprawa ta w zestawieniu z tragedią niespodziewanej śmierci młodej, sympatycznej dziewczyny była całkowicie bez znaczenia, ale stanowiła coś w rodzaju tarczy ochronnej przed nawałem makabrycznych myśli i skojarzeń, które by zapewne pozbawiły mnie reszty równowagi psychicznej.

Tak, to była na pewno Marzena. Jej młode ciało leżało na noszach w kostnicy, przykryte prześcieradłem. Twarz jej kredowobiała wyrażała zdziwienie... Porcelanowe oczy lalki ze sztywnymi rzęsami zastygły pod wpółotwartą powieką, a na złotych, puszystych włosach, które wczoraj z taką starannością czesała, było trochę zakrzepłej krwi, gdyż zmarła najprawdopodobniej od postrzału w czoło, na którym widniała okrągła, ciemna plama.

Zachwiałam się na nogach, ale usłużne ramię oficera znalazło się tuż obok. Po jakimś czasie zorientowałam się, że siedzę w gmachu Komendy Milicji, zapewne w pokoju służbowym uprzejmego bruneta, po drugiej stronie jego biurka i piję kawę.

- A więc nic pani nie wiadomo o tym, czy pani Trudzik bała się kogoś lub może spotkała na terenie Drużby osobę, która by kierowała pod jej adresem pogróżki? - pytanie tego rodzaju już nie pierwszy raz padało z ust oficera, który przyglądał mi się badawczo.

- Nie - odpowiadałam z pewnym wahaniem, spowodowanym trudnościami w zebraniu myśli. - Na pewno nie. Nie spędzałyśmy na ogół razem wieczorów, gdyż Marzena, to jest panna Trudzik, chodziła na dancingi, na które ja prawie wcale nie uczęszczałam, ale nic takiego nie mówiła. Na odwrót bawiła się świetnie, bo bardzo lubi... to znaczy lubiła tańczyć. Zawsze była w świetnym humorze.

- A z kim najczęściej chodziła na dancingi?

- Z panami z naszej wycieczki, nie pamiętam nazwisk. Z panem Józefem, z panem Zenonem i czasem z docentem Kruszek z Warszawy. Czy to zrobił jakiś mężczyzna?

- Tego nie wiemy. W każdym razie nie dopuszczono się gwałtu - padła dość brutalna odpowiedź i zaraz następne pytanie.

- A może dostała jakiś list, którym była zaniepokojona?

- O tym też nic mi nie wiadomo. Pannę Trudzik poznałam dopiero w Drużbie, nie znam jej znajomych ani przyjaciół.

“ Czy zmarła nosiła ze sobą biżuterię albo jakąś większą sumę pieniędzy?

Chyba nie. Widziałam, że ma na palcu pierścionek z akwamaryną. Pieniędzy chyba już nie miała. Mówiła, że z przydziałowych zostało dziesięć lewów.

- Tak, to się zgadza. Dziękujemy pani i przepraszamy za zakłócenie urlopu. Zaraz zostanie pani autem odwieziona do Drużby.

Popołudnie spędziłam na pakowaniu walizek. W nocy odlatywał z Warny nasz samolot. Staralam się o niczym nie myśleć, zajmowałam się drobiazgami, jednak ilekroć spojrzałam na łóżko Marzeny, ogarniało mnie uczucie lęku i przed oczyma majaczyła nieruchoma, pozbawiona kropli krwi twarz zamordowanej dziewczyny. W głębi ducha czyniłam już sobie tysięczne wyrzuty, złorzeczyłam na własną słabość charakteru, że uległam niewczesnym pomysłom Teresy i Moniki i dałam się namówić na tę wycieczkę, która miała tak tragiczne zakończenie.

- Trzeba mieć moje szczęście, żeby taki wypadek zdarzył się akurat osobie zajmującej ze mną wspólny pokój -pomstowałam, rozmyślając nad tym strasznym wydarzeniem. Z relacji przekazanych mi w czasie przesłuchania w Komendzie wywnioskowałam, że Marzena została zamordowana w nocy, pomiędzy godziną pierwszą a drugą, na dość odludnej i mało uczęszczanej drodze za hotelem „Rilla”. Strzał oddano z rewolweru zaopatrzonego w tłumik, z bardzo bliskiej odległości.

Personalia zmarłej ustalono na podstawie dokumentów, które znajdowały się w torebce leżącej niedaleko ciała. Śladów rabunku nie stwierdzono, nie był to również mord na tle seksualnym. Właśnie kończyłam podsumowanie tych makabrycznych informacji, kiedy ktoś delikatnie zapukał i na progu ukazali się panowie Józio i Zenek z nieśmiałym i dziwnie zastraszonym wyrazem twarzy, w niczym nie przypominający szalejących do niedawna wczasowych bawidamków. W rękę pana Zenka widniał jakiś na pierwszy rzut oka nierozpoznawalny skrawek materii.

- Siadajcie, panowie - zaproponowałam, wskazując mimowolnie łóżko nieboszczki.

- To straszne, to okropne - zaczęli mówić jeden przez drugiego. - Kto by się spodziewał. Byliśmy przesłuchiwani w Warnie, pani też, prawda? Myśmy przyszli pani zwrócić poncho. Marzena zostawiła je na krześle, kiedy odchodziła, mówiła, że od pani pożyczyła na ten wieczór, bo było chłodno. Siedziała w nim prawie cały czas, bardzo ładnie wyglądała, w oczach pana Zenka mignęło prawdziwe rozrzewnienie.

- Właśnie, taka reprezentatywna dziewczyna, fascynująca otoczenie. Co za nieszczęście - wtrącił grobowym głosem pan Józio,

- Wie pani - pan Zenek widocznie odczuwał gwałtowną potrzebę zwierzeń - siedzieliśmy przy stoliku w trójkę. Marzena miała szalone powodzenie, ciągle ktoś ją prosił do tańca. W pewnej chwili kelner przyniósł jej jakiś bilecik. Bardzo się ucieszyła, kiedy go przeczytała. Powiedziała, że musi na chwilę nas zostawić, bo ma szalową randkę. I odeszła ze śmiechem, rozbawiona. Kto by pomyślał, że już nie wróci.

- Czy milicja wie o tym wszystkim? - zapytałam.

- Tak, oczywiście, niczego nie ukrywaliśmy, nie chcemy utrudniać dochodzenia. Tylko o poncho nic nie mówiliśmy, ale to chyba nieważne, skoro jest pani własnością.

Kiedy wyszli, przez dłuższą chwilę przyglądałam się barwnej szmatce, która tak nieoczekiwanie do mnie powróciła, jak jakiś fetysz o złej mocy. Schowałam ją do walizki, trzymając z obrzydzeniem czubkami palców. Powoli zbliżała się godzina odjazdu. Jak to dobrze, że za parę godzin zobaczę Monikę.

Leżała w nocy z otwartymi oczyma, nie mogąc zasnąć. Siłą powstrzymywała się, aby nie krzyknąć z wściekłości i rozpacz. Nigdy nie spodziewała się, że może ją spotkać tacy niepowodzenie, zrządzone przez ślepy przypadek, a stanowiące ruinę tak pięknie ukartowanych planów. Przecież dotąd umiała usuwać każdą przeszkodę stojącą na drodze realizacji jej zamierzeń, niezależnie od środków, jakimi musiała się posługiwać. Szła do celu, jaki sobie wytyczyła, z całą bezwzględnością i konsekwencją i do tej chwili dopisywało jej piekielne szczęście. I oto teraz głupi pech sprawił, że zamiast

pływać po morzach południowych własnym jachtem i szaleć w najekskluzywniejszych lokalach świata, musi siedzieć jak zaszczute zwierzę w ukryciu bez większych nadziei na pomyślne rozwiązanie sprawy. A jeżeli dowiedzą się o jej kryjówce - oni - ci hojni przyjaciele, którzy w każdej chwili mogą zamienić się w krwawych morderców? Będzie musiała powiedzieć im prawdę, a wtedy co się z nią stanie? Poczowała przyływ lodowatego lęku. Wyciągnęła rękę i dotknęła głowy leżącego koło niej mężczyzny. Spał spokojnie i niefrasobliwie, odwrócony na bok, podczas gdy ona przeżywała całe piekło niepokoju i udręki za siebie i za niego. A przecież to on właśnie przez swoją nieuwagę, lekkomyślność spowodował całą katastrofę, okazał się nieodpowiedzialnym współnikiem. Powinna go za to znienawidzić, ale nie jest w stanie, zresztą co by jej z tego przyszło w sytuacji, kiedy może liczyć tylko na jego pomoc i opiekę. Jedyna nadzieja teraz w tej dziwnej, niezrozumiałej kobiecie, której nie lubiła z całej duszy, oczywiście jeżeli wróci i jeżeli będzie dalej tak naiwna jak dotąd. W poczuciu bezsiły wpiła paznokcie w poduszkę i jęknęła głucho.

Rozdział V

W biurze przywitano mnie z wielce tajemniczymi minami. Wieść o zbrodni dokonanej w Drużbie zdążyła się już rozejść lotem błyskawicy. Z góry wiedziałam, że będę obiektem zainteresowania spragnionych sensacji kolegów, ale okazało się, że oczekują mnie niespodzianki, które zagadkę tego morderstwa całkowicie usuną w cień.

- Pani nic nie wie, że zginęła nam szefowa w biały dzień - oznajmił mi zaraz na wstępie Zygmunt Kolicki, wznosząc melodramatycznie oczy ku niebu.

- Pan żartuje, a przecież naprawdę nie wiadomo, co się stało z panią Teresą - oburzyła się Barbara ulegając jak zwykle z niezmierną łatwością wszelkim wzruszeniom, spotęgowanym teraz nową falą kataru.

- Niech się pani nie roztkliwia, pani Basiu, nad losem miss Teresy - kpił Zygmus. - Zapewne porwał ją Herr Heinrich z Hamburga. Pamięta pani ten kosz czerwonych goździków, który jej ostatnio ofiarował? A może drapnęła do Ameryki z Johnem Wilsonem z Detroit i aktualnie uwodzi milionerów na Florydzie?

- Co za brak szacunku dla zwierzchników - zauważyła Danka, przypatrująca się z upodobaniem błyszczącej w słońcu nowej, złotej obrączce na swoim palcu. - Widzę, że rozmyślnie wprowadza pan w błąd panią Idę co do istoty sprawy. Prawda jest taka, że pani Teresa we właściwym dniu nie przekroczyła granic Polski, nie ma jej w domu od dziesięciu dni i od tego czasu nie pokazuje się w pracy. Trzeba przyznać, że tego rodzaju zbieg okoliczności jest co najmniej dziwny.

- Być może niedługo wyłowią jej trupa z Wisły - oświadczył z powagą Kolicki, ku nowemu oburzeniu Barbary.

- Dzień dobry pani - powiedział Andrzej Warcza, wchodząc do pokoju i skinął mi lekko głową. - Zdaje się, że przerwałem państwu ożywioną dyskusję. Proszę sobie nie przeszkadzać. Nie wiadomo tylko, jak będzie wyglądało wykonanie planu w tym kwartale. - W głosie jego brzmiała nie ukrywana ironia. Z nonszalancją usiadł za biurkiem Teresy i ostentacyjnie pogrążył się w rozłożonych aktach. W pokoju zapanowała cisza, przerywana warkotem maszyn do liczenia, tylko Zygmus pstryknął palcami w sposób nie pozostawiający wątpliwości co do ilości wody sodowej, która uderzyła Andrzeja owi do głowy. Po pewnym czasie zadzwonił telefon wzywający Warcza do dyrektora. W pokoju zaszumiało jak w ulu.

- On się już uważa za naszego szefa - zasyczała Danka. - Pani widzi, pani Ido? Zajął miejsce naczelnika i spodziewa się lada dzień awansu, tak jakby Teresa już nie żyła. Ja z nim nie wytrzymam, poproszę o przeniesienie do innego działu.

- Od miłości jeden krok do nienawiści – zacytował Zygmus, robiąc aluzję do nieudanych usiłowań Danki nawiązania w swoim czasie flirtu z Andrzejem. - Radzę na razie wzmocnić się szklanką kawy.

- Wytłumaczcie mi bliżej, co się tu właściwie dzieje?

-zapytałam, zupełnie oszołomiona zaskakującymi nowinami.

- No, to jest naprawdę fantastyczna historia. Niech pani sobie wyobrazi, pani Ido, Teresa wzięła delegację do Amsterdamu, paszport, zaliczkę, dokumenty - wszystko tak jakby miała jechać. Tymczasem kooperant holenderski zawiadomił telexem, że nasz przedstawiciel nie przybył do Amsterdamu - relacjonowała z przejęciem Danuta. - Wtedy rozpoczął się okropny szum, kto, gdzie i kiedy ostatni raz widział Teresę, bo w domu jej nie ma, mieszkanie zamknięte na cztery spusty, tak jak już pani mówiłam. No i wtedy okazało się że wcale nie przekroczyła granicy. W takich wypadkach milicja jest bardzo dociekliwa, bo wie pani przecież, że dokumentacja, którą wiozła Teresa, dotyczyła podzespołów dla telewizji przemysłowej.

- Pani jest świetnie poinformowana, pani Danuto. Być może jest pani agentem obcego wywiadu - wtrącił z tajemniczą miną Kolicki.

- Wstydziliby się pan mówić takie rzeczy - sapnęła Barbara. - Kto wie, czy ktoś nas nie podsłuchuje. I po co zresztą pleść takie głupstwa.

- To nie głupstwa, pani Barbaro, tylko twarda rzeczywistość. A swoją drogą takie ciche wody jak pani są najwięcej podejrzane. Tylko proszę się naprawdę nie obrazić. Ale my tu plotkujemy, a nie widzimy, że nam pani Idalia odmłodziła w Bułgarii o dwadzieścia lat. Gdybym nie był żonaty, zaraz bym się puścił w konkury. I przynajmniej odniosła jakąś korzyść z zaginięcia Teresy. Odziedziczyła to piękne poncho i ciuchy z soldów paryskich. A propos, może mi je pani sprzeda? Żona uwielbia takie zagraniczne szmatki.

- Pan naprawdę jest w znakomitym humorze - powiedziałam - i chyba posuwa się pan za daleko. Przypuszczam, że przedwcześnie pochował pan panią Kaniszową. Być może, że jakaś nieprzewidziana przeszkoda uniemożliwiła jej wyjazd za granicę i wkrótce wszystko się wyjaśni.

- Widzę, że się dzisiaj naraziłem wszystkim paniom, ale czyżby pani nie знаła naszej nadobnej królowej? Dla każdej delegacji zagranicznej dałaby się powiesić. Na pewno z własnej

woli nie przepuściłaby wyjazdu do Holandii.

- Pan sobie za dużo pozwala - zaprotestowała znów z niesmakiem Barbara i sięgnęła po następną chusteczkę.

- Fakt faktem, że w „Radexie” teraz istnie piekło. Stałe inspekcje i kontrole. Dobrze, że pani w tym okresie nie było. Suchniak snuje się jak postać z innego świata i ciągle jest wzywany przez inspektora NIK-u. Krążą słuchy, że pozycja naszego dyrektora też jest zagrożona - podniecała się własnymi słowami Danki. - Dobrze, że zdążyłam wyjść za mąż przed tą całą draką. Przynajmniej wszyscy jeszcze byli na ślubie.

- I składka na prezent się udała - dorzucił Zygmunt.

- Czy pani nie zauważyła, pani Ido, że pani Danki w noc poślubną straciła... rzęsy?

- Jest pan impertynentem - wrzasnęła młoda mężatka, której oczy istotnie obecnie pozbawione były owej niepokojącej ozdoby, upodabniającej ją ongiś do aktorki filmowej z epoki filmu niemego.

- Uwaga, idzie nasz służbista! - syknął Koliczki, gdyż Andrzej nagle stanął w drzwiach pokoju.

- Muszę państwu zakomunikować - powiedział Warcz urzędowym tonem - że dyrektor Irecki złożył rezygnację z pracy. Jutro stanowisko to obejmie nowy dyrektor -magister Andrzej Kozłowski oddelegowany z Wrocławia. Dyrektor prosił, żeby państwa pożegnać. Odprawy nie będzie.

- **Mamo, ty znakomicie** wyglądasz, powiedziałabym, że jeszcze nigdy dotąd nie byłaś w takiej formie. Tylko nie rozumiem, dlaczego masz stale taki wyraz oczu, jakby za chwilę cały świat miał się zawalić - Monika rozciągnięta na dywanie od dłuższego czasu taksowała mnie badawczym spojrzeniem.

- To dziwne, że nie możesz zrozumieć. Przecież doskonale wiesz, co mnie gnębi.

- Czy ty czasem nie przesadzasz?

- Nie, nigdy chyba nie zapomnę twarzy tej zamordowanej dziewczyny w Druźbie. Ona była w twoim wieku. Przecież parę godzin przedtem widziałam ją rozśpiewaną, roztańczoną, uśmiechniętą. Stale zadaję sobie pytanie, dlaczego ją zabito,

komu to było potrzebne?

- Mamo, przestań się zadrećzać. Zawsze musisz sobie znaleźć powód do zmartwienia. Może to była zemsta zdradzonego amanta. Jedna pociecha, że tańcząc poszła na tamtem świat.

- Nie bądź cyniczna. Od tej chwili jestem zupełnie roztrzęsiona. Po jakiego diabła pojechałam na tę wycieczkę. Chyba po to, żeby sobie na amen zatruć życie. To wy obie namówiłyście mnie do tego, pracowałyście nade mną, żebym się zgodziła, ty i ta urocza Teresa, która na dodatek wyparowała i narobiła tyle zamieszania w „Radexie”.

- Mamo, mam dla ciebie kilka niespodzianek.

- Jeżeli z rodzaju tych, które mnie ostatnio spotykają, to na pewno ktoś się powiesił albo dźgnął sąsiada pod siódme żebro. Proszę, zaoszczędź mi chociaż dzisiaj wieczorem tych sensacji. Chciałabym naprawdę kilka godzin pospać.

- Ach nie. Uspokój się i posłuchaj. Przede wszystkim telefonował Kamil. Już parę razy wypytywał o ciebie. Bardzo pragnie się z tobą zobaczyć. Przypuszczam, że dla odprężenia mogłabyś się z nim spotkać w kawiarni.

- Niespodzianka małego kalibru. I co dalej?

- Następnie telefonował jakiś docent Gruszka czy Nózka. Nie mogłam dobrze zrozumieć, bo ma trochę piszczący głos.

- Docent Kruszko. Ach, mój Boże, już mnie odnalazł. Przyznam, że nie mam zbytnej ochoty na kontynuowanie tej znajomości.

- To zapewne jakiś nowy wielbiciel z Drużby. Widzę, że jesteś rozrywana. Teraz uwaga! Trzymaj się krzesła! Nie zgadniesz, kto jeszcze dzwonił i to w parę dni po twoim wyjeździe. Twój pierwszy mąż - Wiktor.

Po tym oświadczeniu zatkało mi oddech w piersiach, ale Monika tego nie zauważyła. Przez całe życie wszystko, co dotyczyło Wiktora, wywoływało we mnie tego rodzaju odruchy, spowodowane wstrętem i obrzydzeniem.

- Mam nadzieję, że odłożyłaś słuchawkę - powiedziałam po chwili.

- Wręcz przeciwnie. Z jakiego powodu miałabym być tak niegrzeczna. Ostatecznie to takie stare dzieje.

- Z tego powodu, że nie życzę sobie żadnych kontaktów z tym osobnikiem.

- Ależ mam. To zupełnie równy gość. Nie nazywa się teraz Mączyk, ale Mączarowski. Jest bardzo zamożny i pięknie mieszka.

- Chyba nie powiesz, że byłaś u niego.

- Byłam, no i co w tym złego? W końcu wysłaś kiedyś za niego za męż. Zaprosił mnie do Europejskiej. Poszłam na to spotkanie, bo byłam strasznie ciekawa, czego on od nas chce. Opowiadał dużo o sobie. Wykształcił się i dorobił majątku. Prowadzi wytwórnię wyrobów z pluszu. Wiesz takie niedźwiadki-poduszczki, pieski, króliki. To wszystko daje kupę forsy. Ma białego Volkswagena, konto dewizowe, kontakty z zagranicą i piękną willę na Saskiej Kępie, ale odniosłam wrażenie, że coś go wyraźnie gnębi. Powiedział, że im jest starszy, tym czuje się bardziej samotny i dręczą go wyrzuty sumienia, że nas wtedy tak zostawił.

Chciałby to wszystko powetować i nawiązać z nami bliższy kontakt. Poprosił mnie, żebym go odwiedziła. Willa jest wspaniała, z kominkiem, barem, antykami i tym podobnymi luksusami, jak w zachodnim filmie. Koniecznie chciał zobaczyć się z tobą, jak tylko wrócisz. Mam wrażenie, że to zupełnie inny człowiek niż ten, którego znałaś w przeszłości.

- Wysłuchałam wszystkiego, żeby się dowiedzieć, co masz na sumieniu. A teraz przyjmij do wiadomości, Moniko, że zabraniam ci raz na zawsze jakichkolwiek spotkań z tym panem! Oczywiście jeżeli mogę ci czegokolwiek zabronić. Jakim prawem wtrąca się do naszego życia po tylu latach? Co go do tego upoważnia? Dla mnie przestał istnieć przeszło dwadzieścia lat temu. Skąd taka nagła troska o nasze losy? W tym kryje się jakiś diabelski podstęp, a ty mimo całej swojej dojrzałości życiowej jesteś na tyle naiwna, żeby mu wierzyć!

- Mam, przestań tak krzyczeć, bo sąsiedzi się zlecą. Nie wiedziałam, że to cię tak dotknie, i jestem pewna, że absolutnie mylnie oceniasz sytuację. On naprawdę myśli o tobie poważnie i chyba rzeczywiście gruntownie się zmienił. Mogłabyś jeszcze ułożyć sobie życie.

- Przestań raz wreszcie mnie swatać i nade mną się litować! - wrzasnęłam już tak dziko, że kieliszki zabrzęczały w serwantce.
- Wiem, że jeśli nie dziś, to jutro lub za rok odejdiesz z jakimś Jackiem, Markiem czy Tomkiem, a ja zostanę sama jak palec i będę cię widywać raz na tydzień albo raz na miesiąc, ale wiedz jedno: osobę pana Wiktora wykreśliłam raz na zawsze ze swego repertuaru życiowego, a małżeństwo z nim stanowi wstydliwą i żenującą kartę w mojej biografii. Żadna siła nie mogłaby nas ponownie złączyć, nawet gdybyśmy się znaleźli sami na bezludnej wyspie, rozumiesz?

- Zdaje się, że tak. Obiecuję ci nigdy nie wracać do tego tematu. I przestań się denerwować, to nie ma sensu. Wypij herbatę - świeżo zaparzona. Mentolowe leżą na stoliku. Zaraz włożę ci ranne kapcie.

- Dziękuję ci, jesteś dobra. Taka jestem zmęczona.

- Ale, Albinosku. Mam dla ciebie jeszcze jedną wiadomość. Tylko się znowu nie irytuj, bo to na pewno nic takiego, zwykła formalność.

- No powiedz wreszcie, o co chodzi.

- Przyszło do ciebie wezwanie na jutro na dziesiątą rano do Komendy Głównej Milicji Obywatelskiej.

Zwykły urzędowy pokój: biurko, krzesła, stolik z maszyną do pisania, szafy z aktami, za biurkiem wysoki, szczupły blondyn - kapitan Janusz Żelech, a obok nieco niższy i bardzo młody szatynek - podporucznik Jerzy Broński. Kilka słów powitania, prośba o zajęcie miejsca, podporucznik Broński wyszedł. Kapitan Żelech miał niski i przyjemny głos.

- Przypuszczam, że pani wie, w jakiej sprawie została wezwana. Chodzi oczywiście o morderstwo popełnione w Druźbie na osobie pani współlokatorki z pokoju w hotelu „Rilla” - Marzeny Trudzik.

- Myślałam, że śledztwo w tej sprawie prowadzi milicja bułgarska.

- Prowadzimy wspólnie. Panna Trudzik była obywatelką polską, uczestniczką wycieczki „Orbisu”. Potencjalnym mordercą może być każdy z członków wycieczki, jak również każda osoba przebywająca w Druźbie w chwili popełnienia

przestępstwa. Nie ukrywamy, że sprawa jest trudna. Podstawowym zadaniem jest wykrycie motywów zbrodni. W takim przypadku - najmniejszy szczegół się liczy. Myślę, że będzie mogła pani nam dużo pomóc. Jak nam wiadomo, została pani w ostatniej chwili wciągnięta na listę pracowników „Radexu” udających się do Drużby zamiast pani Teresy Kanisz, która z pobytu zrezygnowała.

- Tak jest.

- Czy знаła pani przedtem pannę Trudzik?

- Nie.

- Czy krytycznego wieczoru zdradzała objawy zdenerwowania, podniecenia?

- W dodatnim znaczeniu tego słowa. Była w doskonałym humorze w związku z perspektywą czekającej ją zabawy.

- Proszę możliwie dokładnie określić jej ubiór.

- Postaram się. Miała na sobie zieloną, wzorzystą suknię z dekoltem, pantofle białe i białą torebkę ze skaju. A... i pożyczyła ode mnie błękitne poncho, bo wieczór był chłodny.

- Poncho? Tego nie ma w protokole. Nie znaleziono poncha przy zmarłej. Czy zginęło?

- Nie zginęło, bo zostawiła je na krześle w restauracji przed swoim zniknięciem. Zwrócili mi je znajomi panowie, którzy z nią siedzieli przy jednym stoliku.

- Czy ma je pani u siebie w domu?

- Tak ... chociaż właściwie nie jest moją własnością. Pani Kanisz pożyczyła mi je przed wyjazdem. Wzięłam je ze sobą do Bułgarii, mimo iż w zasadzie nie lubię ubierać się w cudze rzeczy.

- Rozumiem. - Ciemne oczy kapitana spoczęły na mnie z rodzajem półuśmiechu, świadczącym o wyrozumiałości dla słabostek kobiet niezależnie od ich wieku i pochodzenia społecznego.

- Pani Kanisz zaginęła, więc trzymam je u siebie - uzupełniłam.

- Tak, to oczywiście. Proszę pani, ponieważ w nocy, kiedy popełniono morderstwo, poncho było w posiadaniu denatki, chciałbym je dokładnie obejrzeć.

- Czy mam je przynieść?

- Nie, nie będziemy pani w tym celu fatygować. Porucznik Broński zgłosi się do pani mieszkania. Czy zdaniem pani nie zaszło w Drużbie jakieś wydarzenie mogące rzucić

światło na sprawę, jakaś okoliczność budząca podejrzenie?

- Raz jeden, ale chyba był to jakiś żart albo wyczyn pijanego wczasowicza. Ktoś w nocy, kiedy byłam sama, usiłował dostać się na nasz balkon w hotelu.

- Czy mogłaby pani opisać jego wygląd?

- Nie, nie widziałam jego twarzy, tylko męską sylwetkę. Uciekł spłoszony moim krzykiem.

- A jacy mężczyźni kręcili się koło denatki? Czy byli to cudzoziemcy, czy uczestnicy wycieczki?

- Marzena lubiła się bawić, ale wydaje mi się, że nie chodziła na spotkania z żadnym mężczyzną oddzielnie. Na dancingi wybierało się towarzystwo z naszego hotelu razem, a do tańca oczywiście prosili Marzenę wszyscy, na pewno i wielu cudzoziemców. A asystował jej stale jeden Bułgar.

- Młody, czarnowłosy. Ma murowane alibi. A może panna Trudzik opowiadała pani o znajomych z Warszawy, o kimś, z kim była związana lub którego się obawiała?

- Zwierzała mi się, że ma przyjaciela. Nazywała go Ludwiczkiem. Mówiła, że jest bardzo zazdrosny, ale nie wzbudzał w niej żadnego lęku. Chyba była do niego bardzo przywiązana, mimo że podobno był dużo od niej starszy.

- Tak, to Ludwik Jaśkowiak. W czasie morderstwa był na rybach z kolegami w Augustowie. No cóż, to na razie byłoby wszystko. Zechce pani odczytać i podpisać protokół.

W „Radexie” tego dnia panowała atmosfera szczególnego podniecenia, spowodowana faktem objęcia urzędowania przez nowego dyrektora działu eksportu. Właśnie „Naczelnny” w asyście przewodniczącej Rady Zakładowej obchodził wszystkie wydziały, przedstawiając pracownikom dyrektora Kozłowskiego.

W naszym pokoju Danka i Basia kończyły podręczny maquillage, a Zygmus poprawianie krawata, kiedy w drzwiach ukazała się cała nasza generalicja w pełnym rynsztunku. Wszystkie oczy z ciekawością spoczęły na szczupłej postaci

opalonego mężczyzny o siwiejących skroniach.

- Państwo pozwolą, nasz nowy dyrektor działu eksportu, magister Andrzej Kozłowski - pani Idalia Czerska, pani Danuta Kryska, pani Barbara Sawiniec, pan ... - Dalsze słowa nie dotarły już do mojej świadomości, a wyciągnięta ręka przez chwilę zawisała w powietrzu. Więc znowu ten sam człowiek o pociągłej, trójkątnej twarzy, wysuniętym podbródku i brązowych oczach, którego widok w Bułgarii przyprawił mnie o tyle niepokoję, stanął na mojej drodze, tym razem na terenie pracy. Nazywa się Andrzej Kozłowski i jest moim przełożonym. Będę mówiła do niego „panie dyrektorze” i za każdym razem, kiedy go zobaczę, prawdopodobnie dopóki się nie przyzwyczaję, będę go uważała za zmaterializowanego ducha przeszłości, który przyjął inną osobowość. Nie wiem, co sobie pomyślał o mnie magister Kozłowski przy tej oficjalnej prezentacji, gdyż w moim odczuciu upłynęły całe wieki, zanim nasze ręce spotkały się w krótkim, przelotnym uścisku. Na pewno nie odebrał dodatniego wrażenia o moim zachowaniu, świadczącym o niezrównoważeniu psychicznym. Nie chciałam tego bliżej analizować, ale postanowiłam odtąd mieć się na baczności, żeby nie narazić na szwank swojej reputacji statecznej, zdyscyplinowanej urzędniczki.

Wypił już dziś trzy filiżanki mocnej czarnej kawy i kilka kieliszków koniaku. Nic jednak nie mogło poprawić jego złego humoru i rozproszyć nawału dokuczliwych, gnębiących myśli. Kto mógł przewidzieć, że tak pieczołowicie, z nakładem wielu starań i zachodów zmontowany plan działania zawiedzie i że ta głupia baba w ostatnim momencie wszystko zawali.

- Idiotka - mruknął przez zęby. - Zrobiła ze mnie bałwana, spatałaszyła całą robotę. Ale ja już wypruję z niej całą prawdę, a potem zapłaci za to, co się stało. Niech nie sądzi, dziwka, że wykręci się sianem. - Używał w myślach specjalnie dosadnych wyrażeń, często wulgarnych i wyuzdanych. Przyzwyczał się do tego, a nawet znajdował jakąś specyficzną przyjemność w tego rodzaju sformułowaniach, mimo iż na wizytówce i w życiu zawodowym posługiwał się tytułem naukowym.

Ktoś w kilku krótkich odstępach zadzwonił do drzwi. Ruszył się z miejsca i otworzył. W ciemnościach korytarza zamajaczyła dobrze znana mu sylwetka męska.

- Jestem, szefie - powiedział przybyły, stając na progu.

- Widzę. Masz coś?

- Była dzisiaj na MO.

- Długo?

- Normalnie. Tyle, aby zeznać i podpisać protokół.

- I jeszcze co?

- Nic więcej, tak jak zwykle.

- Pamiętaj, pilnuj jej jak oka w głowie, gdzie chodzi, z kim się spotyka. Na razie tak, aby cię nie zauważyła, a potem zobaczymy.

- No a jak w biurze?

- Nie bądź za ciekawy. W biurze też ją mamy na oku. Teraz szczególnie. Spokojna głowa. No, napij się koniaku i zjeżdżaj.

- Szefie, potrzebuję forsę.

- Znowu? Co wy sobie myślicie, że ja jestem dojna krowa? Trzy dni temu dostałeś cztery patyki. Już je przełajdaczyłeś?

- To nie to. Muszę mieć dolce. Mam jeden interes na oku. Pięćdziesiątkę.

- Masz tu dwadzieścia i ani słowa więcej, bo ci skuję mordę.

- No, już dobra, dobra. Serwus, szefie.

Drzwi się zatrzasnęły. Wypił jeszcze jeden kieliszek i zamyślił się głęboko. A więc była już na przesłuchaniu na milicji. Ciekawe do jakiego stopnia jest włączona w tę sprawę? O co chodzi? Konieczne trzeba to rozszyfrować, w tym tkwi prawdopodobnie klucz do rozwiązania całej zagadki. Teraz na pewno jest zdenerwowana, roztrzęsiona, ale to dobrze. Im bardziej się zapłacze, tym łatwiej znajdzie się w jego ręku - uległa, powolna, miękka jak wosk, który da się ulepić według dowolnego formatu. Uśmiechnął się do siebie, rozkoszując się tą obiecującą perspektywą.

- Ta kobieta jednak jest moim przekleństwem, obsesją - monologował - tyle lat czekam na chwilę triumfu i muszę dopiąć celu. Tym razem nie dam jej umknąć albo odejść z innym mężczyzną. Zlekceważyć moje uczucia mogła tylko raz,

więcej jej się to nie uda.

Alkohol zaczął działać, poczuł senność. - Nie będę tyle pił - postanowił - to by mnie w końcu zdradziło. Nie mogę wypaść z roli, trzeba grać do końca.

Rozdział VI

Stanowczo ostatnio prześladowała mnie zła passa, która zaczęła się od nieudanych zakupów jesiennych pantofli. Poza tym przygnębiała mnie ciężka atmosfera w pracy, nie mogłam się też pozbyć prześladowczych wprost myśli o Marzenie. Co wieczór przed zaśnięciem widziałam przed oczyma jej bladą, nieruchomą twarz otoczoną skrwawionymi włosami, jakby zwróconą ku mnie z niemym wyrzutem czy skargą. Staralam się o tym zapomnieć, ale przykre wrażenie nie mijało. Szczególnie od przesłuchania na milicji stale zastanawiałam się nad pobudkami, jakimi mógł kierować się morderca. Pewną odskocznią od tych ponurych rozważań było kilka spotkań z panem docentem Kruszką, po wielokrotnych, telefonicznych naleganiach z jego strony. Nadskakujące zachowanie, aluzje o stanie uczuć oraz projekty matrymonialne, jakie wyraźnie snuł wokół mojej osoby, w nieznacznym stopniu poprawiły moje samopoczucie. Jednak ze względu na fakt, że jego umizgi nie obudziły jak dotąd żadnego odzewu w mojej piersi, a ponadto wydawały mi się humorystyczne, postanowiłam nie kontynuować tej znajomości, aby nie przedłużać niezręcznych sytuacji.

- Jakiś pan czeka na ciebie - powitała mnie Monika na progu - siedzi już od godziny. Zniechęcałam go jak mogłam, ale nie chciał się wynieść. Nic na to nie poradzę. Poza tym przyszedł telegram od ciotki Barbary. Pojutrze przyjeżdża, ale nie przejmuj się tak bardzo. Jakoś sobie poradzimy.

W gradacji kataklizmów ziemskich wizyta jedynej żyjącej krewnej - siostry mojej matki - znajdowała się według naszej oceny na następnym miejscu po trzęsieniu ziemi. Miła ta osoba, obecnie emerytka, zamieszkująca na stałe w Rzeszowie,

oprócz ustawicznego wyrażania krytycznych uwag na temat naszego trybu życia, prowadzenia gospodarstwa, zaopatrzenia żywnościowego i innych mankamentów kulinarnych, miała zwyczaj przestawiania mebli i przewieszania obrazów na ścianach według swego gustu. Ponadto wymagania jej w zakresie zaprowiantowania okazywały się zawsze wręcz odwrotne do stanu naszych aktualnych zasobów. Przykładowo: o ile w domu były cytryny, to ona pytała o pomidory, a o ile były pomidory, okazywało się właśnie, że ma szalony apetyt na cytryny, przy czym na ślepo, ale z matematyczną dokładnością, trafiała w nasze najwstydliej ukryte braki. W rzeczywistości była serdeczną, porządną z krwi i kości kobietą o rubasznym, bezpardonowym sposobie bycia, mogącym wywoływać liczne krótkie spięcia z otoczeniem. Raz na rok odwiedzała nas systematycznie i wywracała całe gospodarstwo do góry nogami. W wirze ostatnich wydarzeń perspektywa jej przyjazdu przestała zajmować tak poczesne miejsce, jak dotychczas, jednak w obecnym stanie ducha nie byłam na nią moralnie przygotowana.

„Któż to przyszedł, do licha?” - pomyślałam wchodząc do pokoju.

Konałam ze zmęczenia i jedynym moim marzeniem było: zdjąć suknię, włożyć szlafrok, kaptcie i wypić mocną kawę. Jakiś mężczyzna o zwałistej, ciężkiej budowie ciała i zmęczonej, pooranej bruzdami twarzy z workami pod oczyma podniósł się na mój widok z wysiłkiem z fotela.

- Pozwoli pani, że się przedstawię i przeproszę za niespodziewane najście. Jestem Ludwik Jaškowiak. Nazwisko moje na pewno nic pani nie mówi, ale tak bardzo chciałem się z panią zobaczyć, że postanowiłem przyjść i błagać o chwilę rozmowy.

- Proszę, niech pan siada - powiedziałam, siłąc się na uprzejmość.

Jaškowiak oparł głowę na rękach i przez dłuższą chwilę patrzył przed siebie w milczeniu.

- Ja wiem, że pani jest niezadowolona z mojej wizyty, ale muszę dowiedzieć się, dlaczego ... -z trudemprzełykał ślinę -

zginęła Marzenka, to jest panna Marzena Trudzik. To była moja bardzo bliska znajoma, wie pani, i odkąd dowiedziałem się, że nie żyje, poczułem ... no, zrozumiałem, że i ja nie będę mógł dalej żyć, jeżeli wszystkiego nie wyjaśnię.

- Skąd dowiedział się pan, jak się nazywam i gdzie mieszkam?

- Odnalazłem pilotkę wycieczki i ubłagałem ... Niech mi pani wybaczy, ale to było silniejsze ode mnie.

- Napije się pan kawy?

- Nie, dziękuję - potrząsnął głową - zaraz pójdę. Chciałbym tylko wiedzieć, czy ona, Marzenka, zadała się z jakimś mężczyzną, czy zrobiła coś złego, coś przeciw temu, co między nami było. Bo wie pani - głos mu się załamał - chciałem się z nią ożenić. Ona jeszcze o tym nie wiedziała, ale ja już się zdecydowałem. Jestem wdowcem od wielu lat, zarabiam dobrze - podniósł w górę obie ręce, jakby były wyłącznym źródłem dochodów. - Niedawno wybudowałem domek, umeblowałem i czekałem, aż przyjedzie, żeby jej to powiedzieć, żeby ją poprosić... Wiem, że jestem stary, dużo starszy od niej - poprawił - ale ona jest... była taka śliczna, dobra jak samo słońce, jak wiosna. A teraz ta samotność - to nie do zniesienia. Nie rozumiem, nie mogę pojąć, kto mógł pragnąć jej śmierci. Może mi pani coś powie, pani z nią tam razem była, bo chwilami zdaje mi się, że zwariuję. Ja bym go własnymi rękami!... - usilnie starał się opanować drżenie głosu. - Jeżeli tam był jakiś mężczyzna, to wolę wiedzieć, może nawet mógłbym to łatwiej przeżyć. Zresztą sam nie wiem... Kto to był... na Boga? - krzyknął nagle, aż Monika zaniepokojona wsunęła głowę do pokoju.

- Niech się pan uspokoi i napije jednak kawy - kiwnęłam na Monikę. - Rozumiem pana cierpienie, ale naprawdę niewiele będę mogła panu pomóc. Sam pan dobrze się orientuje, że śledztwo jest w rękach milicji. Ja mogę powiedzieć: ona była do pana bardzo przywiązana, dużo o panu mówiła, wierzyła w pana, miała zaufanie. I na pewno z nikim się nie związała w Bułgarii - o ile ta informacja może jednak przynieść panu jakąś ulgę. - Słuchał z natężoną uwagą, nie spuszczać ze mnie oka,

jakby czerpał siłę z każdego mojego słowa.

- Taką miała chęć pojechać na tę wycieczkę, że ustąpiłem, choć ciężko mi było z nią się rozstawać. Sam nie mogłem się ruszyć, bo muszę pilnować interesu, ale zawsze chciałem dać jej wszystko, czego tylko zapragnęła. I po co pojechała? Po własną zgubę, po śmierć! To chyba jakiś potwór, zboczeniec ten zbrodniarz, czego mógł chcieć od takiego dziecka. A może ktoś go nasłał, może ona coś jednak przede mną ukrywała? - ręce trzymające filiżankę mocno zadrżały. Patrzyłam na jego rozdygotaną twarz i nagle przyszła mi do głowy prawdopodobnie niedorzeczna, ale tak straszliwa myśl, że poczułam ciarki w głowie, myśl, która od zabójstwa Marzeny tkwiła chyba w mojej podświadomości, ale nie śmiała wyjść na światło dzienne. I teraz też zdusiłam ją w zarodku, nie dałam jej wypełznąć na wierzch, uznając za wytwór wyobraźni chyba po to, aby móc dalej normalnie żyć i oddychać.

- Pani coś wie, tylko nie chce mi powiedzieć - Jaškowiak zauważył zmianę na mojej twarzy.

- Myli się pan - odparłam może trochę mało uprzejmie, jak na gospodynię donu - jestem tylko nieco znużona.

- A ja panią męczę, bardzo przepraszam! - zerwał się z miejsca, chociaż ciężar ciała znacznie utrudniał mu ruchy - dziękuję, serdecznie dziękuję - wyciągnął do mnie rękę. - Może zdołam przez to jakoś przejść. Przecież w końcu nie tak dużo życia już pozostało ...

- Niech pan tak nie mówi, zawsze trzeba mieć nadzieję, że coś się ułoży, zmieni na lepsze.

Kiwnął jakoś żałośnie głową i to było nasze pożegnanie.

- Co to za dziwna figura? - zapytała Monika. - Kiedy na ciebie czekał, miał taką minę, jakby się chciał za chwilę powiesić.

- Nie żartuj, to bardzo nieszczęśliwy człowiek. Lepiej powiedz mi, co się stało, że dzisiaj wieczorem jesteś w domu. Czyżby jakaś nowa kłótnia rodzinna z Markiem? Przecież mieliście iść na wernisaż do empiku.

- Nie, to nie to. Po prostu chcę posprzątać mieszkanie. Nie zapominaj, że pojutrze przyjeżdża ciotka Barbara.

- Słuchaj, a może dla świętego spokoju przestawić wersalkę

na tamtą ścianę?

- Zgoda, przesuwamy. Czy kupiłaś cytryny?

- Nie zdążyłam. Kupię jutro. Czy są może truskawki na mieście?

- Albinosku, żyjesz w innych wymiarach czasu. Truskawek nie ma już od dwóch miesięcy.

- No to kup pomidory, chrzan i sok pomarańczowy. Jak myślisz, może będzie chciała żurawiny? Ostatnio miała na nie apetyt.

- Pewno tym razem jej się zmieni, ale nie zaszkodzi mieć w domu. A co sądzisz o dżemie z czarnych porzeczek?

- Świetny pomysł, porzeczki mogą być. I koniecznie grzybki marynowane. Zeszłym razem była o nie awantura. Monika, masz trochę pieniędzy?

- Nie, a ty?

- Ja też nie.

Podumałyśmy chwilę nad tym dylematem, jako że było przed pierwszym, a moje prywatne fundusze całkowicie wyczerpały się w związku z imprezą bułgarską.

- Wezmę chwilówkę - zdecydowałam z determinacją.

- A ja posiedzę jutro jako baby-sitter.

W tej chwili zabrzączał dzwonek u drzwi wejściowych. Monika pobiegła otworzyć.

- Mamo, ale ty masz obłędne powodzenie. Znow jakiś mężczyzna do ciebie, tym razem młody - całkiem fajny szatynek.

Westchnęłam i wyjrzałam do przedpokoju. Na progu z uśmiechem na ustach stał porucznik Broński. W cywilu wyglądał wprost dziecinnie.

Tego ranka w „Radexie” kilkakrotnie w przejściu spotkałam inżyniera Suchniaka. Jego szczupła sylwetka o obwisłych ramionach, jakby przygniecionych ciężarem nie do udźwignięcia, karykaturalnie rysowała się na tle jasnych ścian korytarzy. Szedł nierównym krokiem od drzwi do drzwi. Wydawać się mogło, że nadaremnie szukał właściwego wejścia. Puste, niewidzące spojrzenie jego zaczerwienionych oczu

ześlizgnęło się po mojej twarzy z wyrazem tak bezdennej rozpacz, że mimo woli wzdrygnęłam się, przeniknięta nagłym dreszczem. Nie poznał mnie, mimo że od lat wymienialiśmy konwencjonalne ukłony. Sprawiał wrażenie człowieka, dla którego nic już nie istnieje poza wewnętrznym światem myśli i przeżyć. Bezwiednie nasunęło mi się skojarzenie z Ludwikiem Jaśkowiakiem. Tych dwóch mężczyzn łączyło jakieś nieuchwytnie podobieństwo, którym być może była tragedia osobista spowodowana utratą ukochanej kobiety.

Sprawa Teresy Kaniszowej była na ustach wszystkich, otoczona mgłą tajemnicy i niedomówień. Jedno było pewne, że do pracy w „Radexie” już nie wróci i prawdopodobnie spotkało ją jakieś nieszczęście, gdyż trudno było przypuścić, aby gdziekolwiek mogła dostać intratniejszą posadę. Natomiast osobą, która zdominowała wszystkie inne sprawy i wzbudzała największe zainteresowanie, był niewątpliwie dyrektor Kozłowski, uznany przez wszędobylską plotkę za męża opatrnościowego zakładów. Na razie nie udzielał się szerokiemu ogółowi, a wiódł nie kończące się rozmowy z dyrektorem naczelnym oraz uczestniczył w konferencjach, w zamkniętym kręgu, na najwyższym szczeblu. W naszym wydziale nastrój stawał się coraz bardziej nieprzyjemny, gdyż Warcz wyraźnie uzurpował sobie następstwo służbowe po Teresie i realizował to z zimną konsekwencją, egzekwując od pozostałych pracowników posłuch i kontrolując nasze czynności. Zauważyłam, że ze szczególną ironią zaczął zwracać się do mnie i pouczać mentorskim tonem o moich obowiązkach.

Nic więc dziwnego, że z prawdziwym uczuciem ulgi opuszczałam teraz biuro, mając na najbliższą przyszłość niezbyt przyjemne perspektywy w przypadku, gdyby kandydatura Andrzeja na naczelnika wydziału została zaakceptowana przez dyrekcję. Z tym większą chęcią wracałam do domu jak do strefy wolnej od zagrożenia i niepokoju. Dzisiaj mieszkanie wyglądało jednak wyjątkowo brzydko. W związku z wizytą ciotki Barbary poprzestawiałyśmy z Moniką meble, przewiesiłyśmy obrazy, uprząłyśmy firanki i serwety. W

rezultacie tych gorączkowych poczynań wszystko było obrzydliwie czyste, wylizane i pozbawione jakiegokolwiek smaku, a my obydwie zmęczone jak charty po polowaniu. Monika poleciała po ciotkę na dworzec, a ja pośpiesznie wstawiłam zupę na gaz, przy czym pstrykając zapalkami przypaliłam dwa paznokcie i zrobiłam dziurę w szlafroku. W tym momencie rozszalał się dzwonek u drzwi. Na progu stała ciotka Barbara dźwigająca ogromną torbę podróżną i cały szereg paczuszek. Z wyrazu jej twarzy nie można było wróżyć dla nas nic dobrego na najbliższy tydzień.

- Dziękuję, że przynajmniej ktoś jest w domu i nie potrzebuję stać w sieni przez pół dnia, jak zeszyłem razem. Naturalnie nikt nie pofatygował się po mnie, ale nie mam najmniejszej pretensji o to, skądże znowu.

- Ależ ciociu - ośmieliłam się zaprotestować - Monika już od godziny czeka na dworcu.

- Na dworcu? Na jakim?

- Wschodnim, oczywiście, tak jak zwykle.

- Przecież pisałam, że przyjadę autobusem, bo skończyłam już z jazdą pociągami, ale obydwie panie nie raczyły o tym pamiętać. No, ale trudno i to trzeba przeżyć. Stary człowiek w ogóle nie powinien ruszać się z domu. Ale pokaż się, moja miła. Wyglądasz nieźle, tylko trochę zeszkapiałaś w tej Bułgarii. Przy takim opalaniu za parę lat będziesz miała same zmarszczki. Czy w tym domu można napić się herbaty?

- Ależ oczywiście, proszę bardzo ... Może z sokiem?

- Z jakim sokiem?

- Z pomarańczowym.

- Wolałabym z malinowym, bo chyba się zaziębiłam w drodze, ale na pewno nie macie. No co, jest czy nie ma? -natarła ciocia ze zjadliwą satysfakcją.

- Rzeczywiście, nie ma - przyznałam ze skrucą.

- Z góry wiedziałam - zadudniła, rozglądając się dookoła. I cóżeście powyprowadziły z tym mieszkaniem? Jak te meble stoją? Gdzie wersalka? Żadnego wycucia kształtu i przestrzeni. Zaraz musimy przestawić.

- Może poczekamy na Monikę - zaprotestowałam nieśmiało -

ona ma dużo siły.

- Co też ty mówisz! Pokażemy jej, że nie jesteście gorsze. I wiesz co, posuniemy jeszcze serwantkę. Więc szybko do roboty! No nareszcie jako tako wygląda! Tylko te firanki, pożał się Boże. Jak można trzymać takie łachy w oknie! U nas w Rzeszowie nikt by tego nie powiesił. Są gusta i guściki. A, jest i Monika. Gdzieś ty była, moja droga? Zdaje się, że znowu jesteś wyższa. Powinnaś coś wziąć na wstVzymanie, bo żaden chłop się z tobą nie ożeni.

- Byłam na dworcu. I przepraszam, jeżeli jeszcze urosłam - roześmiała się Monika, Ściskając ciotkę na przywitanie. - Ale co wyście robiły? Wyglądacie obie, jak po biegu na dziesięć kilometrów z przeszkodami.

- Monika, przygrzej obiad - zajęczałam zwisając z fotela - i podaj mi szklankę wody.

Po tych pierwszych wstrząsach ciotce Barbarze wyraźnie poprawił się humor. Rozdała przywiezione nam w obfitości prezenty, które zazwyczaj latami zalegały szuflady w szafie, następnie obwieściła tragicznym głosem, że tym razem nie zabawi u nas długo, najwyżej tydzień, bo jedzie do przyjaciółki nad morze, ale nie jest wykluczone, że wracając jeszcze do nas wpadnie. Ta ostatnia zapowiedź miała na celu złamanie nas moralnie w przypadku, gdybyśmy były tym projektem zanadto ucieszone. Względny spokój panował jednak niedługo. Zauważyłam, że ciocia rzuca raz po raz na mnie badawcze, przeciągłe spojrzenia, których znaczenia jednak nie mogłam się domyślić. Wreszcie zahuczła, aż mnie ciarki przeszły.

- Ida, coś ty właściwie wyprawiała w Bułgarii? Wszystko i tak wiem. Dlaczego nic mi nie opowiadasz? Podobno w twoim pokoju hotelowym znaleziono trupa. To do rodzonej ciotki nie masz zaufania, tylko od obcych ludzi muszę się dowiadywać!

- Ciociu, co ty mówisz? W moim pokoju na szczęście nie było żadnego trupa. Jeszcze by tego brakowało. Kto ci to powiedział?

- Kicia Orłowska, sąsiadka z korytarza. Pamiętasz taką brunetkę z grzywką i brodawką na nosie? To ona. Była też na tej wycieczce. Mieszka w Rzeszowie w tym samym bloku co ja.

Mówiła, żeście zawsze razem latały ty i taka druga młoda blondynka jak siostry syjamskie na różne tingel-tangle, a za wami kupa podrywaczy, aż wreszcie tamtą zakatrupił jakiś zboczeniec seksualny, czy coś takiego.

Nie było wyjścia. Musiałam drogiej ciotci zrelacjonować wszystko, co się wydarzyło w Družbie, bo nie miałabym przez cały czas jej pobytu ani chwili spokoju. Mimo woli opowieść ta zaczęła mnie wciągać, przeżywałam ponownie wszystkie te niezapomniane chwile grozy. Ciotka słuchała w skupieniu przerywanym gwizdami i posapywaniami, mającymi wyrażać różnorodność jej reakcji na moje przygody, wreszcie zapytała: - No i wykryli tego drania? Jeszcze nie?

- To nie takie proste, ale śledztwo jest w toku.

Ciotka przez dłuższą chwilę milczała, wreszcie oświadczyła konspiracyjnym tonem:

- Według mnie, to zrobił ktoś z waszego najbliższego otoczenia, kto wie, czy nie na tle zazdrości. Ale, posłuchaj, przychodzi mi jeszcze jedna myśl do głowy. Może to był zamach na ciebie, a nie na nią? Włożyła twoje poncho, które jak mówisz, jest bardzo ekscentryczne i niezwykle, była blondynką o niebieskich oczach. Musiała być także mniej więcej twojego wzrostu i tuszy, skoro rzecz noszona przez ciebie na nią pasowała. Wiesz, to jest myśl - ciotka coraz bardziej zapalała się do swojej koncepcji - śledztwo nigdy nie ruszy z miejsca, jeżeli nie zostanie pchnięte na inny tor.

Nie chcę cię straszyć, ale musisz się nad tym poważnie zastanowić.

- Ciotciu - przerwała Monika, która właśnie wybierała się na miasto w charakterze baby-sitter do jednego niemowlaka i zauważyła bladość mojej twarzy. - Przestań się bawić w domorosłego detektywa. Ponosi cię bujna fantazja. Z jakiego powodu ktoś miał czatować na mamę? To najzupełniejszy, oczywisty absurd!

- Mówcie, co chcecie - upierała się niewzruszenie ciotka - ale sprawa wygląda podejrzanie. Oczywiście morderstwo mogła popełnić również kobieta, ale wydaje mi się to mało prawdopodobne. Wyobraźcie sobie: jest noc, młoda,

rozflirtowana dziewczyna dostaje billet d'amour, bo taką treść chyba miała doręczona jej kartka, skoro zerwała się i pobiegła, zostawiając wszystkich. Ten facet, co ją poderwał, chyba jej nie zabił, bo bałby się zostawić jakieś ślady. To musiał zrobić ktoś inny, kto ich śledził. W ciemności łatwo się pomylić. Mógł wziąć tę dziewczynę za Idę. Tamten - jej towarzysz, naturalnie po strzale w ciemności zaraz uciekł ze strachu, aby nie być podejrzanym o morderstwo.

- Nie wiem, co ci przyszło do głowy, ale to zupełna bzdura. Równie dobrze mógł w takim razie wziąć tę Marzenę za księżną Monaco albo za Alinę Janowską, czy za każdą inną blondynkę na świecie. Radzę wam zmienić temat, bo tego rodzaju akademickie rozważania nigdzie was nie zaprowadzą - rozeźliła się Monika i głośno zamknęła drzwi wychodząc. Siedziałam bez ruchu, miotana sprzecznymi uczuciami. Myśl, która od dawna jak jadowita żmija wylegała mi się w głębi duszy, niespodziewanie oblekła się w słowa. Nie miała ona żadnych realnych podstaw ani uzasadnienia, ale wypełzła w mojej podświadomości i rozpoczęła proces zatruwania. Dopiero po położeniu się do łóżka uspokoiłam się i odepchnęłam ją, jako sprzeczną ze zdrowym rozsądkiem. Nie było przecież na

świecie nikogo, kto by mógł mi czegokolwiek zazdrościć, a rozgrywki miłosne dawno już miałam poza sobą. Gdyby to było dwadzieścia lat temu, ale teraz, w moim wieku ...Uśmiechnęłam się i zasnęłam już spokojnie.

Podszedł po cichu do tapczanu i pogładził ją po włosach. Wiedział, że nie śpi, mimo iż twarz miała odwróconą do ściany. Nie spodziewał się takiej reakcji: z wściekłością strząsnęła jego rękę i spojrzała na niego zapłakanymi oczami, pełnymi złości i przerażenia.

- Nie przejmuj się tak - powiedział. - Zobaczysz, w końcu wszystko się ułoży pomyślnie.

- Jesteś beznadziejnym idiotą - wybuchnęła. - Kompletnie nic nie rozumiesz. Łatwo ci tak mówić, możesz żyć normalnie, chodzić między ludźmi, nikt cię o nic nie podejrzewa. A ja co? Duszę się tutaj w tym kącie, wiecznie sama. Pewnie w końcu

zwariuję! A wszystko przez ciebie, przez twoją głupotę!

- Trzeba było lepiej załatwić swoje sprawy, a nie latać wiecznie po nocnych lokalach z różnymi bubkami - warknął już niegrzecznie.

- Jeszcze śmiesz mi to wypominać! Wiesz, że w ten sposób pracowałam! A kto cię urządził w życiu, zrobił z ciebie eleganta z pieniędzmi, kontem dolarowym, znajomościami w świecie? Ja, tylko ja! Byłeś niczym i zostaniesz niczym!

- Przestań - doskoczył do niej - za dużo gadasz! Zresztą to nie ma sensu, żebyśmy się kłócili - nagle zmienił ton -załatwiłem dzisiaj lewe paszporty.

- Pokaż - ożywiła się - ale i tak teraz nic z tego, trzeba jeszcze odczekać. Słuchaj! Tam jest ktoś w pokoju!

- Przywidziało ci się! Zamknąłem na zasuwę drzwi wejściowe.

- Ktoś jest na pewno! Chodzi teraz koło baru.

- Nie ruszaj się, postaram się sprawdzić.

- Zostań! Boję się!

- Nie bądź głupia! Może to złodzieje.

W tej samej chwili od strony ściany błysnął snop światła, rozdzierający ją na dwie części. W świetle tym ujrzeli lufę rewolweru.

- Moje uszanowanie państwu - odezwał się głos, który zabrzmiał dla nich jak trąba wzywająca na sąd ostateczny.

- Jak to dobrze, że zastaliśmy was w domu.

Rozdział VII

Podczas pogrzebu doktora inżyniera Suchniaka padał drobny, dokuczliwy deszcz. Druga połowa września sygnalizowała wczesne nadejście jesieni z całym arsenałem jej tylko właściwych uciążliwości w postaci wiatrów i nękających opadów. Kiedy spuszczano trumnę do świeżo rozkopanego dołu, deszcz zamienił się w krótkotrwałą ulewę, po której nagle nastąpiło roz pogodzenie i rozbłysło słońce. Towarzystwo zebrane na tej smutnej uroczystości podzieliło się na różne grupy, z których jedną stanowiła rodzina zmarłego: ciemno

ubrana kobieta o zaciętej, zimnej twarzy z dwojgiem dorastających dzieci i z gronem najbliższych krewnych, drugą poszeptujący między sobą znajomi, a trzecią przedstawiciele licznych stowarzyszeń naukowych, których zmarły był członkiem, wyglądający dostojnie i bezosobowo z wieńcami w dłoniach. Na koniec delegaci „Radexu” - bliscy i dalsi współpracownicy Suchniaka, z dyrektorem generalnym na czele. Nastrój był nieco inny niż na zwykłym pogrzebie, pełen jakiejś nerwowości, pośpiechu, połączonego z uczuciem wewnętrznego zażenowania wobec faktu odejścia człowieka, który w pełni rozkwitającej kariery, na progu międzynarodowej sławy dobrowolnie z własnej, nieprzymuszonej woli opuścił

ten ziemski padół z sobie tylko znanych przyczyn. Wiadome było bowiem powszechnie, że inżynier Jerzy Suchniak odebrał sobie życie, zażywając potężną dawkę środków nasennych, które sprowadziły nieubłaganą, a widać tak upragnioną przez niego śmierć. Stojąc przed Zygmuntem Kolickim i Barbarą niedaleko mogiły mimo woli miałam możliwość obserwowania wdowy, która ostentacyjnie manifestowała kamienną wprost obojętność, a potem pewną niecierpliwość wobec przedłużających się ceremonii pogrzebowych. Wszyscy zresztą zachowywali się tak, jakby się niezwykle śpieszyli, nikt nie okazywał rozpacz, tylko przygnębienie towarzyszące niezmiennie tego rodzaju egzekwiom. Wiele osób rozmawiało wymieniając półgłosem różne przypuszczenia i uwagi odnoszące się do zgonu Suchniaka lub do innych błahych, codziennych spraw, głównie związanych z kaprysami aury. W pewnej chwili za barykadą pochylonych nad grobem pleców zobaczyłam kapitana Żelecha, stojącego na uboczu pod drzewem.

„Widać śmierć Suchniaka interesuje nasze władze” - pomyślałam.

- Zagryzły go baby - odezwał się nagle Zygmunt - jedna w biurze, a druga w domu. Potrzebne mu to było jak dziura w moście.

- Trafiał kolega w dziesiątkę - przytaknął Witold Zdich, kierownik wydziału planowania, kwitując w ten sposób

przyczynę desperackiego kroku Suchniaka. Kilka mniej lub więcej składnych przemówień, pośpieszne złożenie wieńców na grobie i wszyscy bezładnie rzucili się na drogę, wiodącą do bramy wyjściowej. Pogrzeb zakończył się bardzo wcześniej tak, że po jedenastej byliśmy już z powrotem w biurze. Andrzej Warcz siedział za biurkiem Kaniszowej i wyglądał, jakby fakt śmierci Suchniaka wpłynął znakomicie na jego samopoczucie. W ogóle z dnia na dzień stawał się coraz bardziej antypatyczny i od pewnego czasu zaczęłam poważnie myśleć o tym, żeby po dwudziestu pięciu latach wiernej służby zmienić posadę. W naszym wydziale panowała stale napięta, nieprzyjazna atmosfera. Nawet Zygmunt przestał szermować drobnymi, specyficznymi żarcikami i meł pod nosem niewybredne przekleństwa, których adresatem był niewątpliwie Andrzej. Basia kryła wszystkie uczucia w płachtach rozpostartych chustek, a Danka strzygła złymi oczami, mimo iż w stosunku do niej jednej Warcz zdawał się odnosić mniej protekcyjnie.

- Przeglądając pani korespondencję - Andrzej zwrócił się do mnie, wstając z krzesła i podchodząc do mojego biurka - stwierdziłem wiele zaległości. Szczególnie rynek Czarnej Afryki jest przez panią traktowany po macoszemu. Niestety musiałem zwrócić na to uwagę komisji współzawodnictwa pracy podczas wczorajszej inspekcji. Zrozumiałe jest, że nie będziemy mogli tolerować tego rodzaju zaniedbań. Jestem zmuszony wystąpić z wnioskiem o cofnięcie pani kwartalnej premii. Oczywiście służy pani odwołanie do dyrektora Kozłowskiego, o ile nie zgadza się pani z naszym stanowiskiem - Andrzej mówił głośno, nieomal skandując słowa. Oczy i uszy wszystkich obecnych zwróciły się na nas. W obliczu niedawnej śmierci Suchniaka, która wstrząsnęła „Radexem”, dosłownie w parę chwil po powrocie z pogrzebu takie wystąpienie było niesłychanym nietaktem, nawet o ile by miało mieć pokrycie w prawdzie. Czułam, że krew napływa mi do głowy i ogarnia mnie wściekłość na tego szczeniaka, który zdecydowanie czynił wszystko, aby mi popsuć reputację i zaszkodzić w pracy zawodowej. Jasne było, że w czasie mojej nieobecności grzebał w dokumentach i doszukiwał się nieprawidłowości w załatwianiu spraw, aby mnie

oszkalować przed działającą od pewnego czasu na terenie naszego zakładu komisją, mającą na celu usprawnienie niedociągnięć, a nagradzanie przodujących pracowników.

Do tej pory pozycja moja w „Radexie” nie była błyskotliwa, ale wszystko płynęło z dnia na dzień spokojnym nurtem. Nie kochałyśmy się z Teresą - to prawda, ale ponieważ nie wadziłam jej w prywatnych sprawach i nie stanowiłam konkurencji na żadnym polu jej działania, pozostawiała mnie w całkowitym spokoju, co mnie zupełnie zadowalało. Teraz Warcz z bliżej niewiadomych mi powodów postanowił mnie wykończyć, a przynajmniej obrzydzić pracą w „Radexie”. Jeszcze nie przebrzmiały jego słowa, kiedy w drzwiach stanęła wyfiokowana i mocno pachnąca perfumami sekretarka Kozłowskiego - Jola Skoczkwona.

- Pan dyrektor prosi zaraz panią Czerską do siebie - powiedziała srebrzystym, wymodulowanym głosikiem, kołysząc się w biodrach.

Zauważyłam, że Warcz drgnął nagle, jakby ze zdziwienia i usiadł na swoim miejscu, otwierając skoroszyt z aktami.

Nie! Jakże mogła kiedykolwiek utożsamiać Kozłowskiego ze Świroniem. Musiał to być wpływ słońca, wina, jakiegoś szczególnego wewnętrznego nastawienia. Być może, iż wtedy każda nieco podobna twarz musiałaby wywołać tego rodzaju skojarzenia, gdyż tak bardzo podświadomie, wbrew wszelkiej logice oczekiwałam na krystalizację moich marzeń i wieloletniej tęsknoty. Teraz, kiedy zobaczyłam za masywnym biurkiem, otoczonym regałami - szczupłego mężczyznę z niewielką ilością włosów zaczesanych do góry, wydał mi się zupełnie obcy i nie znany. Może tylko zarys podbródka, owal twarzy, gest powitalny, kiedy wstał na mój widok i wskazał mi krzesło, przywodził na myśl tamtego chłopca z lat okupacji. Ale było to nowe złudzenie. Łukasz nawet po upływie ćwierć wieku, gdyby mnie zobaczył samą z bliska, zamknąłby mnie w objęciu, tak jak przed laty.

- Przeglądałam właśnie pani akta personalne – odezwał się Kozłowski spokojnym głosem o niskim brzmieniu - i chciałbym z panią uzgodnić pewne sprawy. Pani pracuje w „Radexie”

nieprzerwanie od dwudziestu pięciu lat, prawda? Początkowo jako robotnica, mimo iż miała pani średnie, wykształcenie, potem przeszła pani do pracy w administracji. Studia wyższe ukończyła pani zaocznie, czy tak?

- Tak, panie dyrektorze.

Chwilę panowała cisza, przerywana szelestem dokumentów wertowanych przez Kozłowskiego. Mimo woli przyglądałam mu się z natężeniem. Jakaż jestem głupia, że nie mogę ostatecznie i zdecydowanie odciąć się od tych rojeń wylęgłych w mojej chorej wyobraźni i wziąć się w cugle. W końcu takie ustawiczne wlepianie gałów w dyrektora wyda mu się co najmniej dziwne, a nawet nienormalne. Strofowałam samą siebie - prawdopodobnie moja wizyta w tym gabinecie jest reperkusją działania Andrzeja Warcza i prologiem do rozmowy o rozwiązaniu stosunku służbowego.

- Chciałem się dowiedzieć, jak pani układa się praca w wydziale? Widzę, że od pięciu lat pracuje pani na stanowisku starszego handlowca bez awansu. Co prawda uposażenie sięga prawie najwyższego pułapu, ale nie wiem, czy sytuacja taka panią zadowala. Resumując po zasięgnięciu opinii wydziału kadr i konsultacji z dyrektorem generalnym proponuję pani objęcie kierownictwa wydziału, oczywiście do końca tego roku - jako pełniącej obowiązki naczelnika.

Poczułam, że krzesło i podłoga nagle gwałtownie zakołysały się pode mną w rytmie polki-galopki, w związku z czym moje oczy wpatrzone w Kozłowskiego przybrały nienaturalne wymiary. Dobrze, że tego nie zauważył, gdyż w dalszym ciągu trzymał głowę schyloną nad rozłożonymi papierami.

- Ależ, panie dyrektorze - wybąkałam po niepokojąco długiej chwili milczenia. - Naprawdę jestem zaskoczona.

- Nie wiem, jak mam to rozumieć - głos Kozłowskiego brzmiał nadal cierpliwie - ale przypuszczam, że się pani zgadza i od jutra obejmie nowe obowiązki.

Pomyślałam o zaciętej, nieprzyjaznej twarzy Warcza, o tym, że będę musiała zupełnie inaczej żyć, zmobilizować siły, zaczynać od początku i nagle spontanicznie powiedziałam:

- Bardzo dziękuję, panie dyrektorze za wyróżnienie, ale nie

zgadzam się.

- Dziwi mnie to - Kozłowski mówił już sucho i oficjalnie - wydawało się nam, że to pani właśnie jest najodpowiedniejszą osobą na zajęcie tego stanowiska. Ma pani najdłuższy staż pracy, wyższe wykształcenie, znajomość trzech obcych języków. Czyżby to brak odwagi, obawa przed samosprowadzeniem się? Ale skoro pani nie chce, to pani sprawa. Radzę jednak dobrze zastanowić się. Chyba to naprawdę niepowtarzalna okazja.

- Ale przecież pani Kaniszowa może jeszcze wrócić...

- Umowa z panią Kaniszową została rozwiązana ze skutkiem natychmiastowym w związku z porzuceniem przez nią pracy. Nie wiemy, co prawda, jakie są jej losy, ale w tej chwili nawet, gdyby się odnalazła, do „Radexu” już nie wróci. Czy pani poprzednią odpowiedź mam uznać za ostateczną?

W tej chwili ogarnęły mnie zupełnie odmienne niż przedtem uczucia, a przede wszystkim nieprzeparła ochota złamania głupiej buty Warcza, który z taką pasją kopał pode mną przysłowiowe dolki, widocznie przewidując we mnie najgroźniejszą konkurentkę. Mimo iż z tego sama zupełnie nie zdawałam sobie sprawy, pragnienie triumfalnego spojrzenia w cynicznie uśmiechniętą gębę, wydania autorytatywnego polecenia służbowego, jednym słowem odegrania się za wszystkie doznane przykrości - przeważało. I wtedy powiedziałam może zbyt gwałtownie:

- Nie, panie dyrektorze. Cofam poprzednie oświadczenie, zgadzam się i dziękuję za zaufanie.

- W takim razie natychmiast powiadomię kolegę War-cza, aby przekazał pani wszystkie dokumenty - Kozłowski uniósł się z miejsca i podał mi rękę, uważając naszą rozmowę za skończoną.

W domu ciotka Barbara przywitała mnie z szaleńczym błyskiem oczu i ręcznikiem zawiązanym na głowie.

- Słuchaj, moja droga, jeżeli wplątałaś się w jakąś awanturę i ktoś chce cię zamordować, to ja nie mam zamiaru paść przy tej okazji ofiarą. Jeszcze mi życie miłe. Chwalić Boga, że jutro wyjeżdżam!

- Ale co się stało? - zawołałam przerażona, że ciotka odniosła jakieś niebezpieczne obrażenia i ukrywa pod ręcznikiem krwawiącą ranę.

- Wszystko ci opowiem - jęknęła opadając na wersalkę.

- Właśnie gotowałam pierogi ze śliwkami - (pierogi to była specjalność ciotki. Za każdym jej pobytem musiałyśmy je jeść przynajmniej kilka razy i wyrażać przy tym ustawiczny zachwyt) - bo już od waszego pitraszenia zepsułam sobie kompletnie żołądek, kiedy usłyszałam jakieś podejrzanе majstrowanie koło drzwi. Na razie nie zwracałam na to specjalnej uwagi, myślałam, że to dzieciaki, ale potem ktoś parę razy zadzwonił, więc zapytałam: „Kto tam?” Wtedy jakiś chłop odpowiedział: „hydraulik”. Pomyślałam, że pewno nareszcie zawezwałaś kogoś do reperacji tego kranu w kuchni, który przecieka już od dwóch lat, i uchyliliam małą szparę w drzwiach. Wtedy jeden z dwóch chłopów stojących w sieni, bo było ich na pewno dwóch w takich szmatławych, ubraniach, wsadził nogę w tę szparę i wyciągnął łapsko, jakby chciał mnie schwycić za rękę, a głębę miał dla niepalących, istny uciekinier z Sing-Singu. Zrozumiałam, że to nie przelewki, i udało mi się na chwilę przytrzymać drzwi. I całe szczęście, że trzymałam w drugim ręku durszlak do odcedzenia pierogów, bo grzmotnę-

łam go nim z całej siły w tę paskudną łapę i kopnęłam w nogę, więc się cofnął, a ja błyskawicznie zatrzasnęłam drzwi. No, moja droga, żeby nie przytomność umysłu, już byś mnie nie zastała przy życiu. Te zbiry przebrały się za hydraulików, żeby się dostać do mieszkania. Na pewno chcieli poczekać na ciebie i też cię wykończyć. Nie wiem, co masz zamiar zrobić, ale ja na twoim miejscu zawiadomiłabym milicję. Ja już wysiadam z takiego domu! Głowa mnie rozboleła, pierogi się rozleciały. Kto wie, czy jutro ktoś tu nie podłoży dynamitu. Zaraz idę pakować walizkę.

- Ciociu - usiłowałam uspokoić ciotkę Barbarę - może to byli naprawdę hydraulicy przysłani przez ADM. Dwa tygodnie temu zgłaszałam uszkodzenie rezerwuaru w łazience.

- To byli tacy hydraulicy, jak ja jestem primadonną w operze warszawskiej. Czy ty nie rozumiesz, dziewczyno, że ktoś dybie

na twoje życie? Ale to już twoja sprawa, jak się z tego wykaraskasz, tylko mnie w to nie wciągaj. Ciotka oddaliła się z godnością do drugiego pokoju, pozostawiając mnie na pastwę sprzecznych domysłów.

W każdym razie postanowiłam na razie nie alarmować administracji domu na wypadek, gdyby to byli istotnie robotnicy przysłani w celu wymiany urządzeń sanitarnych, gdyż incydent ten na pewno nie pozostałby bez echa i mogłabym narazić się na parę przykrych słów ze strony kierownika technicznego. A jeśli to byli włamywacze lub inni przestępcy? Czy wydarzenie to, jak sugeruje ciotka, należy wiązać z wypadkami ostatnich tygodni? Tylko co w końcu ja mam z tym wszystkim wspólnego? Mimo iż nie dostrzegłam żadnego logicznego związku łączącego te fakty z moją osobą, mimo woli znów poczułam się nieswojo, a blada i skrwawiona twarz Marzeny zamajaczyła mi raz jeszcze wyraziście przed zaśnięciem w ciemnościach nocy.

Nie, ja jednak nie nadaję się na stanowisko naczelnika wydziału. Jestem sobie zwykły, szary pracuś pozbawiony dynamicznej inwencji i rzutkości pomysłów, jaka powinna cechować takiego osobnika. A poza tym nie umiem dyrygować ludźmi, narzucać komuś swego zdania i wiecznie czuję się jak na cenzurowanym. Niepotrzebnie przyjąłam tę funkcję. Należę bezsprzecznie do bezbarwnych, anemicznych stworzeń, które żyją i wegetują w cieniu innych, żywiąc się odbłaskiem ich świetności, bez ekspozowania własnego „ja”. Teraz jest już stanowczo za późno na podejmowanie prób przewycięzania tego rodzaju zahamowań psychicznych. Od paru dni usiłowałam kierować wydziałem pod obstrzałem początkowo zdumionych, nieco ironicznych, a potem przymilnych spojrzeń kolegów. Przybył nam też nowy pracownik, doświadczony, z długoletnim stażem, pięćdziesięcioparoletni ekonomista pan Janusz Kubik, czym poczułam się jeszcze więcej zażenowana, jako że moim zdaniem górował nade mną wiedzą fachową, a przy tym wyglądał niezwykle dostojnie. Zygmus Kolicki pierwszego dnia po wprowadzeniu mnie w sposób oficjalny na nowe stanowisko przez dyrektora Kozłowskiego powiedział:

- Jak widzę, odziedziczyła pani po naszej Teresie nie tylko ciuchy, ale i krzesło.

- To było głupie i nietaktowne - wycedziła Danka, mając okazję do zrewanżowania się za liczne docinki, których jej nigdy nie szczędził. Koliccki zerwał się ze swego miejsca i podbiegł do mnie w podskokach, całując w rękę.

- Przepraszam, pani Idusiu, tak mi się wyrwało bez sensu. Ja nie ze złego serca. Po prostu przypomniało mi się, jakżeście panie oglądały te barwne łaszki przed pani wyjazdem do Bułgarii. A może mi je pani jednak sprzeda? Chętnie kupię dla żony. Ona przepada za tą zagraniczną pstrokacizną.

Żeby się na pana nie obrazić, muszę wziąć tę propozycję za żart - odpowiedziałam z trudem hamując zdenerwowanie. - Jak dotąd nie zwykłam handlować cudzymi rzeczami. Mam nadzieję, że osobiście zwrócę je pani Kaniszowej.

- No to trudno. Ale się pani na mnie nie gniewa, prawda? Czy wiecie państwo - nagle przeszedł na inny temat - że kolega Warcz zmienia posadę i przenosi się do „Waginpola”? Jakoś nie miał szczęścia do swego imiennika - dyrektora. Nie może tego znieść, że tak dostał po nosie.

Andrzej rzeczywiście po moim niespodziewanym awansie ukazywał się w biurze ze złą, ironiczną twarzą, ignorując ostentacyjnie moją osobę.

„Jeżeli ktokolwiek miałby teraz chęć mnie ukatrupić, to tylko Warcz - pomyślałam - Tylko że to nie on przebrał się za hydraulika i dostał kopniaka od ciotki Barbary. Chronologia faktów się nie zgadza. Całe szczęście dla mnie, że ten młody człowiek znajdzie na pewno szybko pole do ekspansji swoich uzdolnień i ambicji w innej instytucji, a mnie zejdzie z oczu”.

Ponieważ ciotka wyjechała nad morze nazajutrz po przepędzeniu „morderców”, jak mówiła, a Monika na obóz żeglarski do Jachranki w związku z nawrotem złotej, polskiej jesieni, w mieszkaniu było cicho tak jak w dawnych, dobrych czasach. Zapaliłam papierosa, zaparzyłam kawę i prawie osiągnęłam błogosławiony stan nirwany, kiedy zabrzączał gwałtownie dzwonek. Oczywiście zupełnie zapomniałam o przestroгах ciotki, żeby zachować jak najdalej idące środki

ostrożności, i swoim zwyczajem zamasyżycie otworzyłam drzwi. W tej samej chwili coś czy ktoś rąbnęło mnie w nogi i osunęło na podłogę w sieni. Schyliłam się i zobaczyłam, że u moich stóp leży człowiek -(i to młody, przystojny - o ciemnych, długich włosach, wyglądający na truposza albo na kogoś, komu niewiele brakuje, aby zasłużyć na to miano. Na jego gładkim, wysokim czole widniało kilka kropel krwi. Nogi ugięły się pod mną i poczułam gwałtowne mdłości. Nie, stanowczo za dużo jak na mój gust tej makabry na przestrzeni kilku ostatnich tygodni. Jakieś złe moce uwzięły się, żeby mnie zgnębić! Teraz dla odmiany podrzucano mi trupa płci męskiej, prawdopodobnie celem wrobienia mnie w morderstwo albo wciągnięcia w jakąś ciemną sprawę. Tymczasem denat jęknął, więc poczułam pewną ulgę i zaczęłam gwałtownie zastanawiać się, co z tym fantem zrobić. Krzyczeć i wzywać pomocy jedynych zresztą na naszej klatce schodowej sąsiadów nie było sensu, bo aktualnie wyjechali za granicę, ponadto ten przystojny młodzieniec wyglądał mi na to, że potrzebuje natychmiastowej pomocy. W tej sytuacji nie mogłam przecież zostawić go leżącego pokotem w sieni, aby biec po kogoś z zewnątrz. Zdecydowałam się więc na najprostszą rzecz: chwyciłam nogawkę jego bardzo eleganckich, zamiszowanych spodni i zaczęłam go mozolnie wciągać do mieszkania. Przy tych manipulacjach grzmotnął kilkakrotnie rękami i nogami o kant drzwi, ale nie odzyskał przytomności, chociaż od czasu do czasu pojękiwał z cicha. Kiedy już złana potem uporałam się z tym i nieznajomy w całej okazałości znalazł się w środku, rozciągnięty wzdłuż przedpokoju, wydało mi się, że stanowczo leży za spokojnie, i nabrałam podejrzania, że go wykończyłam. Jednocześnie zdałam sobie sprawę, że postąpiłam jak skończona idiotka, gdyż w przypadku przestępstwa dla organów ścigania niezmiernie ważne jest miejsce położenia ofiary, ja zaś znakomicie zatarłam wszelkie ślady. Zamiast zawiadomić pogotowie, MO, straż pożarną, dozorcę, zresztą jakkolwiek władzę czy osobę urzędową, sama zajęłam się misją ratowania rannego. Nie miałam jednak czasu na dalsze medytacje, gdyż zadzwonił telefon i w słuchawce usłyszałam

głos Moniki.

- Monika, to ty? - nieomal załkałam. - Jakie to szczęście, że dzwonicz.

- Czyżbyś się tak za mną stęskniła? Przecież wyjechałam dopiero wczoraj.

- To nie o to chodzi. Mamy gościa.

- To dobrze. Pozdrów go ode mnie i daj mu pierogów ciotki Barbary, stoją w lodówce.

- Nie żartuj, to nie jest normalny gość.

- Co takiego? Uciekł z domu wariatów?

- Niezupełnie. Wygląda na to, że to nieboszczyk.

- Mamo, czy ty sobie kpisz ze mnie? Zamordowałaś kogoś, czy co?

- Monika, mówię zupełnie serio. Na podłodze w przedpokoju leży przystojny chłopiec w zamszowym ubraniu i ma bardzo marny wyraz twarzy, a poza tym jest zakrwawiony. Jeżeli zostanę z nim chwilę dłużej, oszaleję!

- Uspokój się. Skąd wiesz, że on nie żyje?

- Przestał jęczeć i jest blady jak kreda.

- A więc jęczał? Słuchaj, przyłóż mu kompres na czoło i daj krople nasercowe, jak się ocknie. Ja za pół godziny przyjadę samochodem z Markiem i Waldkiem.

- Tylko nie przyprowadzaj mi ich tutaj i nikomu nic nie mów! Błagam cię, niech nikt się o tym nie dowie!

- Zgoda. Wyłączam się i jadę.

Po odłożeniu słuchawki czym prędzej zastosowałam się do rad Moniki i zmoczyłam go prawie całego zimną wodą. Odniosło to niespodziewanie dobry rezultat. Gość otworzył oczy bardzo błękitne, ocienione czarnymi rzęsami, przyjrzał mi się jak zjawie z tamtego świata i zaczął coś niewyraźnie mówić po angielsku. Kiwając mu głową, żeby go nie rozdrażniać (znam francuski, niemiecki, rosyjski, ale angielskiego prawie wcale), podałam mu cardamid, który łyknął bez sprzeciwu, po czym zebrał się w sobie, wstał chwiejnie na obie nogi i na mój zapraszający gest położył się na wersalce. Zanim Monika przyjechała, byliśmy już zupełnie zaprzyjaźnieni. Gerald, bo zrozumiałam, że tak się nazywa, siedział w fotelu i popijał

czarną kawę.

Monika wtargnęła jak burza w obcisłych spodniach i szafirowym golfie doskonale odcinającym się od opalenizny twarzy i złocistej strzechy włosów.

- Co się tu właściwie stało? - wrzasnęła od progu i przystanęła zdumiona na sielankowy widok naszego sam na sam przy kawie.

- Nie rozumiem, po co mnie prowadziłaś. Pędziliśmy jak nieprzytomni, przejechaliśmy dwie kury, o mało co nie zapłaciliśmy mandatu, a ty tutaj wydajesz małe przyjęcie.

- I am sorry - wybąkał młody człowiek, podnosząc się z miejsca.

- Pozwól, to jest Gerald, a to Monika - dokonałam wzajemnej prezentacji - reszty dowiedz się od niego sama, bo nic więcej nie mogę zrozumieć.

- Postaram się - Monika wzruszyła ramionami, zupełnie nieczuła na zachwycone spojrzenia, jakimi od pierwszej chwili począł ją przeszywać młodzieniec, tak niedawno wyrwany z objęć śmierci. Po piętnastu minutach rozmowy, jaka wywiązała się między nimi, mogłam dowiedzieć się wreszcie, że tenże Gerald Finch, rodem z Chicago, od kilku dni przebywający w Polsce, udawał się do swego krewnego, zamieszkałego obok nas na tym samym piętrze z pierwszą wizytą nie wiedząc, że ów krewniak przed dwoma tygodniami wyjechał na trzy lata za granicę, i przed samymi drzwiami został napadnięty przez nie znanego sprawcę, który zniemacka uderzył go w głowę, pozbawiając w ten sposób przytomności. W ostatnim przeblýsku świadomości zdołał zadzwonić do naszych drzwi. Kto i dlaczego to zrobił, o tym Gerald nie miał najmniejszego pojęcia i nawet nie mógł snuć na ten temat żadnych domysłów, bo w Polsce nie miał prawie żadnych znajomych, a adres kuzyna dostał od swego ojca, bogatego przemysłowca z Chicago. Całe szczęście, że zaopiekowała się nim szlachetna i miła pani (ukłon w moją stronę) i że dzięki temu miał możliwość zapoznania nas obu (czytaj -Moniki). A w ogóle to jest niezwykle wdzięczny za pomoc i opiekę i o nic więcej nie prosi, jak tylko o danie mu sposobności do rewanżu, a przede

wszystkim ponownego nas odwiedzenia w najbliższym czasie. Na propozycję złożenia meldunku o napadzie w Milicji Obywatelskiej odpowiedział odmownie. Nie chce zaczynać pobytu w Polsce od przesłuchań na komisariatach, tym więcej iż poza krótkotrwałym szokiem, guzem na głowie i zadrapaniem na czole, nic mu się właściwie nie stało i obecnie czuje się dobrze. Poprosiłam Monikę, żeby go zapewniła, że w tym domu taki wypadek zdarzył się po raz pierwszy, by nie pomyślał, że walenie po łbach cudzoziemców należy do tutejszych obyczajów, ale Gerald roześmiał się całą pierśią, a uśmiech miał niezwykle urokliwy, i powiedział, że nigdy nic podobnego nie przysłoby mu do głowy i ma jak najlepsze wyobrażenie o polskich domach i polskiej gościnności.

- Wiesz, on jest fajny - powiedziała Monika wieczorem jakoś nie zdradzając ochoty do powrotu do Jachranki, a takie określenie osobnika płci odmiernej było nieomylnym symptomem zbliżającego się zakochania. Biedny Marek. Znów będzie miał ciężkiego zgryza.

Mężczyzna w skórzanej kurtce usiadł na fotelu naprzeciw dwojga ludzi o zmieszanych, pobladłych twarzach, przyglądając się im z drwiącym uśmiechem.

- Mam nadzieję, żeście nas nie okłamali - powiedział, skandując słowa tonem pełnym okrutnej satysfakcji, gdyż w oczach kobiety wyczytał przerażenie, a z zachowania jej towarzysza wynikało, iż znajduje się on w stanie bliskiego załamania nerwowego. Lubił patrzeć w ten sposób na swoje ofiary, igrać z nimi jak kot z myszą, aby potem zniemacka zadać śmiertelny cios.

- Powiedziałam wszystko, nic więcej nie wiem - wyszeptła zbiegającymi wargami.

- To dobrze - cedził dalej - naturalnie sprawdzimy, czy nie zełgaliście. Nie chciałbym być w waszej skórce, gdybyście mieli zamiar nas oszukać. I nie próbujcie drapnąć za granicę. Znamy się na takich sztuczkach. Fałszywe paszporty, lewe dokumenty... Czyż nie tak? A potem życie po pańsku za cudze pieniądze, wylegiwanie się na plażach, rozbijanie po kurortach.

Nic z tych rzeczy, moi mili. My nie płacimy za darmo takim szczyrom, jak wy.

- Panie! - wybuchnął mężczyzna cienkim falsetem. - Niech pan nie przeciąga struny, bo powiem Czerskiej, kim pan jest.

- Spróbuj tylko, gnoju. Nie tacy jak ty chcieli mnie szantażować i już dawno ziemię gryzą. Radzę wam siedzieć cicho, jeżeli chcecie jeszcze trochę pożyć. Potem się okaże, co z wami zrobimy. Jeżeli mówicie prawdę, niewykluczone, że spotkamy się wszyscy na ruletce w Monte Carlo.

Rozdział VIII

Chyba tego dnia, kiedy porucznik Broński ponownie zjawił się w naszym mieszkaniu, zorientowałam się po raz pierwszy, że mam anioła stróża. Było to odkrycie bardzo niemiłe, które sprawiło, że wróciłam wzburzona i zdenerwowana do domu. Porucznik Broński zapowiedział się uprzednio telefonicznie i przyszedł jak zwykle uśmiechnięty i świeżutki, przynosząc ze sobą poncho. Kiedy zobaczyłam je leżące na stoliku, powracające jak bumerang w całej swojej krasie błękitu, zieleni i czerwieni, poczułam fluid emanujący od niego jak od złego ducha.

- Czy nie mógłby pan tego zabrać? - zapytałam.

- Dlaczego? - zdziwił się Broński.

- Poncho nie należy do mnie i nie chciałabym go przechowywać. A w ogóle zanadto mi przypomina tamto okropne wydarzenie. Może jestem zabobonna, ale wydaje mi się, że może mi przynieść pecha.

- Proszę je jednak zatrzymać. Być może będzie pani mogła zwrócić prawowitej właścicielce - Broński uśmiechnął się zagadkowo.

- To już są jakieś wiadomości o pani Kaniszowej? - zapytałam naiwnie.

- Chwilowo nie ma. Na razie bardzo pani dziękujemy - porucznik nagle zaczął się bardzo spieszyć.

Zaledwie zdołałam cisnąć poncho ze złością pomieszaną ze

wstrętem na dno szafy, zadzwonił telefon.

- Pani Idalia Czerska? - ten męski głos był mi dobrze znany, ale nie mogłam go na razie z nikim skojarzyć.

- Tak, przy telefonie.

- Ida, nie poznajesz mnie? Nic dziwnego, tak dawno nie rozmawialiśmy. Mówi Wiktor, Wiktor Mączarowski.

Nie wiedziałam, czy mam zaraz rzucić słuchawkę, czy przeczekać pierwszy atak złości, który objawiał się zawsze we wstępnym stanie nasilenia w postaci nie milego dreszczu po plecach.

- Nie wiem, czy Monika wspominała ci o mnie - kontynuował Mączyk vel Mączarowski - widziałem się z nią. To bardzo piękna dziewczyna...

- Przypuszczam, że nie dzwoni pan po to, żeby mi zakomunikować swoje zdanie o urodzie mojej córki - przerwałam gwałtownie. - Słucham, o co panu chodzi?

' - Nie miałem pojęcia, że tak bardzo jeszcze gniewasz się na mnie, ale z drugiej strony wcale mnie to nie dziwi. Dzwonię po to, żeby cię prosić o spotkanie.

- Nie widzę najmniejszego powodu, abyśmy się mieli spotkać. Przypuszczam, że wszystkie sprawy zostały pomiędzy nami raz na zawsze wyjaśnione. Chyba też i dalsza rozmowa jest całkowicie zbyteczna.

- Ido, bardzo cię proszę. Sprawa jest poważna. Nie zwracam się do ciebie w złej intencji. Bądź tak dobra i zgódź się na spotkanie - głos Wiktora nabrał nieoczekiwanie pokornego tonu.

- Nie i jeszcze raz nie! I proszę więcej nie telefonować. To jest oburzające! Żegnaj pana! - rzuciłam słuchawkę o mało nie rozbijając aparatu. Musiałam w duchu przyznać, że zachowałam się głupio, okazując tak jawnie złość. Gotów pomyśleć, że żywię do niego zadawniony żal z powodu porzucenia mnie z „dzieckiem na rękę”, gdy tymczasem jest to zupełnie inne uczucie: coś w rodzaju odrazy, jaką budzi widok obmierzłego gada, lub instynktu samozachowawczego przed ośmiornicą zamierzającą zaatakować lepkimi mackami.

Jeszcze tego samego wieczoru zrozumiałam, że poprzednio

odniesione wrażenia były prawdziwe i że jestem nieustannie przez kogoś śledzona. Odtąd dzień w dzień, gdziekolwiek bym się nie ruszyła, na ulicy, w sklepie, w autobusie, wszędzie dostrzegałam jakąś sylwetkę o bezmiennej twarzy zaczajoną w tłumie, przyklepioną do muru, obserwującą mnie z ukrycia, tropiącą każdy mój krok, czyjeś natrętne oczy biegnące za mną, nie dające mi chwili spokoju... Nawet w biurze miałam ustawicznie wrażenie, że ktoś za mną chodzi, przemyka się po korytarzach, prześlizgując w takim oddaleniu, abym nie mogła dostrzec twarzy i zidentyfikować osoby. Nadaremnie usiłowałam to wytłumaczyć sobie grą wyobraźni, omamem wzburzonych nerwów, w żaden sposób nie mogłam pozbyć się uczucia, że ktoś mnie prześladowuje, pilnując każdego mojego ruchu. Było to nieprzyjemne, męczące, wpływało fatalnie na moje samopoczucie i, rozstrajało psychicznie. W domu wszystko leciało mi z rąk. Spaliłam spódnice, bo nie wyłączyłam żelazka, parę razy o mało co nie zagazowałam mieszkania i złapałam się na tym, że zamiast maselniczki wkładałam do lodówki pończochy.

W biurze starałam się trzymać nerwy na wodzy, ale ten wysiłek był niewspółmierny do moich możliwości witalnych. Z drugiej strony usiłowałam sobie wytłumaczyć, że -jeżeli jakieś nie znane moce, zdalnie sterowane - zaplanowały istotnie zamach na moje życie, to już od dawna bez żadnych trudności mogłyby to zrealizować. Nie chodziłam przecież w żelaznym hełmie na głowie, nie jeździłam autem wyposażonym w szyby kuloodporne, jak prezydent Stanów Zjednoczonych, a wręcz przeciwnie, prozaicznie przepychałam się w tramwajach i autobusach. Tym niemniej po raz pierwszy zdałam sobie sprawę z jakiegoś nie dającego się przynajmniej na razie bliżej sprecyzować niebezpieczeństwa, którego być może nie należało lekceważyć. Tylko w jaki sposób. Trudno przecież, żebym niepokoiła tego rodzaju odczuciami i wrażeniami Milicję Obywatelską, bo prawdopodobnie mogłoby to być poczytane za typową histerię klimakteryczną. Zresztą nie mogłam się spodziewać, żeby przydzielono mi gwardię przyboczną, czuwającą w dzień i w nocy nad moim bezpieczeństwem.

Chwilami naprawdę nie byłam pewna, czy wszystko nie polega jednak na urojeniu, gdyż nic konkretnego się nie działo, a inspiratorką tego stanu maniakalno-depre-syjnego mogła być równie dobrze ciotka Barbara ze swoją wyolbrzymioną podejrzliwością. Najgorsza rzecz, że właśnie teraz, kiedy tego najwięcej potrzebowałam, straciłam kontakt duchowy i fizyczny z Moniką. Od momentu, kiedy Gerald Finch pojawił się na firmamencie jej życia, wszystko poza nim przestało mieć dla niej sens i znaczenie. Musiałam być wyrozumiała, szanować jej odczucia i nie zakłócać tej szaleńczej euforii. Przecież sama dwadzieścia pięć lat temu postępowałam identycznie, dom, rodzina praktycznie dla mnie nie istniały. Monika była moją nieodrodną córką, tylko u niej okres ten przyszedł później niż u mnie, w momencie dojrzałości psychicznej, pełnego ukształtowania światopoglądu. Wolałabym jednak, żeby w innym obiekcie ulokowała swoje wybuchy namiętności. Gerald, w gruncie rzeczy, był dla mnie obcą, papierową postacią, ponadto był cudzoziemcem, a istniała uzasadniona obawa, że może mi ją zabrać na zawsze. Nieznałam jego mentalności, jego charakteru i dziwna rzecz... nie mogłam o nim myśleć jako o potencjalnym zięciu. Czulałam, że mimo jego niezaprzeczalnych uroków osobistych coś mnie od niego odpycha, ale być może wchodziłam już w rolę przysłowiowej teściowej. W każdym razie prawda była taka, że Monika zniknęła od rana, a zjawiała się późną nocą. Z jej krótkich, telegraficznych niemal relacji dowiadywałam się, że szaleją na dancinach w najekskluzywniejszych lokalach, że Gerald jest bajecznie bogaty, ma ogromne znajomości w sferach filmowych w Stanach Zjednoczonych, gdyż ojciec jego jest współwłaścicielem wytwórni filmowej, a on sam - Gerald jest świetny, równy, wspaniały w ogóle i pod każdym względem. Czy mogłam w takiej sytuacji zaczynać swoje zwierzenia, od których myślą była tak daleko, dzielić z nią obawy, które i tak wydałyby się jej śmiesznie błahe, burzyć jej radosny nastrój dla swoich, być może, chimerycznych widziadeł? Nie, tak postąpić nie miałam prawa. Zresztą ostatnio miałam tak niewiele okazji do rozmowy z Moniką, że realizacja tego postanowienia była

raczej koniecznością, a nie poświęceniem w imię uczuć macierzyńskich. Jednak mimo iż usiłowałam wielokrotnie sama sobie przemówić do rozsądku i wziąć się w garść, stale czułam się jak osaczone zwierzę, na które ktoś nieuchwytny i groźny zastawia sidła i pułapki. Dla wszelkiego spokoju zdecydowałam na razie otwierać drzwi tylko osobom telefonicznie ze mną umówionym i unikać samotnych spacerów po zapadnięciu zmroku.

Tego wieczoru wracałam nieco później do domu, gdyż zakupy na mieście zajęły mi sporo czasu. Toteż kiedy na pustym prawie Rynku Mariensztackim zobaczyłam niespodziewanie sylwetkę mężczyzny odrywającą się od mu-ru narożnego domu i kierującą chyłkiem w moją stronę, nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

- Dobry wieczór, czy mogę z panią pomówić? - odezwał się jakiś głos, który wydał mi się dziwnie znajomy.

Ponieważ byłam przekonana, że mam do czynienia ze swoim własnym mordercą, nie podnosiłam głowy, aby już raczej zginąć w nieświadomości tego, co się stanie. Na wszelki jednak wypadek zelektryzowana brzmieniem jego głosu zerknęłam spode łba w górę i zobaczyłam nad sobą marsowatą, nachmurzoną twarz Marka, długoletniej sympatii Moniki.

- A to ty! - zawołałam, wydobywając jakiś pseudo-skrzek z krtani (do czego to już doszłam na tle swoich chorobliwych obsesji) - bardzo się cieszę, chodź na górę, proszę bardzo.

Z taką skwapliwością i zapałem wprowadziłam go do mieszkania, posadziłam na fotelu, zachęcałam do picia kawy, że zaczął mi się przyglądać podejrzliwie, jak osobie zdradzającej niejaki objawy zaburzenia władz umysłowych.

- Ja tylko na chwilę - wybąkał wreszcie, kiedy dałam mu dojść do słowa, i nagle zaczął szybko i głośno mówić, jakby pragnął ciężar zrzucić z piersi.

- ... bo ja chciałem panią prosić, żeby pani ostrzegła Monikę, żeby jej pani powiedziała prawdę o tym zagranicznym bubku, który nie wiadomo skąd przyjechał i ciska dolarami. Ona świata poza nim nie widzi, przestała się uczyć, nie poznaje znajomych na ulicy, traktuje mnie jak powietrze. Po tylu latach

przyjaźni... Pomyślałem sobie od razu, że to jakaś nieczysta sprawa, i postanowiłem trochę za nim pochodzić, a właściwie pojeździć. Pożyczyłem auto od kolegi i poczekałem na nich pod Bristolem. Byli tam oboje z Moniką na kolacji. Wyszli koło pierwszej trzydzieści. Ona śmiała się, była rozbawiona, chyba trochę na rauszu, on trzymał ją w pól. Pojechałem za jego Fordem tu, aż pod sam dom, gdzie się czule pożegnali. Chciałem sprawdzić, co on będzie dalej robił, bo miałem przeczucie, że nie wróci do hotelu jak grzeczny chłopczyk, żeby pójść lulu. I miałem rację. Zatrzymywał się i zbierał po drodze różne męty, chłopaków i dziewczyny, z którymi musiał być umówiony. A potem wszyscy poszli w tango do jakiejś meliny na Pradze. Siedziałem w aucie całą noc i nie spuszczałem oka z bramy. Wyszedł stamtąd o czwartej rano pijaniusieńki, utyłtany jak Świnia i zasnął w swoim samochodzie. Widocznie, żeby trochę wytrzeźwieć. Chciałem go spruć, a przedtem plunąć w te jego śliczne oczy, ale żal mi było ręki. I z takim chłystkiem chodzi Monika. Przecież on ją zmarnuje. To na pewno jakaś ciemna historia.

Siedziałam na brzeżku fotela z wytrzeszczonymi oczyma. Łyk kawy zatrzymał mi się w zaciśniętym gardle.

- To, co mówisz, Marku - powiedziałam wreszcie- jest okropne. Monika zupełnie straciła głowę. Prawdę mówiąc jest w Geraldzie cieleco zakochana. Nigdy dotąd nie wkraczałam w jej osobiste sprawy, a i ona nie zasięga moich porad od wielu lat, jest przecież dorosłym człowiekiem. Obawiam się, że nie będzie chciała mnie wysłuchać, a co gorsze w nic nie uwierzy, i wszystko, co jej powiem, może wywołać odwrotny skutek.

- To co robić, proszę pani? - Marek był zupełnie załamany. - Przecież nie można pozwolić, żeby wpadła w łapy tego dolarowca. Niech pani coś postanowi, w końcu u licha, niezależnie od takich czy innych układów między wami, jest pani chyba dla niej jakimś autorytetem! -niespodziewanie przybrał wojowniczą postawę i wstał z fotela nacierając na mnie groźnie.

- Siadaj! - krzyknęłam w obawie, że to ja padnę ofiarą jego zemsty zamiast Geralda. - Obiecuję ci, że coś wymyślę, żeby ją

uświadomić, z kim ma do czynienia, ale najlepiej byłoby, gdyby sama się o tym przekonała, co zresztą prędzej czy później nastąpi, jestem tego pewna.

- Oby nie było za późno - zawarczał Marek, który był w takim nastroju, że najchętniej poszatkowałby swego rywala na kawałki. - To ja już pójdę.

Po jego wyjściu ogarnęła mnie prawdziwa, autentyczna chandra. Do wszystkich zmartwień dołączyła się teraz troska o Monikę. Ani przez chwilę nie wątpiłam w szczerość słów chłopca, który jak widać postanowił podjąć walkę o wybraną dziewczynę. Ja jednak byłam bezradna, gdyż każda moja uwaga wypowiedziana pod adresem urodziwego Amerykanina mogła zostać poczytana przez Monikę zupełnie opacznie w aktualnym stanie jej uczuć. W końcu postanowiłam sprawę bezpośredniej interwencji odłożyć na wypadek, gdyby chciała popełnić jakieś zasadnicze głupstwo.

Tego wieczoru po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zaczęła ciążyć mi samotność. Przedtem świadomie odseparowywałam się od ludzi, teraz czując wciąż potęgujący się niepokój zapragnęłam widoku życzliwej twarzy. I pomyślałam o Kamilu. Odgadłam, że siedzi w swoim bungalowie nad Zalewem Zegrzyńskim, gdyż natychmiast podniósł słuchawkę telefoniczną.

- Jak to miło słyszeć twój głos, Iduś. Chcesz się dzisiaj ze mną zobaczyć? No, nareszcie, tyle czasu czekałam. Nie, to nie jest zwariowany pomysł, wcale nie jest za późno. Naturalnie, że po ciebie przyjadę i pójdziemy do jakiejś kawiarni. A więc za pół godziny.

I oto siedzimy już naprzeciw siebie w Bristolu, rozparci w wygodnych fotelach: Kamil uosobienie życzliwości, serdeczności, ciepła. Duża, ciężka bryła mięsa o twarzy pełnej fałd i drobnych zmarszczek, w których toną małe, promieniujące uśmiechem i przyjaźnią oczy, tyloletni tragarz moich walizek, dozgonny przyjaciel i wielbiciel, a ja zastraszona, rozhisteryzowana, szukająca pociechy i oparcia.

„Dlaczego ten człowiek tyle lat okazuje mi względy, szuka mego towarzystwa, znosi moje kaprysy, słowem ma do mnie

świętą cierpliwość” - myślałam, patrząc na niego z pewnego rodzaju rozrzewnieniem. Przecież od lat zdaje sobie sprawę, że nie ma i nie będzie miał u mnie szans jako mężczyzna. Czyżby jeszcze nadal łudził się, iż przełamie mój opór do założenia nowego ogniska domowego, przeczeka kryzys wewnętrzny, który ciągnie się od ćwierć wieku? Tego rodzaju postawa u dojrzałego, zrównoważonego człowieka jest na ogół zjawiskiem nienaturalnym, dlatego Kamil stanowił w moim pojęciu okaz dawno wymarłego gatunku błędnych rycerzy, reinkamujących się niekiedy we współczesnym świecie.

- Idę, napijesz się kawy? - troskliwy głos zabrzmiał tuż nad moim uchem, a duża włochata ręka nakryła moją dłoń, spoczywającą nieruchomo na stoliku. W tej chwili, jak zwykle w momentach najmniejszej próby kontaktu fizycznego, wstrząsnął mną dreszcz niechęci, powodujący, że wyśliznęłam rękę szybko, najdelikatniej zresztą, jak mogłam, i ulokowałam na swoich kolanach. Tak było zawsze i tak jest teraz. Kamil budził we mnie tego rodzaju odruchy, których nie mogły przezwyciężyć najżywsze przejawy przyjaźni i ofiarności. Kątem oka zaobserwowałam, że po jego twarzy przeleciało jakby drgnienie, ale zaraz rozplynęło się w dobrotliwym, ujmującym uśmiechu.

„Z taką babą jak ja zerwałabym dawno na jego miejscu znajomość - stwierdziłam w duchu po raz tysięczny w czasie, gdy zamawiał kawę i kremówki u uprzejmej, eleganckiej kelnerki o wystudiowanym wyglądzie - dobrze jednak, że mam go zawsze pod ręką na każde skinienie”. Nigdy się nie obraża, stale jest gotów do różnych usług, z których zresztą staram się korzystać jak najrzadziej, aby nie zaciągać długów wdzięczności i nie stwarzać okazji do zbliżeń. I teraz będę mu mogła wszystko opowiedzieć, zwierzyć się ze swoich obaw, przeczuc, lęków. Na pewno mnie nie wyśmieje, nie uzna za wariatkę, histeryczkę, a coś poradzi, załatwi, uspokoi. Powinnam mu być wdzięczna, okazać trochę przychylności, której tyle lat pragnie, ale nie mogę, nie jestem w stanie. Kiedy pracowaliśmy razem w „Lampolu”, jeszcze przed reorganizacją, ja jako skromna ekonomistka w biurze, on jako główny księgowy na

wyeksponowanym stanowisku - od razu zorientowałam się, że znajduję się w orbicie jego zainteresowań i planów na przyszłość. Wtedy jeszcze żyłam prawie w oderwaniu od rzeczywistości, splątana tragicznymi więzami z przeszłością, od której trudno było mi się oderwać. Byłam wtedy przeraźliwie samotna i zdana tylko na własne siły. Gdyby Kamil działał choć trochę na moje zmysły, być może powtórzyłaby się historia pierwszego małżeństwa, ale tym razem sprawa miała się wręcz przeciwnie. Pamiętam, było to latem, chyba dziesięć lat temu. Kamil nie pracował już w „Radexie”. Przeszedł na rentę inwalidzką po wypadku samochodowym, który oprócz przejściowych obrażeń zewnętrznych i wewnętrznych spowodował u niego trwałe kalectwo w postaci krótszej nogi. Jednocześnie jakby dla rekompensaty od losu odziedziczył po krewnym z Ameryki znaczny spadek, co umożliwiło mu postawienie willi nad Zalewem Zegrzyńskim, gdzie spędzał gros czasu i mógł oddawać się spokojnie swemu życiowemu hobby - malarstwu. Monika wyjechała na obóz harcerski, a ja jak zwykle tkwiłam w czasie swojego urlopu w Warszawie. I wtedy Kamil zaprosił mnie do siebie na weekend. Miało być jeszcze kilku jego przyjaciół, ale w rezultacie nie było nikogo oprócz nas dwojga. Była to zasadzka dość prymitywnie zorganizowana, na którą dałam się nabrać. Podejmował mnie jak królową, po kolacji oświadczył mi się uroczyście i wtedy miałam do wyboru dwie drogi: albo zostać na noc i związać z nim życie, albo odjechać najbliższym autobusem do Warszawy. Kiedy zbliżył się do mnie, tęgi i spocony, i chciał mnie objąć ciężkimi, podnieconymi rękami, poczułam paniczny strach połączony z mdłościami. Wyrwałam mu się i uciekłam, gnając jak nieprzytomna do przystanku. Naturalnie zachowałam się głupio, nie byłam podlotkiem i wiedziałam w końcu, czego mogę oczekiwać po wizycie u samotnego mężczyzny, ale nie mogłam postąpić inaczej. Związek z nim przerastał moje siły. A nimo to Kamil nie obraził się, nie zerwał naszej znajomości, jakby to uczynił prawdopodobnie każdy mężczyzna na jego miejscu, świadom własnej porażki. I to było w nim zastanawiające, a jednocześnie godne podziwu. Od tej pory

okazywał mi względy utrzymane w ryzach przyjaźni, odbarwione z erotyzmu, tak jak sobie tego życzyłam. Stała też między nami niepisana, a nawet słowami nie dopowiedziana umowa, że nigdy nie będzie ponawiał za-prosin do swego domu.

- O czym myślisz, Iduś? - usłyszałam jego głos, wrywający mnie z tych rozważań. Kelnerka stawiała właśnie na stoliku jasnożółte kremówki i filiżanki z parującą kawą. W Bristolu przerzedziło się znacznie. — Jesteś niespokojna, masz takie zmęczone oczy - Kamil pochylił się troskliwy i opiekuńczy.

- Tak się złożyło, że mam trochę kłopotów i nie bardzo umiem sobie z nimi poradzić.

- Jeżeli tylko będę mógł ci w czymś pomóc...

- Widzisz, to są takie sprawy, których bliżej nie można określić. Być może wszystko polega na moich obawach, urojeniach, wyobrażeniach. To znaczy jeszcze niedawno tak myślałam, teraz jednak wiem, że jest inaczej. Chwilami zdaje mi się, że zwariuję, jeśli to dłużej potrwa.

- Ale co się dzieje, na litość boską? Powiedz wreszcie!

- Konkretnie nic takiego, ale wydaje mi się, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo, że ktoś chce mnie zamordować, usunąć ze swojej drogi i że to może stać się w każdej chwili.

- Ejże, Iduś, czy to rzeczywiście nie nerwy, a może bujna fantazja? Prawdopodobnie potrzebujesz opieki lekarskiej. Wiesz, znam świetnego neurologa, mogę załatwić wizytę.

- Nie, to zbyt cenne. Jestem zupełnie zdrowa. Wszystkiemu winne jest to poncho, ono mi przynosi pecha.

- Jakie poncho? Co ty mówisz?

- To, które mi pożyczyła Teresa Kaniszowa razem z innymi ciuchami przed moim wyjazdem do Bułgarii. Ubrała się w nie Marzena, moja współtowarzyszka z pokoju hotelowego i została tej nocy zamordowana. Myślałam, że się pozbędę tego przedmiotu, ale nic z tego... Stale wraca do mnie i przypomina mi o tej makabrze. Ciotka Barbara miała rację - ci hydraulicy - to byli jednak przestępcy.

- Jacy hydraulicy?

- Ach, prawda. Ty o niczym nie wiesz. Widzisz, jak

chaotycznie mówię. Jakieś bandziory udawały hydraulików i chciały się wdrzeć do mojego mieszkania. A teraz stale ktoś za mną chodzi. Wszędzie czuję czyjąś obecność, nie mam chwili wytchnienia. Nawet kiedy wchodziliśmy do kawiarni, ktoś stał w bramie na Karowej.

- Spokojnie, Iduś. Spróbujmy wszystko podsumować.

O tym przykrym fakcie, który miał miejsce w Bułgarii -wiem, ale to był przypadek. Dziewczyna musiała napłatać z mężczyznami - to nie ma nic wspólnego z tobą. Ci hydraulicy - to zwykle opryszki, których na kopy w Warszawie. Pozostaje sprawa tego, jak mówisz, śledzenia ciebie i to byłoby zagadkawe. Ale wydaje mi się, że tu w grę wchodzi twoje rozhuśtane nerwy i tryb życia, jaki prowadzisz. Zanadto izolujesz się od ludzi. Może jesteś przeciążona pracą lub na tym terenie masz jakieś kłopoty? Widzisz, zdarzają się nawet stany halucynacji spowodowane rozstrojem nerwowym. To nic takiego, z tego łatwo się można wyleczyć.

- Widzę, że mi nie wierzysz, że uważasz mnie za fiksatkę. To byłoby najprostsze wytłumaczenie, ale to nie jest prawda.

- Moja droga - ręka Kamila znów niebezpiecznie powędrowała ku mojej dłoni - jeżeli cię tak bardzo niepokoi to poncho, oddaj mi je na przechowanie. Słyszałem o takich przypadkach, zaobserwowanych w medycynie, że jakiś przedmiot czy rzecz może wywołać niepokój burzący równowagę psychiczną. Nie twierdzę, że to ci grozi, ale lepiej zabezpieczyć się przed tego rodzaju skrajną ewentualnością. Wiesz, że nikt nie życzy ci lepiej ode mnie. Ale co na to mówi Monika? Przecież to taka opanowana i rozsądna dziewczyna.

- Monika jest zakochana i nawet z nią o tym nie rozmawiałam, a prawdę mówiąc, nie miałam okazji rozmawiać. Praktycznie wcale jej nie widuję, a zresztą nie chcę jej teraz dręczyć swoimi troskami.

- Rozumiem i cieszę się, że to mnie wybrałaś na powiernika. No cóż, pozostaje ci jeszcze jedna możliwość: wyjść za mnie za mąż i wyjechać w podróż poślubną na Wyspy Kanaryjskie. Ale ponieważ z góry wiem, że odpowiedź na tę propozycję będzie negatywna, pojedziemy do ciebie do domu, wezmę to

przebrzydłe poncho i mała dziewczynka zaraz się uspokoi. Prawda, Iduś?

- W tym, co mówisz, jest wiele racji. W końcu zawsze byłam i jestem skrzywiona psychicznie, ale nie do tego stopnia. Nie wierzę, żeby uleczyło mnie usunięcie poncha z domu. Poza tym być może, że Teresa się odnajdzie, ostatecznie nic nie wskazuje na to, że stało się z nią coś najgorszego. Muszę sama osobiście zwrócić jej własność. Już taka jestem, nie umiałabym inaczej postąpić. Ale dziękuję ci za dobre chęci, trochę mnie podniosłeś na duchu. Myślę, że muszę się opanować - to jedyne wyjście.

- Postaram ci się w tym dopomóc, jeżeli tylko pozwolisz

- Kamil objął mnie serdecznym spojrzeniem, które towarzyszyło mi aż do progu mego mieszkania.

Marek przylgnął do muru tak, że nieomal zrósł się z nim w nierozzerwalną całość. Światło latami nie sięgało do tego miejsca, gdzie stał, zataczając słaby krąg tuż koło jego stóp. Reszta tonęła już w ciemności. Czuł w sobie kamienny spokój a jednocześnie siłę rozjuszzonego lwa, gotowego stoczyć krwawy i decydujący pojedynek z samcem swojego gatunku, w którym zwycięzcą okaże się silniejszy. Cały dzisiejszy wieczór poświęcił znowu na tropienie Geralda Fincha. Czekał cierpliwie koło dwóch godzin pod „Kameralną” w czasie, kiedy jego szczęśliwy rywal posilał się wraz z Moniką. Ukryty za płachtą gazety w samochodzie raz jeszcze wypożyczonym od kolegi był świadkiem ich pożegnania na Rynku Mariensztackim, przypieczętowanym czułym pocałunkiem. Monika była czymś radośnie podniecona, wbiegła do sieni prawie w podskokach. Potem jechał za Finchem trop w trop, czekając momentu, aż stanie z nim twarzą w twarz i spierze go tak, że zniknie błazeński uśmiech z jego gładkiego, wymuskanego pyska i pojawi się błydy strach w porcelanowych oczach mario-netki. W wyobraźni przeżywał ten moment triumfu setki razy i setki razy wracał do rzeczywistości pełen coraz większej nienawiści. ze sprężonymi aż do bólu mięśniami. Tym razem Finch krążył swoim błyszczącym wozem po centralnych ulicach, jakby nie mógł się zdecydować, gdzie się zatrzymać. W końcu zaparkował

na Wareckiej i wszedł do Delikatesów na Nowym Świecie. Tu było za dużo ludzi, nie warto było ryzykować zbiegowiska. Po kilku minutach Gerald wyszedł podgwizdując. W obu rękach trzymał torby, z których wystawały pękate butelki z alkoholem. Teraz auto pomknęło Nowym Światem i Krakowskim Przedmieściem.

- Gdzieś przecież staniesz, bydlaku, i będziesz chwilę sam - syknął Marek, hamując w ślad za nim w pobliżu Hotelu Europejskiego. Finch zginął za wahadłowymi drzwiami kawiarni i tu właśnie, w załamku muru, Marek postanowił na niego zaczekać. Nie trwało to długo, gdyż po paru minutach ukazał się znowu obejmując wpół wysoką umalowaną dziewczynę w spódniczce mini, o jasnych włosach, spadających na ramiona. Mówił coś do niej, a ona śmiała się głośno, wyzywająco. Wtedy Marek doskoczył do niego jednym susem, szarpnął za kołnierz i wymierzył policzek. Finch zatrzymał się osłupiały, puścił dziewczynę, wykonał krótki, błyskawiczny ruch i w rękę jego zamigotał sprężynowy nóż, zwrócony ostrzem do twarzy Marka. Dziewczyna krzyknęła przeraźliwie. Finch z cynicznym uśmiechem przejechał lekko nożem po brodzie Marka, wepchnął swoją towarzyszkę do samochodu, który w mgnieniu oka zniknął za zakrętem ulicy. Stało się to tak szybko, że tylko dwóch przechodniów zatrzymało się przez chwilę, ale wzruszywszy ramionami, poszło w dalszą drogę. Marek, przyciskając chustkę do krwawiącej twarzy, wolną ręką uruchomił auto.

Rozdział IX

Monika stała na środku pokoju boso, z rozpuszczonymi włosami i pakowała walizkę. Na mój widok uśmiechnęła się i pomachała mi ręką.

- Wyjeżdżasz? - zapytałam jakby fakt pakowania nie mówił sam za siebie.

- Tak. Gerald chce poznać południową Polskę. Zatrzymamy się w Zakopanem. Ma tam zaprzyjaźnioną rodzinę z własną

chata, dzieci przyjaciół ojca czy coś w tym rodzaju. Ona plastyczka, on fotograf z supernowoczesnym atelier z widokiem na ośnieżone szczyty gór. Wszystkie nasze słynne gwiazdy i modelki jeżdżą tam właśnie robić zdjęcia, bo inni się już nie liczą. Zupełny obłęd.

- Czy mam przez to rozumieć, że ty także jedziesz w tym celu?

- Między innymi. Słuchaj, chcę wziąć ze sobą to poncho Teresy. Jest szalenie fotogeniczne. Uważam, że zdjęcia w nim wypadną niezwykle atrakcyjnie. Jestem wprawdzie sporo wyższa od was, ale za to jeszcze szczuplejsza.

- Czy Gerald ci to zaproponował?

- Tak. Mówił, żeby wziąć ze sobą coś bardzo ekstrawaganckiego i oryginalnego, jakies poncho, pelerynę, spodniem, więc od razu o tym pomyślałam.

- I ty to mówisz, ot tak zwyczajnie: wezmę poncho Teresy i koniec.

- Oczywiście. I co w tym dziwnego?

- A ja mam ci je natychmiast podać?

- Nie rozumiem, dlaczego zadajesz tyle pytań bez żadnego związku.

- Więc ci odpowiem. Nie weźmiesz tego poncho. Nie potrzebuję ci tłumaczyć, że nie należy do mnie - to po pierwsze. Po drugie - nigdy bym nie pozwoliła, żeby moja córka włożyła je na siebie. Dość już sprowadziło nieszczęść. Przecież wiesz, że tamta biedna dziewczyna miała je na sobie w nocy, kiedy popełniono morderstwo. Chętnie bym je wyrzuciła na śmietnik/ gdyby nie skrupuły, że istnieje możliwość zwrotu właścicielce.

- Jesteś śmiesznie przesadna i zabobonna. Wierzysz w czary, czy co? Więc to poncho według ciebie przyciąga magnetycznie zbrodniarzy i jak tylko się w nie ubiorę, natychmiast padnę trupem? Naprawdę jesteś chora, mamó, i musisz się bezzwłocznie zabrać do leczenia. Teresa na pewno nie miałaby nic przeciwko temu, żebym je pożyczyła, więc zupełnie niepotrzebnie wydziwiasz.

- Ocenę tego zostaw mnie, bardzo cię proszę. W każdym razie

jedno jest pewne: będziesz musiała pozować do fotografii w innym stroju.

- Wiesz, że to niegodziwość z twojej strony. Przecież nie mogę pójść do komisju, żeby kupić jakiś inny ciuch, bo nie mam na to forsy, a ten by pasował jak ulał. Ty w ogóle nie zdajesz sobie sprawy, jakie znaczenie mogą mieć dla mnie te zdjęcia. Przecież ojciec Geralda jest autentycznym producentem filmowym. Nie patrz takim podejrzliwym wzrokiem, bo to najświętsza prawda! Widziałam ich reklamówki, wydawnictwa firmowe, wycinki z gazet. Mam jedyną, niepowtarzalną okazję, żeby zostać zaangażowana do filmu, o ile by zdjęcia wypadły dobrze. Ty wiesz, co to znaczy? Tysiące dolarów! Już znam scenariusz: córka milionera porwana przez gang, kidnaping w klasycznym stylu, plenery w najekskluzywniejszych kurortach, na jachtach, plażach, wewnątrz w luksusowych hotelach. Co mi się znowu tak przyglądasz?

Miała rację. Przyglądałam się jej, gdyż wydawało mi się, że stoi przede mną zupełnie obca i nie znana mi dziewczyna o błyszczących egzaltacją oczach. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie nadszedł właściwy moment, aby odbrnąć-zowić w jej oczach niepokalaną sylwetkę ukochanego.

- Tak patrzę na ciebie i nie jestem pewna, czy mam przed sobą Monikę Czerską, studentkę piątego roku anglistyki Uniwersytetu Warszawskiego, piszącą pracę magisterską, czy też jakiegoś stukniętego odmieńca. Jak możesz tak bezkrytycznie odnosić się do tego, co robi i co ci mówi ten chłopak, o którym właściwie r>ic nie wiesz i którego znasz od paru tygodni?

- Tego się właśnie mogłam po tobie spodziewać. Odradzanie, zniechęcanie, podejrzliwość. Nie, nie bój się, Gerald nie jest handlarzem żywym towarem. Oczywiście, ty go nie lubisz i chciałabyś, żebym z nim zerwała. To jest twoje najgorętsze pragnienie, prawda? Z góry wiedziałam, że tak będzie. Bo przez niego mogę wyjechać w świat, zamiast sterczeć tu całe życie, tak jak ty. Co ty w ogóle wiesz o życiu? Nic! Nauczyłaś się patrzeć na wszystko przez te twoje urzędnicze okulary: tu pomyłka, tam premijka, a może z łaski pana dyrektora

nagroda. Marazm i nic więcej! Nie, nie chcę iść w twoje ślady. Kiedy myślę o wegetacji w tych ścianach przez blisko ćwierć wieku, mdło mi się robi. Ja też doczekałam w ten sam sposób dwudziestu czterech lat. Jeżeli ma się coś u mnie zmienić, to tylko teraz, bo wkrótce będzie za późno. I wyobrażam sobie, że właśnie Gerald może mi w tym dopomóc!

Powinłam właściwie teraz powiedzieć jej wszystko, co wiem o Geraldzie od Marka, ale jestem pewna, że mi nie uwierzy, że przyjmie to jako umyślne odgrywanie się na niej za to, co przed chwilą wykrzyczała w obronie swoich rzekomo naruszonych swobód.

- Skończyłaś? Do tego, co mówisz, jak ułał pasuje przysłowie „jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz”, ale ponieważ jesteś moją córką, muszę cię ostrzec, że chyba stawiasz na złego konia. Naturalnie rozporządzisz sobą według własnego uznania, nigdy nie wkraczałam i nie będę wkraczać w twoje osobiste sprawy. Być może też, że zrobisz zawrotną karierę jako gwiazda Hollywoodu. Jednak tego przekłętą poncho tobie nie pożyczę.

Monika zatrzasnęła gwałtownie walizkę i poszła do kuchni. Słyszałam odgłos otwieranej lodówki, pobrząkiwanie szkła. Widocznie szykowała sobie kolację. Kiedy słałam wersalkę, niespodziewanie podeszła do mnie, objęła mnie za szyję, tak jak wtedy, kiedy jako małe dziecko zbroiła coś w szkole, chciała mnie udobruchać.

- Nie gniewaj się, Albinosku. Nie wiem, co mnie napadło. Nigdy nie powinnam tak mówić, jestem potwór. Przepraszam.

- W porządku. Jeśli to cię zainteresuje, to był Marek w bardzo złym nastroju. Myślałam, że mnie zamorduje. Czy można wiedzieć, kiedy będziesz w domu?

- Najpóźniej w czwartek. Gerald wraca w sobotę do Stanów.

W momencie kiedy wyjmował kluczyki ze stacyjki swojego samochodu, podszedł do niego wysoki blondyn w brązowej, obcisłej kurtce i gestem ręki mogącym uchodzić za zaproszenie, któremu jednak nie można odmówić bez narażenia się na grubszą nieprzyjemność, wskazał uchylone

drzwiczki stojącego nie opodal szarego Opla. W ostatnich czasach widywał już niejednokrotnie tę drewnianą twarz o zaciśniętych ustach i oczach ukrytych za wypukłymi szklami okularów, pojawiającą się w pobliżu niego w różnych nieoczekiwanych sytuacjach, ale nie umiał sobie uzmysłwić, gdzie i kiedy to było. poza tym, że chwile te nie należały do najprzyjemniejszych w jego życiu. Nieznajomy bowiem wyglądał na człowieka, z którym nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby prowadzić dyskusji w odludnym miejscu, po zapadnięciu zmroku. Rysująca się w okolicy pachy wypukłość świadczyła, że posiada on odpowiednie możliwości skutecznego poparcia swoich argumentów. Był tak zmęczony tym wszystkim, co się wokół niego rozgrywało, że wsiadł do Opla z rezygnacją. W głębi samochodu znajdował się jeszcze drugi osobnik płci męskiej, tak szeroki w barach, że wypełniał sobą prawie całe oparcie przewidziane dla trzech osób, o rudych włosach i brodzie, ustawicznie żując gumę. Kiedy Opel ruszył, zrozumiał, że człowiek ten miał ponadto niemiły zwyczaj wwiercania kolby rewolweru w plecy, które aktualnie miał przed sobą.

- Po co to wszystko? - zachnął się - nie możecie normalnie porozmawiać. I w ogóle do diabła kim jesteście?!

- Wycisz się - powiedział ten szczuplejszy, siedzący za kierownicą - przyjdzie czas i na rozmowę.

- Czego ode mnie chcecie? - krzyknął, nie mogąc znieść chłodu metalu wędrującego mu aktualnie wzdłuż karku.

- Najgłupsze pytanie, jakie mógłby zadać facet w twoim położeniu - odparł szczuplejszy widocznie w przepływie swoistego humoru, gdyż wargi zwięzły mu się ku dołowi, co przy jego fizjonomii mogło oznaczać uśmiech - niedługo postaram się zaspokoić twoją ciekawość - mówił twardo, mocno skandując słowa, z wyraźnie cudzoziemskim akcentem.

Wkrótce wyjechali za miasto, przeredziły się domy, a pojawiły niewielkie budynki i baraki, najwidoczniej należące do jakiegoś przedsiębiorstwa budowlanego. Było już ciemno, ostry wiatr gnał drogą płachty papieru i wzbijał tumany zeschniętych liści.

- Wsiadaj! - warknął ten, który prowadził auto i pchnął go w kierunku sterty cegieł - stań tam i słuchaj uważnie. Za trzy dni zostaniesz zastrzelony, tu w tym właśnie miejscu, gdzie teraz stoisz, a robi to on - wskazał ręką na rudzielca, który kołysał się na szeroko rozstawionych nogach, z głową zadartą do góry - a zapewniam cię, że jeszcze nigdy w życiu nie spudłował. Możesz jednak uratować swoje cenne życie, jeżeli ci na nim zależy. A wiesz, w jaki sposób?

- Nic nie wiem! Dlaczego się mnie czepiacie?

- Nie strugaj naiwniaka. Spytaj o to swoją platynową Liebchen. I powiedz jej, że nie tak łatwo wyprowadzić nas w pole. My wiemy o wszystkim. Raz jej się udało, ale nie więcej. Teraz musi zrobić to, do czego się zobowiązała i za co jej zapłaciliśmy, albo pogłaszczemy waś po gardziolkach - ją i ciebie.

- Ja się nie dam zastraszyć! Ja zawiadomię milicję! Nigdy was nie widziałem! To szantaż!

- Słuchaj, ty! Chcesz, żeby on cię przeszkolił?

Willy kiwnął na rudzielca - komm hier.

W tej samej chwili kilka uderzeń pięści w dołek zważyło go z nóg.

- No więc? Już ci się rozjaśniło w głowie. Myślę, że tak - kopnął walające się wszędzie blaszane puszkę, które potoczyły się z hałasem - za trzy dni spotykamy się tutaj o tej samej porze. Od ciebie zależy, czy wyjdziecie z tego cało.

W oknach mieszkania Idy Czerskiej zgasło światło. Kamienica zaczęła pogrążyć się w mroku. Mężczyzna stojący nieruchomo przed domem rzucił papierosa na bruk uliczny i przydeptał niedopałek nogą.

- Powinienem to raz radykalnie zakończyć - powiedział - niepotrzebnie się z nią cackam - ona nie miała dla mnie litości. - Zły uśmiech wykrzywił jego twarz. Tyle lat czekał na tę okazję, żeby wyrzucić na niej zemstę za zmarnowane życie, za nie spełnione marzenia, że odczuwał każdym nerwem satysfakcję z możliwości odegrania się na niej w sposób okrutny i wyrafinowany. Wyobrażał sobie wyraz jej twarzy, kiedy odkryje swoje prawdziwe oblicze, kiedy zrzuci z siebie maskę, którą

skutecznie posługiwał się od lat, wcielając w skórę zupełnie innego człowieka.

- Będzie mi się jeszcze czołgać u nóg, będzie skamleć o zlitowanie - obiecywał sobie - uderzę ją w najczulsze miejsce i ten cios musi być celny, a jeśli ulegnie, jeśli się podda, zabiorę ją jako niewolnicę i służę, spełniającą wszystkie moje zachcianki.

- Szefie - posłyszał szept i jakaś sylwetka męska odlepiła się od ściany. Z trudem oderwał się od sadystycznych myśli i obrazów, podsuwanych przez chorą wyobraźnię.

- Co słyhać?

- Był u niej ten chłop, docent z kwiatami. Poza tym -cisza. Ja już pójdę, szefie.

- Idź...

Zazdrość uderzyła mu do głowy, jak zawsze - teraz i przed laty.

- Nikt mi ciebie nie zabierze - wycharczał w paroksyzmie złości - trzeba przyspieszyć akcję.

Odprawa dyrektorów i naczelników dobiegała końca. Właśnie dyrektor generalny po raz ostatni zabrał głos w celu podsumowania, wypowiadając pod adresem kierownictwa szereg postulatów, których realizacja warunkowała wykonanie rocznego planu. Patrząc na niego mimo woli musiałam stwierdzić, że bardzo się zmienił i postarzał. Podpuchnięte oczy, żółtawa cera, niezdrowa otyłość wyraźnie świadczyły o niedomaganiach układu trawiennego. Widać tegoroczne „burze”, które przeszły nad „Radexem”, odbiły się niekorzystnie na jego systemie nerwowym. W sali konferencyjnej było przeraźliwie duszno od dymu, pochodzącego od niezliczonej ilości wypalonych papierosów, mimo iż prawie wszystkie okna były otwarte. W takich sytuacjach zawsze przyrzekałam sobie, że od jutra rzucę palenie, rozmyślając o zgubnych skutkach tego nałogu. W pewnej chwili wzrok mój prześlizgujący się po zebranych zatrzymał się na twarzy Kozłowskiego. Siedział odwrócony do mnie bokiem i z profilu tak przypominał Łukasza, że

niespodziewanie doznałam nowego wstrząsu.

„Kiedy się nareszcie do tego przyzwyczaję” - pomyślałam. - Ciekawe, czy dyrektor Kozłowski zauważył, że mu się stale przyglądam. Być może podejrzewa, że się w nim podkochuję albo przejawiam jakieś specjalne zainteresowanie jego osobą. W każdym razie nigdy ani jednym drgnieniem twarzy nie dał mi do zrozumienia, że to dostrzega. Nic dziwnego - człowiek poważny, posiadający rodzinę we Wrocławiu, nie może zwracać uwagi na zachowanie podległych mu urzędniczek, wdzięczących się zresztą do niego przez bite osiem godzin dziennie.

Czas dłużył mi się niesamowicie. Chciałam, żeby narada jak najprędzej się skończyła, gdyż dzisiaj po południu wyjeżdżałam służbowo do Berlina. Była to pierwsza delegacja po objęciu przeze mnie nowego stanowiska i pragnęłam jak najlepiej wywiązać się ze swego zadania. Wyjazd ten zbiegał się z nieobecnością Moniki w Warszawie. W aktualnym stanie mego ducha powinien przynieść odprężenie od gęstniejącej wciąż wokół mnie atmosfery niepokoju i napięcia. W dalszym ciągu ktoś z niezłomną konsekwencją deptał mi po piętach według utartego jakby szablonu: szedł za mną na ulicy, zatrzymując się wtedy, kiedy ja przystawałam, czyjeś bezosobowe kroki towarzyszyły mi bezustannie aż na klatkę schodową mojego domu, ale ilekroć obejrzałam się, jakaś postać w sposób zagadkowy ulatniała się jak kamfora. Niejednokrotnie przed zaśnięciem robiłam w duchu rachunek sumienia - coś w rodzaju generalnego rozliczenia z przeszłością - aby uświadomić sobie, z jakich przyczyn zawisła nade mną niespodziewanie czyjaś groźba, może powodowana chęcią zemsty lub wzięcia odwetu za doznane krzywdy, ale dochodziłam stale do jednego wniosku, że na moim koncie życiowym nic takiego nie ciążyło, co by mogło takie zjawisko usprawiedliwić. Nie było wykluczone, że cała ta akcja miała wyłącznie na celu zastraszenie mnie, załamanie nerwowe, ale w końcu komu mogło na tym zależeć. Moje kontakty z ludźmi były na ogół dość znikome, nigdy nie miałam czasu ani chęci na nawiązywanie nowych przyjaźni, nie popadałam w konflikty z

otoczeniem. A jeżeli jednak to, co się obecnie dzieło wokół mnie, wiązało się w nierozdzielną całość, której pierwszym ogniwem było chyba morderstwo w Bułgarii. Przecież do tego czasu nikt nie interesował się specjalnie moją osobą, życie płynęło spokojnym nurtem bez burz i wstrząsów. Koniecznie jednak muszę zwrócić się do kapitana Żelecha po powrocie z Berlina, o ile mój prześladowca, względnie prześladowcy, nie dadzą za wygraną. Do wszystkiego co prawda można się przyzwyczaić, ale nie widzę żadnego rozsądnego powodu, abym miała dalej tolerować tę niepożądaną asystę przy sobie, choćby nawet nic więcej w związku z nią nie miało się wydarzyć.

Sformułowanie tego postanowienia zbiegło się z końcowym fragmentem przemówienia generalnego dyrektora, który właśnie otarł chustką pot z czoła i ciężko usiadł na krześle. Było to hasło dla zebranych do jednoczesnego niemal powstania z miejsc i tłumnego opuszczenia sali. Ponieważ pociąg do Berlina odjeżdżał za niecałe dwie godziny, wzięłam ze sobą torbę podróżną, aby nie wracać już po pracy do domu. Po naradzie miałam otrzymać jeszcze dodatkowe dokumenty od dyrektora Kozłowskiego i ostatnie specjalne instrukcje. Kiedy weszłam do jego gabinetu, stał za biurkiem i porządkował papiery.

- Bardzo proszę, pani magister - Kozłowski podał mi teczkę z dokumentami - życzę dobrej podróży i pomyślnego załatwienia sprawy.

Wydało mi się, że pierwszy raz spojrzął na mnie uważnie, jakby miał mi jeszcze coś ważnego do przekazania.

- Panie dyrektorze - wyrwało mi się zupełnie nieoczekiwanie - czy był pan w tym roku na wczasach w Bułgarii?

Kozłowski podniósł w górę brwi ze zdziwienia:

- Istotnie, byłem. Czyżby pani mnie tam widziała?

- Tak, niejednokrotnie. Oczywiście, pan mnie nie zauważył i nie przypomina pan sobie, że mnie tam spotkał. To zrozumiałe. Ja jednak zwróciłam na pana szczególną uwagę.

- Czyżby? - powtórzył. Widać było, że zboczenie z toru urzędowych rozmów było dla niego prawdziwym zaskoczeniem.

- Jest pan bardzo podobny do mojego dobrego znajomego -

kolegi z lat okupacji. Dlatego tak często przyglądam się panu.

- Niestety, całą wojnę spędziłem za granicą.
 - Mój kolega nie żyje.
 - Ach tak. A więc jeszcze raz życzę udanej transakcji
- Kozłowski uklonił się lekko.

Właśnie miałam przejść na drugą stronę ulicy, kiedy białe auto, jadące z dużą szybkością, gwałtownie hamując, zatrzymało się tuż przy krawężniku.

Drzwiczki otworzyły się i ujrzałam wychylającego się Wiktora Mączyka. Zanim zdążyłam zaprotestować, Mączyk chwycił mnie za rękę i powiedział szybko, urywanym głosem: - Ida, błagam cię, wsiądź na chwilę do auta.

Chciałam wyrwać dłoń z jego mocnego, kurczowego uścisku, ale w tej chwili w obrotowych drzwiach wyjściowych ukazał się Kozłowski i obrzucił mnie zaciekawionym spojrzeniem.

Nie mogłam przedłużać tej dziwnej sceny i robić widowiska na ulicy, więc dygocąc z oburzenia wsiadłam do samochodu.

- O co chodzi? - krzyknęłam. - Czy to porwanie?
- Ida, uspokój się, chcę tylko chwilę spokojnie z tobą porozmawiać. Może pojedziemy do mnie, do domu?
- W żadnym wypadku. Spieszę się na pociąg.

W takim razie wstąpmy do kawiarni. Tu jest taki cichy lokal. Przebacz mi moje natręctwo, to nie potrwa długo.

W małej kawiarence o tej porze zajętych było tylko kilka stolików. Usiedliśmy koło okna. Spojrzałam na Mączyka. Przesadnie elegancki ubiór, wypielęgnowane ręce, sygnet na palcu, zegarek z wielką złotą bransoletą - świadczyły o jego korzystnej sytuacji materialnej, ale miał bladą, rozdygotaną twarz, jakby go gnębiły najcięższe cierpienia.

- Ido - rzekł - przeżywam wielką tragedię.

Nie mogłam wykrzesać w sobie najmniejszego współczucia, mino iż patrzył na mnie udreżzonymi oczyma zbitego psa. Milczałam, a on ciągnął dalej:

- Nawet mnie nie zapytasz, z jakiego powodu? Rozumiem, że nie czujesz do mnie nic prócz nienawiści. Jednak liczę na twoją

wielkoduszność. Słuchaj, muszę ci coś wyznać - Teresa Kanisz jest moją żoną. Jeżeli mi nie wierzysz - oto akt ślubu - pośpiesznie wyciągnął z portfela złożony na czworo, wypełniony maszynowym; pismem druk z urzędu stanu cywilnego - pobraliśmy się trzy lata temu, ale mieszkaliśmy oddzielnie. Ona sobie tego życzyła. Jej życie pełne było rozmachu, ruchu, wizytówka kobiety związanej nie była jej potrzebna. Podporządkowałem się temu życzeniu, chociaż ubolewałem nad takim stanem rzeczy. I stało się nieszczęście - Teresa zaginęła, a ja zostałem sam. Sytuacja moja jest okropna. Nie chcę i nie mogę zwrócić się do milicji, bo naruszyłbym naszą umowę. Jeszcze czekam. Stale nie tracę nadziei, że jakaś nieoczekiwana i nie znana mi przyczyna uniemożliwia jej nawiązanie ze mną kontaktu. Tobie jednej zwierzam się, gdyż mam do ciebie zaufanie. Nie potrzebuję chyba dodawać, jak bardzo zależy mi na dyskrecji.

Mączyk umilkł na chwilę, splatając nerwowo ręce. Niby wszystko grało: zdenerwowanie, rozpacz, przygnębienie, ale mimo to nie mogłam się pozbyć wrażenia, że przybiera on teatralne pozy, że to przedstawienie jest dobrze wyreżyserowaną grą, mającą na celu wywołanie we mnie współczucia.

- Nie bardzo rozumiem, co ja mam z tym wspólnego i czego ode mnie oczekujesz? - powiedziałam, spoglądając niespokojnie na zegarek. - Mam najwyżej piętnaście minut czasu.

- Ty jedna mogłabyś mi powiedzieć całą prawdę. Wiem, że pracowałyście w jednym wydziale. Chyba dotarły do ciebie jakieś wiadomości o Teresie. Może dyrekcja ma jakieś informacje, coś, co mogłoby mnie naprowadzić na jej ślad, ułatwić poszukiwania.

- Wydaje mi się, że to ty powinieneś wiedzieć, co się z nią stało, skoro jesteś jej mężem.

- Widzę, że mi nie wierzysz - rozłożył bezradnie ręce. - Nie wiem, jak cię przekonać. To było tak: Teresa miała wyjechać do Holandii, pożegnaliśmy się wieczorem. Była zupełnie spokojna, w dobrym humorze, taka jak zwykle i od tej pory... - głos mu się

załamał.

- Cóż ci ja mogę pomóc? Na pewno sprawa jest niezwykle zagadkowa, ale ani nie jestem powołana do zabierania w niej głosu, ani nic o niej nie wiem - powiedziałam specjalnie ostro, aby zamrozić temperaturę tych wylewnych zwierzeń. Przypuszczam, że gdyby wiedział o Suchniaku, rozpacz jego nie sięgałaby takich dramatycznych szczytów, ale nie moją rzeczą jest demaskowanie pięknej Teresy w oczach jej zakochanego małżonka.

- Ido, mam do ciebie wielką prośbę. Przyrzeknij mi, że dasz mi znać, gdybyś się czegokolwiek dowiedziała o Teresie. A poza tym - wiem, że Teresa pożyczyła ci przed wyjazdem do Bułgarii trochę osobistych rzeczy. Byłbym szczęśliwy, gdybyś mi je zwróciła, szczęśliwy, gdyż miałbym kontakt z jakimiś przedmiotami, które by mi ją stale przypominały, były z nią związane. Mówiłem ci już, że nie mieszkaliśmy razem. Teraz jej mieszkanie jest zamknięte. To wszystko stało się tak nagle... Być może powiesz, że jestem śmiesznie sentymentalny, ale tyle lat minęło, moje usposobienie uległo zupełnemu przeobrażeniu.

- Jeżeli o to chodzi, chętnie zwrócę ci sukienki i poncho. Tylko nie dzisiaj, a po powrocie z delegacji. Możesz do mnie w tej sprawie zatelefonować za trzy dni. A teraz bardzo się śpieszę.

- Dziękuję ci, Ido. Nie wiesz nawet, jakie to będzie miało dla mnie znaczenie.

Monika siedziała w samochodzie koło Geralda Fincha. Była bardzo zaskoczona jego zachowaniem. Jechali już około piętnastu minut szosą w kierunku Krakowa, a on nie odezwał się ani jednym słowem. Od początku dzisiaj był jakiś dziwny. Kiedy dowiedział się, że nie wzięła ze sobą poncha, w którym miała pozować u fotografa, chciał nawet zrezygnować z planowanej wspólnej podróży do Zakopanego.

- Po co w takim razie tam jedziemy? Zdjęcia nie wypadną korzystnie w zwykłym ubraniu. Mój stary Jest bardzo wymagający i musi go coś zaszokować w wyglądzie dziewczyny,

którą obsadza w filmie. Kandydatek jest mnóstwo. Sama rozumiesz, że leżało to w twoim interesie - wyraźnie był zły i zniechęcony.

- Proszę, odwieź mnie do domu - zaproponowała Monika, czując ucisk w gardle, gdyż wyobrażała sobie, że pierwsza wspólna podróż będzie stanowić dla nich niezapomniane przeżycie, nie mające żadnego związku z zamierzoną wizytą u fotografa.

- Nie - oświadczył, jakby po namyśle - pojedziemy: ale muszę jeszcze na chwilę wrócić do hotelu. Zapomniałem jednego z prezentów dla Chris. Chris - to była żona fotografa, plastyczka.

Teraz, kiedy już ruszyli i Finch milczał schylony nad kierownicą, Monika poczuła się nieswojo. Pierwszy raz ich idylliczną przygodę miłosną zakłócił niespodziewany zgrzyt. Dotąd w jego chłopięcych, rozmarzonych oczach czytała tylko nieustanny podziw dla swojej urody, dzisiaj spostrzegła w nich nagle obce, chłodne błyski. Był już późny wieczór. Monika wprawdzie dziwiła się, dlaczego wyjeżdżają tak późno w daleką drogę, ale Gerald z czarującym uśmiechem wskazał na mapie samochodowej zajazd. - Tu spędzimy noc - powiedział i obrzucił ją gorącym spojrzeniem. W tej chwili jednak, w tym przedłużającym się milczeniu zaczęła narastać między nimi dziwna atmosfera, nie mająca nic wspólnego z dotychczasową sielanką.

„Może jestem przewrażliwiona” - pomyślała, przytulając się mimo woli dawnym odruchem do jego ramienia.

Gerald nagle zahamował. - Muszę gdzieś kupić papierosy, mam za mało. Zaczekaj, zaraz wrócę.

- Przecież tu jest zupełnie pusto - powiodła oczami po ciemnej szosie, obrzeżonej ledwo rysującymi się w mroku drzewami.

- Niedaleko jest kiosk, byłem tu niedawno - mruknął niewyraźnie, zatraskując drzwiczki auta.

- Jest dziwnie roztargniony - pomyślała - najpierw zapomniał prezentu, teraz papierosów.

Nieobecność Fincha przedłużała się. Monice zrobiło się

duszno, opuściła szybę w oknie. Chłodny powiew późnej jesieni wypełnił wnętrze. Wiatr chrząścił w gałęziach drzew. Wzdrygnęła się i wyjrzała na szosę, ale wszędzie panowała coraz bardziej przenikliwa ciemność.

- Pani tak sama, o tej porze? - usłyszała chropowaty głos męski. Przez okno zajrzała jakaś brodata twarz, zasłonięta wielkimi okularami i w tej samej chwili do samochodu wskoczyli dwaj mężczyźni. Jeden usadowił się koło niej przy kierownicy, drugi przysiadł za jej plecami. Stało się to tak nagle, że nawet nie zdążyła zaprotestować, kiedy auto ruszyło pędem z miejsca.

- Co to znaczy?! - krzyknęła, usiłując chwycić za kierownicę - proszę natychmiast stanąć! Będę wzywać pomocy!

-- Spokojnie, mała, radzę ci siedzieć cicho - mężczyzna ulokowany za plecami wykręcił i unieruchomił jej ręce - bądź grzeczna, a nic ci się nie stanie.

- Dokąd mnie wieziecie? Gdzie jest Gerald?

- Masz nas dwóch, jeszcze ci mało? - zachichotał brodaczek prowadzący auto - widzisz, jaka to pazerna dziewczucha.

- Łobuzy! - wrzasnęła Monika. - Puśćcie mnie! Ratunku!

- Niech, pani będzie rozsądna, szkoda takiej ładnej dziewczyny - mitygował na pozór ugrzecznionym tonem ten z tyłu. - Nie chciałbym pani zrobić nic złego.

Nagle poczuła między łopatkami twardy, wrzynający się w ciało przedmiot, który przeniknął ją chłodem, i znieruchomiała z przerażenia. W tej chwili zrozumiała już wszystko.

Tym razem przyszło ich trzech. Rozsiedli się w fotelach. Mężczyzna w skórzanej marynarce spokojnie zapalił papierosa.

- Zabieramy ci twoją cizję - oświadczył, świdrując złymi oczyma człowieka o błędnym, rozbieganym spojrzeniu, stojącego na progu pokoju w takiej pozie, jakby za chwilę miał zerwać się do ucieczki.

- Nie zrobicie tego, nie macie prawa! - krzyknął przeraźliwie.

Kobieta w różowym szlafroku, skulona na tapczanie z opuszczonymi bezradnie ramionami, poruszyła się niespokojnie.

- Nie obchodzi mnie twoje zdanie - cedził mężczyzna w skórze - i wiedz: o tym, co się z wami stanie -ja decyduję. No, ubieraj się, tylko szybko, nie mam czasu - zwrócił się do kobiety. - Chyba nie masz zamiaru defilować stale w negliżu.

- Czego od nas chcecie, dlaczego się czepiacie? Zrobiłem wszystko, czego żądaliście, co było w mojej mocy! -wrzeszczał dalej jej towarzyszy, usiłując niepostrzeżenie przybliżyć się do stolika. W szufladzie trzymał rewolwer. Wiedział, że jeśli zmyli ich czujność, będzie uratowany.

- Siadaj, bo cię pomacamy! Już raz nas oszukaliście, a teraz znowu chcielibyście wystrychnąć nas na dudka. Przejrzałem od razu twoją grę, gnoju, ty chcesz sam zagarnąć pieniądze, ale nie ze mną taka zabawa. A ty prędko kładź kieckę. Na co jeszcze czekasz?

- Pan jest bandytą i łotrem - zachłysnął się bezsilną już wściekłością, rzucając spojrzenia na swego prześladowcę.

- Szefie, dać mu w pysk? - odezwał się brodaty mężczyzna, siedzący dotąd w milczeniu.

- Poczekaj. Ja mam cierpliwość...

Brodacz wepchnął Monikę do maleńkiego pokoju o pochyłym suficie i niewielkim zakratowanym okienku, odpowiednim raczej na mieszkanie dla krasnoludków niż dla normalnego człowieka.

Prawie całą jego powierzchnię zajmowało żelazne łóżko, na którym leżał brudny siennik.

- Żebyś na pewno była grzeczna - powiedział, przywią-zując jej rękę mocnym sznurkiem do prętów łóżka. Syknęła z bólu, usiłując się wyrwać.

- Spokojnie, laleczko. Szef tak kazał, a z nim trudna sprawa. Szkoda gadki. Teraz cię zostawiam samą, ale jestem obok. Jeśli będziesz chciała się ze mną zabawić, to zwołaj. Przyjdę chętnie - zarechotał, pochylając nad nią owłosioną twarz. Z całej siły, z rozmysłem plunęła mu prosto w oczy.

- Ty, uważaj! - wrzasnął wycierając się chustką - królowna jedna. Nie zawsze byłaś taka harda. Wiem coś o tym. Jak spokomiejesz, to ci rozwiążę rączki, a teraz popłacz sobie

trochę.

Nie płakała. Leżała z suchymi, niezdolnymi do łez oczyma, wpatrzona w ciemność nocy i z piekącymi boleśnie rękami, które zaczynały krwawić. Nie wiedziała, ile czasu minęło, było to jej całkowicie obojętne, tylko w tej okolicy ciała, gdzie bije serce, czuła przykry, gniotący ucisk. W pewnej chwili drzwi otwarły się gwałtownie i wszedł brodac, zataczając się lekko na nogach.

- No, masz już dosyć?-mruknął, rozsypując sznurek. -Widzisz, jaki jestem dobry. Powinnaś mi podziękować. Przyniosłem ci kolację - postawił na łóżku blaszany kubek i talerzyk, z dwoma kawałkami chleba ~ no, jazda, jedz. Mam cię przypilnować. Co prawda to nie tort i koniak z Bristolu, ale nażreć się można - pochylił się nad nią, zionąc odorem alkoholu.

- Wyoś się! - krzyknęła - mam dosyć twego towarzystwa! Sama dam sobie radę!

- No dobra, dobra - wymamrotał - jak nie chcesz, to bez łaski. Zaraz będzie z tobą rozmawiał szef. Nie myśl, że go zobaczysz. Przez tę dziurkę - wskazał ręką na zamaskowany otwór w drzwiach, umieszczony mniej więcej na wysokości ludzkiej głowy. Wszedł chwiejnym krokiem. Została sama i ze wstrętem odsunęła jedzenie.

- Słuchaj mnie uważnie - do pokoju wpłynął chrypliwy szept i uniosła się pokrywa judasza. - Jeżeli okażecie się mądre ty i twoja matka, nic się wam nie stanie, albo gorzko pożałujecie, jeśli będziecie się upierać.

- Co ma do tego moja matka? Gdzie ja jestem?! Co to wszystko znaczy?

- Dużo chciałabyś wiedzieć, ptaszyno. Nic ci i tak nie powiem. Zresztą niedługo się przekonasz, w co się tu gra. Powiedz swojej matce, jak ją zobaczysz, żeby była rozsądna i posłuszna. Wpłyni na nią dla jej własnego dobra i dla twojego. Życie jest piękne. Szkoda byłoby tak wcześnie je tracić, jak myślisz? Przecież lubisz ładne kiecki, dobre żarcie i gorących chłopaków. Możesz to wszystko mieć albo nic. To zależy od ciebie.

Szept przechodzący w głos wydawał się jej raz znajomy, raz zupełnie obcy.

- Nie wiem, kim pan jest, ale myślę, że zwyczajną kanalią. Dosyć mam, słyszy pan, dosyć, waszych kabotyńskich chwytów. Przestańcie się zgrywać jak marni komedianci. I jeśli to miała być groźba - to wcale się nie boję i gwizdzę na nią. Na pewno niedługo was przymkną.

- Myślę, że prędko zmienisz zdanie, idiotko. Śpij smacznie i niech ci się przyśni, że grasz główną rolę w amerykańskim filmie - usłyszała cichy, zgrzytliwy śmiech i za-sówka na drzwiach zamknęła się z trzaskiem.

Wracałam do domu w niezłym nastroju. Przyjechałam do Warszawy trochę wcześniej, niż to było przewidziane w harmonogramie podróży, gdyż udało mi się szybciej załatwić sprawy służbowe. Ponieważ poszły pomyślnie, czułam wewnętrzną potrzebę podzielenia się tym z kimś bliskim. Cieszyło mnie to, że Monika na pewno już wróciła i że może, tak jak to dawniej bywało, przykucniemy obydwie na kanapie, głowa przy głowie, żeby opowiedzieć sobie wszystkie wrażenia.

Wychodząc z taksówki przed domem nawet nie obejrzałam się za siebie, aby upewnić się, czy ktoś za mną nie idzie, co od dłuższego czasu czyniałam niemal odruchowo, gdyż w wirze konferencji, dyskusji, bankietów, zatarło się i ulotniło dręczące uczucie niepokoju. Na klatce schodowej przypomniałam sobie o prośbie Wiktora. No cóż, ponieważ jest autentycznym mężem Teresy, nie ma przeszkód, abym mu oddała jej rzeczy i pozbyła się balastu nieprzyjemnych wspomnień, które się z nimi wiążą. Z tym postanowieniem przekręciłam klucz w drzwiach wejściowych.

- Moniko! - zawołałam. Odpowiedziała mi cisza.

W mieszkaniu było duszno - znak, że nikt go nie wietrzył od kilku dni, kurz osiadł na meblach. A więc Monika jeszcze nie przyjechała. Nie zdziwiło mnie to specjalnie, ale zrobiło mi się nagle smutno. Chciałam od razu pochwalić się jej, że przedsięwzięte przeze mnie pierwszy raz samodzielne zadanie służbowe, wymagające podjęcia decyzji, zostało w pełni

wykonane i że ani razu nie odczuwałam tremy, która dotąd paraliżowała wszystkie moje posunięcia i sprawiała, że zawsze pozostawałam w cieniu innych kolegów. Poza tym byłam głodna i przeraźliwie zmęczona. W takich sytuacjach, w naszych starych, dobrych czasach, Monika podawała mi kaptcie, parzyła kawę, a potem wsuwała głowę pod moje ramię i opowiadała o wszystkich swoich przeżyciach. Tak było, dokąd nie pojawił się Gerald, mimo iż zawsze flirtowała z jakimś chłopakiem, ale teraz nigdy już nie miała czasu. Pierwszy raz ostro i wyraziście zdałam sobie sprawę, że witrótce mogę ją utracić i że takie chwile intymnych zwierzeń i bliskiego obcowania pewno się już nie powtórzą. Ale taki już jest los wszystkich matek i trzeba się z tym pogodzić. Kiedy zdejmowałam pantofle w przedpokoju, zauważyłam nagle jakąś białą kopertę. Leżała koło drzwi wejściowych, prawdopodobnie odsunięta przeze mnie przy otwieraniu. Ktoś chyba musiał ją wsunąć przez szparę. Zaciekawiona schyliłam się, aby ją podnieść. W środku tkwiła cienka kartka papieru, zapisana maszynowym pismem. Czytałam początkowo nie rozumiejąc, o co chodzi, a potem nogi same ugięły się pode mną i usiadłam na podłodze w palcie, a z torby podróźnej, którą trzymałam w drugim ręku, wysypały się wszystkie dokumenty i drobiazgi zakupione w NRD. „O ile chcesz dowiedzieć się, gdzie teraz przebywa Monika, przynieś natychmiast wszystkie rzeczy Teresy do mojego mieszkania na ulicę Urugwajską 13a. Sprawa nie cierpiąca zwłoki. Wiktor”.

Jaka złowróżbna prawda kryje się w tym krótkim tekście? Szantaż? Groźba? Ostrzeżenie? Ale dlaczego? Przecież zobowiązałam się wszystko dobrowolnie zwrócić. Jedno jest pewne, że niezależnie od pobudek postępowania Wiktora Monika musi znajdować się w jakimś bezpośrednim niebezpieczeństwie. A jeżeli to jest kidnaping? To niemożliwe! Takie historie zdarzają się tylko w filmach amerykańskich i powieściach kryminalnych, a w każdym razie nie w naszym kraju. A jednak Marek ostrzegwał przecież przecj Geraldem. Nie należało tego lekceważyć, trzeba było jej powiedzieć prawdę, niezależnie od tego, jak by została przez nią przyjęta. Myśli

błyskawicznie przelatywały mi przez głowę. A może zwrócić się do milicji? Wystarczy zatelefonować do kapitana Żelecha. Tylko co mu powiedzieć? Że Monika wyjechała z chłopakiem, być może zaginęła, a klucz do rozwiązania tej zagadki znajduje się na ulicy Urugwajskiej w willi Mączarowskiego.

Przecież do tej pory nawet nie przyszło mi do głowy, że z Moniką coś jest nie w porządku. Jest dorosła, wielokrotnie już wyjeżdżała w towarzystwie kolegów i wracała z opóźnieniem. A jeśli zawiadamiając milicję zaszkodzę w jakiś sposób Monice? Chociaż tego rodzaju pogroźka nie została jasno sprecyzowana, to jednak czaiła się między tymi kilkoma wierszami i narzucała z brutalną oczywistością. Niewątpliwie jakieś podejrzone i ciemne machinacje rozgrywały się ostatnio wokół naszego domu, być może, że teraz nastąpi ostateczna rozgrywka. Tak, nie pozostaje mi nic innego, jak zastosować się do żądania Wiktora, przedtem jednak muszę do niego zadzwonić. Może sprawa nie wygląda tak groźnie i zaraz wszystko się wyjaśni. Numer telefonu miałam wynotowany w czasie naszego ostatniego spotkania w kawiarni. Drżącą ręką wykręciłam numery na tarczy, ale w aparacie panowała głucha cisza, nie było połączenia.

Pośpiesznie wyciągnęłam zapełnioną plażówkami i sukienkami plastikową torbę, którą dała mi Teresa.

Poncho wydobyte z głębin szafy błysnęło całą gamą swoich intensywnych barw. Wcisnęłam je do środka torby.

I wtedy odezwał się telefon. „Monika - pomyślałam z niewypowiedzianą ulgą - to na pewno ona. Jak zwykle wszystko wyolbrzymiam i dostaję ostrego szału”. Ale obcy głos męski o nienaturalnym, nosowym brzmieniu utwierdził mnie w poprzednich pesymistycznych przewidywaniach.

- Pani Czerna?
- Tak. Kto mówi?
- Mniejsza. Mam dla pani ukłony od Moniki.
- Co to znaczy? Czy ona sama nie może ze mną porozmawiać?
- Jak by tu powiedzieć - chciałaby, ale jej to nie wychodzi.
- Czy to są kpiny? Proszę mówić jaśniej, nie nie

rozumieniem!

- To znaczy, że córeczka może mieć pewne nieprzyjemności, o ile pani nie wykona naszych poleceń.

- Jakich poleceń? Czy pan oszalał?! Niech mi pan natychmiast powie, gdzie ona jest i o co tu chodzi?

- Spokojna głowa, niedługo się pani dowie. Jeszcze zadzwonię.

Rozmowa urwała się. Nieznajomy odłożył słuchawkę.

Taksówkarz, który wiozł mnie na Urugwajską, przyglądał mi się podejrzliwie, gdyż moja blada twarz i rozwiany włos musiały sprawiać dziwne wrażenie.

Domek należący do Wiktora znajdował się w willowej dzielnicy, charakterystycznej dla Saskiej Kępy. Zbudowany był chyba według ostatnich wymogów nowoczesnej architektury i niedawno odnowiony, gdyż białe jego ściany, oplecione starannie wypielęgnowanym bluszczem, odcinały się od innych poszarzałych już budynków. W obecnym stanie mego ducha te dowody zamożności Wiktora nie budziły we mnie żadnego zainteresowania. Rzuciłam zapłatę taksówkarzowi i potrząsnęłam furtką, która łatwo ustąpiła pod naciskiem ręki. Gong u drzwi wejściowych zabrzączał matowym głosem. Mimo iż dzwoniłam w odstępach kilku sekund przez parę minut, nikt nie otwierał. Wtedy spróbowałam nacisnąć klamkę - drzwi nie były zamknięte. W hallu panował półmrok. Zauważyłam, że był wyłożony wzorzystym dywanem, a ściany aż do sufitu pokrywała drewniana boazeria. Dziwna rzecz, ale w tym wnętrzu od samego początku wiało pustką. Pograżone było w ciszy tak głębokiej, że moje kroki przemierzające pokoje na parterze i na piętrze zabrzmiały niezwykle donośnie. Zajrzałam wszędzie, gnana gorączkowym pośpiechem. Znajdowało się tu wiele luksusowych mebli nowoczesnych i stylowych, obrazów i sztychów na ścianach, wazonów ze szkła i kryształu, ale właściciela tych zabytkowych przedmiotów nigdzie nie było. Instynktownie raz jeszcze weszłam do największego pokoju na piętrze, ozdobionego dużym kominkiem o okratowaniu z kutego żelaza. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnął się półkołem bar otoczony czerwonymi stolkami o cienkich nóżkach. Za

mozaikową ladą na półkach piętrzyły się różnokolorowe butelki, zapewne z zawartością najwykwintniejszych alkoholi sądząc po zagranicznych etykietkach zdobnych w liczne gwiazdki. Mimo woli przyjrzałam się uważniej barowi, gdyż narzucał się oczom agresywną krzykliwością formy i barwy i niespodziewanie uderzyła mnie jakaś pozornie niedostrzegalna nieprawidłowość. Na razie nie wiedziałam, na czym polega, ale po dłuższej chwili intensywnej obserwacji odkryłam, że jedna z butelek wystaje prawie całkowicie za półkę, znajdując się w pozycji niezgodnej z prawami fizyki, gdyż powinna zlecieć, o ile nie była do niej w jakiś tajemniczy sposób przytwierdzona. Zaciekawilo mnie to do tego stopnia, że przechyliłam się przez ladę i pociągnęłam za szyjkę butelki. I wtedy stała się rzecz nieoczekiwana. Całe urządzenie baru obróciło się o sto osiemdziesiąt stopni odsłaniając dodatkowe, ukryte za nim wnętrze. Był to nieduży pokój o oszklonym suficie, przez który przesączało się światło dzienne. W rogu stał tapczan, okryty narzutą, obok lampa z abażurem, mały okrągły stolik i szafa pancerna. Na podłodze zasłanej grubym, zielonym dywanem, zobaczyłam jakiś trudny do zidentyfikowania kształt, dziwnie skręcony i stłamszony. Ku memu przerażeniu stwierdziłam, że był to człowiek - mężczyzna, a raczej to, co pozostało z jego doczesnej powłoki. Z głowy wykręconej jakby w odwrotną stronę wypłynęła na dywan krew, stanowiąc brunatną, zakrzepłą masę, brukając jednocześnie beżowy, wytworny garnitur i jasnoniebieską koszulę. Na ręku o rozczapierzonych palcach widniał zegarek na wielkiej, złotej bransolecie. Tak, nie ulegało wątpliwości — przede mną leżały zwłoki Wiktora Mączyka. Mimo iż żywiłam wobec niego wyłącznie negatywne uczucia, widok ten był tak szokujący, że poczułam coś w rodzaju współczucia, że zginął w tak okropny sposób i przed śmiercią musiał okrutnie cierpieć. Ale natychmiast oświadczył mi paniczny strach na myśl, że znajduję się sama w tym domu z trupem. Nie mogłam tak stać i patrzeć na zamordowanego, musiałam coś zrobić, działać... Z trudem, na trzęsących się nogach dotarłam do aparatu telefonicznego, stojącego w rogu pokoju na komódce, ale

słuchawka z kawałkiem sznura została mi w ręku. Połączenie telefoniczne zostało przecięte. Wiedziałam, że muszę uciekać i to jak najprędzej, bo dalsza obecność tutaj może dla mnie spowodować groźne następstwa. Byłam przecież pierwszą żoną Wiktora, nie wiadomo, jakie motywy mogły mną kierować. Oczywiście trudno byłoby przypuścić, żebym psobiście mogła złamać mu kark i wykręcić głowę, ale mogłam mieć współnika albo współników. Ponadto musiałam się tłumaczyć z powodów, dla których teraz w najmniej odpowiednim momencie znalazłam się w tym domu, a tego przecież nie wolno było mi zrobić. Chwyliłam torbę Teresy z całą jej przekłętą zawartością i chyłkiem, żeby nie zostawić śladów, nie zapominając nawet o wytarciu słuchawki, jak rasowy przestępca, wymknęłam się na zewnątrz. Dopiero na trzeciej czy czwartej ulicy złapałam taksówkę, ale nie kazałam zawieźć się pod mój dom. Wysiadłam na Krakowskim Przedmieściu i chwiejnie zeszałam schodami na Rynek Mariensztacki.

Rozdział X

Siedziałam w kucki na dywanie z głową opartą na wersalce. W tej karkołomnej pozycji mogłam jako tako logicznie myśleć. Zawsze w najtrudniejszych, przełomowych chwilach mego życia musiałam przybierać najdziwaczniejsze pozy i taki nawyk został mi do dnia dzisiejszego. Byłam prawie niezdolna do jakiegokolwiek wysiłku. Od rana nic nie piłam i nie jadłam, czułam suchość w gardle a jednocześnie wstrząsały mną silne dreszcze. Właśnie kilka minut temu zatelefonowałam do Komendy MO i zawiadomiłam dyżurnego milicjanta, że w willi przy ulicy Urugwajskiej 13a znajdują się zwłoki Wiktora Mączarowskiego. Uznałam, że w ten sposób spełniam swój obywatelski obowiązek, wyczerpując przy tym wszystkie możliwości psychofizyczne na dzień dzisiejszy. Palto moje poniewierało się na podłodze, a nienawistną torbę Teresy cisnęłam na mały stolik ze szklanej masy obramowany metalem, który niedawno kupiłam w Domu Rzemiosła na

Kruczej. Przy tej okazji z torby wyleciało poncho, tworząc barwną plamę na podłodze. Spojrzałam na nie z odrazą jak na osobliwe zwierzę, żyjące własną egzystencją, żerujące na ludzkich słabostkach i siejące wokół zło. Z chęcią bym je podarła na strzęp;,. mnie aż świerbiła, żeby to zrobić, ale pohamowałam się w ostatniej chwili, uznając ten pomysł za dowód zupełnego osłabienia władz umysłowych. Żeby uniknąć tej pokusy, wsadziłam je z powrotem do torby, zahaczając przy tym frędzelkami o ostry, ozdobnie wygięty kant stolika. Z niecierpliwością pociągnęłam tkaninę kilkakrotnie i wtedy niespodziewanie coś wyleciało i lekko stuknęło o podłogę. Było to miniaturowe, bakelitowe pudełeczko. Zaciekawiona otworzyłam je i znieruchomiałam, jak rażona elektrycznym prądem: w środku leżała mocno zwinięta, wąziutka taśma filmowa. Nie było najmniejszej wątpliwości, że mam przed sobą mikrofilm. A więc taką tajemnicę kryło poncho należące do Teresy. W jednej chwili zrozumiałam z przerażeniem, że zostałam wciągnięta w jakąś groźną, niebezpieczną aferę, prawdopodobnie na skalę międzynarodową, której uczestnicy nie przebierali w środkach, dążąc po trupach do im tylko znanego celu. I nagle jedna straszna myśl rozdzwoniła mi się w głowie: Monika! Monika wplątała się w tę sprawę! Mączyk miał o niej jakieś wiadomości, być może chciał mi je przekazać, ale był już po drugiej stronie...

Nagle zadzwonił telefon. Odruchowo podniosłam słuchawkę zdrętwiałą, drewnianą ręką.

Początkowo usłyszałam cichy szept, a potem już wyraźnie dobiegły mnie słowa: - Pani Ido, tu mówi Teresa. Niech mnie pani słucha uważnie.

- Kto mówi? - krzyknęłam, nie dowierzając własnym uszom.

- Teresa Kanisz. Muszę pani przekazać pewne ważne dla pani wiadomości. Za dwadzieścia minut podjedzie pod pani dom niebieska syrena. Niech pani weźmie poncho - to, które pani pożyczyłam, i wsładzie do auta. Proszę, niech pani to zrobi! Oni mają Monikę.

Głos Teresy docierał w pewnym zniekształceniu, ale poznawałam jego brzmienie. Wyczuwałam, że mówi z trudem,

w zdenerwowaniu, jakby pod dyktando.

- Jacy oni?! Co za oni!? Gdzie pani jest? Proszę mówić wyraźniej.

- Nie mogę nic więcej powiedzieć, naprawdę nie mogę.

- Gdzie jest Monika? Muszę wiedzieć, co się z nią dzieje!

- Nie wolno mi podać adresu. To musi pani wystarczyć.

- Niech podejdzie do telefonu! Chcę usłyszeć jej głos. Inaczej nie pojadę!

- Moniki nie ma koło mnie. Na razie nie grozi jej niebezpieczeństwo, jest zdrowa... Ale oni nie żartują... Niech pani mnie posłucha i zrobi to, co każę - w aparacie coś zaterkotało. Słysząc było pojedyncze, oderwane wyrazy wypowiedane męskim głosem,

- I jeszcze jedno. Oni ostrzegają, żeby pani nie zawiadamiała milicji. Jeśli pani to robi - Monika zginie.

Głos Teresy urwał się nagle. Połączenie zostało przerwane.

Nie wiem, ile czasu stałam nieruchomo zbierając myśli. Sądząc po wskazówkach zegarka były to tylko ułamki sekundy, ale wystarczyły, żeby podjąć decyzję. Muszę ratować Monikę wszystkimi swoimi siłami, ale powinnam to rozegrać w taki sposób, żeby wyprowadzić w pole nie znanych wrogów, którzy bez wątpienia stanowią zorganizowaną grupę przestępczą. Nie wiedziałam jeszcze, jakim cudem przeprowadzę swój plan, jakich środków użyję. Na pewno ryzykowałam życie, ale nie miałam innego wyjścia. Ogarnęła mnie taka wściekłość, że zdominowała wszystkie inne uczucia i spowodowała niespodziewany przyływ energii... Nie, na pewno nicodemnie nie uzyskają - trzeba tylko zachować zimną krew i nie dać się zastraszyć. W każdym razie nie dostaną mikrofilmu! Poncho będzie moim asem atutowym, którym muszę wywalczyć w tej grze ostatnie szanse, a w każdym razie zyskać na czasie.

Napiłam się parę łyków zimnej kawy i wyrzalam przez okno, zapadał już mrok i zapaliły się pierwsze latarnie. Zza rogu Bednarskiej wyjechała niebieska syrena i zatrzymała się przed domem. Chwyciłam plastikową torbę, poncho wrzuciłam na dawne miejsce do szafy i zesłam na dół z bijącym sercem wiedząc, że o ile teraz sprawdzą jej zawartość - cały mój plan

upadnie.

Czyjeś ręce wciągnęły mnie do auta, które natychmiast ruszyło w drogę. Byłam sama z kierowcą, którego twarzy nie było widać spoza gąszczy brody i zasłony ciemnych okularów. Wyjechaliśmy na szosę. Brodacz oglądał się raz po raz, jakby chcąc sprawdzić, czy nie uległam dematerializacji. Za jakimś zakrętem zahamował. Wskoczył i wyszarpnął mnie z auta. Wyciągnął z kieszeni chustkę i błyskawicznym ruchem zawiązał mi na oczach. Jednocześnie nie bacząc na torbę, którą cały czas trzymałam kurczowo pod pachą, wykręcił mi ręce do tyłu i unieruchomił.

- Tak będzie lepiej - mruknął schrypniętym głosem filmowego gangstera, popychając mnie na siedzenie samochodu. - I nie próbuj czasem krzyczeć, bo ci zaknebluję usta.

Jechaliśmy szybko i dość krótko, ja jednak zdążyłam już całkowicie stracić orientację i nie wiedziałam, gdzie się znajdujemy. W pewnej chwili mój sympatyczny towarzysz zatrzymał wóz. Znów czyjeś mocne, brutalne łapy, tym razem należące chyba do dwóch osób, wyłuskały mnie z wnętrza samochodu i popchnęły przed siebie. Szłam po jakichś schodach, przechodziłam przez drzwi, wreszcie ktoś zerwał mi opaskę z oczu. Byłam w dużym, ciemnym pokoju albo hallu, oświetlonym tylko ogniem buchającym z kominka. W głębi zauważyłam trzy sylwetki męskie o twarzach ukrytych w mroku. I nagle otoczenie wydało mi się dziwnie znajome. Z każdą sekundą nabierałam pewności, że na pewno kiedyś już tu byłam. Kominek, rozsuwane drzwi, politurowany wieszak w rogu i jeszcze jeden szczegół: podłoga z desek, przykryta czerwonym chodnikiem - błysk pamięci i już wiedziałam, gdzie jestem. To była willa Kamila Nowaka nad Zalewem Zegrzyńskim. W tej samej chwili wielka, ciężka postać wysunęła się z ukrycia i postąpiła kilka kroków naprzód. Przede mną stał Kamil z bezwzględny, zimnym wyrazem w przymrużonych oczach.

- Gdzie jest poncho? - warknął i zmierzył mnie złym, mściwym spojrzeniem.

Przysunęłam się bliżej kominka i szybko schowałam za siebie torbę. Wtedy z mroku wysunęli się pozostali mężczyźni: Gerald Finch o niewinnej twarzy cherubina, ściągniętej grymasem wściekłości i ktoś, kogo nie spodziewałam się ujrzeć w tym zacnym gronie - Zygmunt Kolicki z „Radexu”. Otoczyli mnie zwartym szeregiem, czujni, napięci, gotowi rzucić się na mnie na pierwsze skinienie szefa.

Nowak wyciągnął w moim kierunku rękę: - No, dawaj poncho! Nie bądź głupia. Kazałem cię tu przywieźć, bo chcę ci dać ostatnią szansę, chociaż już dawno mógłbym was obie sprzątnąć! Jeżeli będziesz posłuszna, wyjedziemy jeszcze dzisiaj razem za granicę! Wszystko jest przygotowane, mam dla ciebie paszport, w przeciwnym razie - zginiecie!

- Nigdzie z tobą nie pojedę! - krzyknęłam, usiłując zapanować nad szcękającymi ze strachu zębami. - I uważaj, co ci powiem! Jeżeli nas stąd nie wypuścicie - zaraz zjawi się tu milicja! Już od dawna cię podejrzewałam i dlatego przed przyjazdem tutaj zostawiłam list u kogoś, komu ufam! Rozpieczętuje go, jeśli obie z Moniką nie znajdziemy się we własnym domu najdalej za półgodziny! Radzę więc ci natychmiast uwolnić Monikę, bo przymkną was wszystkich, i to na długo!

Oczywiście potężnie zablefowałam, plotąc, co mi ślina na język przyniosła, jednak moje śmiałe wystąpienie niespodziewanie zrobiło pewne wrażenie na bandziorach.

Obrzucili się wzajemnie zmieszanymi spojrzeniami, a Nowak przystąpił do mnie krok bliżej.

- Zapłacisz mi jeszcze za to - syknął z wściekłością w oczach. Zrozumiałam, że ten człowiek nienawidzi mnie z całej duszy i że nienawiść ta ukryta pod maską przyjaźni musiała wrzeć w nim, jak lava w wulkanie, od wielu lat. Tym niebezpieczniejsza więc była nasza sytuacja, jeżeli będzie chciał wyrzucić na mnie zemstę, kierowany osobistymi pobudkami. Chwilę ważył coś w myślach - wreszcie rzucił ze złością Kolickiemu:

- Przeprowadź tu tę smarkatą!

Minęło parę sekund, które wydawały się wiecznością. Było cicho - tylko słychać było trzask płonącego drzewa i

posapywanie Kamila. Miałam w pełni świadomość, że właśnie rozstrzygają się nasze losy. Kiedy otwały się drzwi i na progu ukazała się Monika, popychana przez Kolickiego, wszystko poza nią przestało mnie interesować. Była cała i zdrowa, i to było najważniejsze, a reszta nie liczyła się. Miała rozpuszczone włosy w nieładzie, bladą twarz i zapłakane oczy. Na widok Geralda odwróciła z odrazą głowę. Wyobrażałam sobie, co przeżywa i jakich uczuć doświadcza, patrząc na człowieka, który w tak nieszczęśliwy sposób zawiódł jej zaufanie.

- Nic się nie bój, Moniko, jestem przy tobie - powiedziałam głośno i z rozmachem cisnęłam torbę pod nogi Nowaka. Wolałam nie myśleć o tym, co nastąpi, kiedy się przekonam, że w środku nie ma poncha, ale wiedziałam, że będzie to coś strasznego i przerażającego. Czwórka oprawców, wyglądających jak dziwaczne monstra w czerwonym poblasku ognia, zakotłowała się nad torbą.

- Nie ma! - krzyknął Kolicki.

- Ty suko - powiedział wolno Nowak i uderzył mnie z całej siły w twarz łapskiem, które przez tyle lat budziło we mnie obrzydzenie. - Gdzie jest poncho? Jeżeli natychmiast nie powiesz, wykończymy was obydwie.

- U mnie w domu - wyjąkałam czując, że robi mi się niedobrze i że podłoga podejrzanie tańczy mi pod nogami.

W tej samej chwili stało się coś takiego, co w przybliżeniu można by określić jako wybuch wulkanu połączony z trzęsieniem ziemi, gdyż drzwi wejściowe otworzyły się nagle z hukiem, wysadzone od zewnątrz, wokół zagrzmiało i rozplomienilo się jak w piekle.

- Milicja! Rzucić broń i nie stawiać oporu! - rozległ się mocny, męski głos. Ktoś cisnął mną jak szmacianą lalką o podłogę. Kątem oka zobaczyłam Kamila, wyciągającego rewolwer z kieszeni. Ognie wystrzałów skrzyżowały się w powietrzu i jego wielkie ciało skoczyło do góry, wykonało kilka niezdarnych, spazmatycznych ruchów i nagle osunęło się bezwładnie.

„Wszyscy tu zginiemy” - pomyślałam z nienaturalną jak na taką sytuację trzeźwością. W pokoju rozgorzała walka niczym w

gangsterskim filmie. Mężczyźni zwarli się ze sobą w gmatwaninie zdławionych oddechów i uderzeń pięści. W ciągu kilku minut sytuacja się wyjaśniła, Gerald, brodacze i Kolicki zostali obezwładnieni i zakuci w kajdanki. Wyglądali nędznie z rozkrwawionymi nosami i wargami. W gęstwie mundurów nie mogłam dojrzeć Moniki i potworny strach o nią ścisnął mi gardło, powodując szereg nieskoordynowanych odruchów. Złapałam jakiegoś blondyna za rękę, szatynowi podstawiłam nogę, szarpnęłam, żeby mi zszedł z drogi i wtedy ją zobaczyłam. Klęczała przy ścianie i trzymała się za zwisające ramię, z którego spływała krew. Krzyknęłam przeraźliwie i chciałam ją podeprzeć, ale ktoś powstrzymał mnie od tego energicznie. Był to kapitan Żelech.

- Ona jest ranna. Za chwilę przyjedzie karetka i zabierze ją do szpitala. Niech się pani uspokoi, nic jej nie grozi, to tylko lekki postrzał. A teraz proszę się odsunąć. Pomiędzy dwoma milicjantami szła kobieta o bladej, wymiętej, nie umalowanej twarzy z potarganymi blond włosami, wśród których widniały ciemne pasma. Oczy miała spuszczone.

- Teresa - szepnęłam - jak ona się zmieniła.

Monika od dłuższego czasu wpatrywała się w biały sufit, rozciągający się nad jej łóżkiem szpitalnym. Przez kilka dni pozostawała w szoku pourazowym, obecnie bardzo szybko wracała do zdrowia. Ramię goiło się prawidłowo, tylko na razie czuła w sobie pustkę, jakby coś w niej załamało się, runęło i nie mogło wrócić do równowagi. Za oknem widać było skrawek nieba i gałęzie iglastego drzewa, które stało w pobliżu budynku. W ciągu tych dni przyzwyczała się obserwować ruchy gałązek i to ją najwięcej uspokajało.

Do pokoju zajrzał młody lekarz o pociągłej, ciemnej twarzy ozdobionej małym wąsikiem.

- Jak się pani czuje? - zapytał, podchodząc do łóżka i biorąc ją za puls.

- Chyba dobrze - pierwszy raz zauważyła, że doktorek okazuje jej większe zainteresowanie niż innym pacjentkom i że właściwie jest zupełnie przystojny.

- Jestem dzisiaj na dyżurze. Gdyby pani czegoś potrzebowała, to proszę - skinął głową i jakby w zażenowaniu wyskoczył z pokoju, potrącając niezgrabnie nogą stolik.

„Jaki on dziecinny - pomyślała z nagłym rozbawieniem.

- A ja się już śmieję, ja się umiem uśmiechać. Jednak człowiek jest twardszy od żelaza”.

W progu ukazała się młoda, zgrabna pielęgniarzka -siostra Bożena - i zbliżyła się z tajemniczą miną do Moniki.

- Ma pani wizytę. Co prawda w godzinach nieurzędowych, ale wyjątkowo zgodziłam się. Może doktor nie zauważy...

„Pewno znowu kapitan Żelech albo porucznik Broński”

- pomyślała, ale w tej samej chwili odczuła drgnięcie w okolicach serca, bo za siostrą Bożeną wsunął się nieśmiało młody człowiek z wielkim plastrem, zasłaniającym cały podbródek.

- Marek - podniosła się na łóżku, na próżno usiłując powstrzymać kompromitujący atak płaczu. - Ja ci kiedyś wszystko opowiem, ale teraz nie mam siły.

- Nic nie mów, chcę tylko na ciebie popatrzeć - powiedział Marek i rzucił jej na kółdrę bukietek stokrotek.

Rozdział XI

Drzwi do gabinetu Żelecha otworzyły się i kapitan uśmiechnął się do mnie przyjaźnie.

- Pani magister pozwoli, prosimy bardzo.

W pokoju, który przez ostatnie dwa tygodnie stał się częstym miejscem mojego pobytu, znajdował się jeszcze jeden mężczyzna w mundurze, odwrócony w tej chwili do nas tyłem i wyglądający przez okno.

- Chcieliśmy pani zakomunikować, że śledztwo w sprawie o kryptonimie „Poncho” zostało zakończone i podejrzani Teresa Kanisz-Mączarowska, Zygmunt Koliczki oraz inni działający w tej samej grupie będą odpowiadać przed Sądem Warszawskim Okręgu Wojskowego w Warszawie pod zarzutem przekazywania na rzecz wywiadów państw NATO informacji,

mających istotne znaczenie dla interesów i bezpieczeństwa naszego kraju. Wiemy, że w sposób niezamierzony wzięła pani udział w tej grze, w którą została pani podstępnie wciągnięta. Finał jej mógłby być dla pani tragiczny. Szczerze mówiąc była pani w wielkim niebezpieczeństwie. Należy przyznać, iż niejednokrotnie nie ułatwiała nam pani zadania, ale tłumaczymy to względami natury osobistej i dużym napięciem emocjonalnym. Mam wrażenie, panie majorze, że chciałby pan sam zaznajomić panią Czerską ze szczegółami tej sprawy.

Mężczyzna stojący przy oknie odwrócił się i skinął głową. Przede mną stał magister Andrzej Kozłowski, tym razem we wcieleniu majora Milicji Obywatelskiej.

- Pan dyrektor? - wyrwało mi się mimo woli.

Kozłowski uśmiechnął się z lekka.

- Wiedziałem, że będzie pani zaskoczona, spotykając mnie tutaj. Wiele spraw jest do wyjaśnienia. Nie chcę, aby pani pozostała w nieświadomości istotnych zdarzeń i faktów. Niewątpliwie orientuje się już pani, że przez kilka miesięcy ze względu na dobro śledztwa, które prowadziłem, grałem rolę dyrektora Działu Eksportu w „Radexie”. Jestem wprawdzie magistrzem prawa, ale mój zawód to praca w milicji i tym razem nie występuję w przebraniu.

Kapitan Żelech skinął głową i wyszedł z gabinetu, pozostawiając nas samych.

- Proszę, niech pani spocznie - major Kozłowski wskazał mi ręką krzesło, a sam usiadł za biurkiem. - Od dawna już różnymi kanałami docierały do nas wieści, że w „Radexie” źle się dzieje i cenne informacje o wadze państwowej przeciekają do obcych wywiadów. Pewne poszlaki narastały, ale trudno było na ich podstawie sporządzić akt oskarżenia przeciw konkretnym osobom. W każdym razie bezsporne było, że mieliśmy do czynienia ze sprawnie zorganizowaną i sprężystą działającą grupą przestępczą, której epicentrum znajdowało się na terenie zakładów. Osoba pani Kaniszowej mogła budzić liczne kontrowersje ze względu na specyficzny sposób bycia i życia, jednak jej działalność była tak świetnie zakamuflowana, że jakiegokolwiek wystąpienie przeciw niej na drogę prawną

pozbawione było podstaw, a poza tym przedwczesne posunięcia mogły spłoszyć przestępców i uniemożliwić wykrycie całej siatki szpiegowskiej. Eksplozja nastąpiła dopiero po tajemniczym zniknięciu Kaniszowej-Mączarowskiej, a udział pani córki w akcji - przypieczętował sprawę. A propos - panna Monika została dzisiaj wypisana ze szpitala i prawdopodobnie jest już w domu.

- Ach, tak - poderwałam się z miejsca. - Przepraszam, panie majorze, ale chciałabym jak najprędzej zobaczyć się z córką. Może więc kiedy indziej...

- Jaką czułą jest pani matką - powiedział niespodziewanie miękko Kozłowski - naturalnie, niech pani idzie, nie będę pani zatrzymywał. Nie wiem jednak, czy prędko będziemy mieli okazję do porozmawiania, gdyż w najbliższym czasie wracam do Wrocławia. Myślałem, że będzie pani chciała zapoznać się ze szczegółami tej dość zawilej afery kryminalnej, w której odegrała pani niepoślednią rolę, tym więcej że liczne jej aspekty musiały dla pani pozostać niezrozumiałe.

Spojrzałam w jego otwartą, przyjemną twarz zwróconą ku mnie z wyrazem przyjaznego zainteresowania, W mundurze, doskonale zresztą podkreślającym szczupłość sylwetki i harmonijną budowę ciała, wydawał mi się zupełnie innym, jakby nieznanym człowiekiem, nieco tajemniczym i fascynującym. Dziwna rzecz, ale w tej chwili zupełnie nie przypominał Łukasza. Nawet niewątpliwe podobieństwo rysów przestało dla mnie odgrywać jakąkolwiek rolę. Widocznie nareszcie wyzwoliłam się od prześladujących mnie zwidów przeszłości. Przedemną siedział przystojny mężczyzna w średnim wieku, major Milicji Obywatelskiej, który miał mi wiele do wyjaśnienia, a nie ucieleśniony duch, powołany do życia przez moją rozgorączkowaną wyobraźnię, który w swoim czasie przyprawił mnie o tyle stresów i zmagania wewnętrznych. Ciekawość była jednak silniejsza niż wszystkie inne porwy ducha i ciała.

- Zostaję - powiedziałam i opadłam na krzesło.

Major Kozłowski uprzejmie podał mi papierosa.

- Postaram się nie zabrać pani wiele czasu, wiem, że się pani

śpieszy, przejdę więc od razu do meritum sprawy. A więc, jak zapewne dobrze pani wiadomo, piękna Teresa Kaniszowa nie przebierała w środkach, mających na celu przysporzenie jej dochodów z najrozmaitszych źródeł.

Pracując w „Radexie” na stanowisku połączonym z częstymi delegacjami zagranicznymi na zachód Europy, nawiązała kontakt ze szpiegami przemysłowymi jednego z potężnych koncernów zachodnioniemieckich, który w szczególności zainteresowany był wynalazkiem inżyniera Suchniaka. Oczywiście kilkakrotnie już dostarczała im pewnych informacji, teraz jednak trafnie wyczuła, że spotyka ją tak zwana „życiowa okazja”. Ponieważ wynalazek otoczony był specjalną tajemnicą, postanowiła przeniknąć ją za pomocą czaru swojej kobiecości, którym jak dotąd skutecznie się posługiwała. Omotanie Suchniaka - mężczyzny pochłoniętego wyłącznie pracą naukową, a w dodatku o niezbyt szczęśliwie ułożonym życiu osobistym, nie przyszło jej z trudnością. Jako teren miłosnych schadzek wybrała zakład pracy, a ściślej mówiąc pracownię Suchniaka. Doszło do tego, że oszołomiony niespodziewanym wyróżnieniem i awansami Teresy Suchniak udostępnił jej klucz do swojej pracowni. Korzystając z tego Kaniszowa w czasie jego nieobecności sfotografowała cenne dokumenty. Teraz, mając je już w ręku, rozpoczęła przetarg o najwyższą cenę, jaką mogła z tej transakcji wyciągnąć, w tym samym bowiem czasie za pośrednictwem Kolickiego otrzymała ofertę od wywiadu amerykańskiego jeszcze korzystniejszą finansowo. Uprzednio jednak umówiła się z koncernem zachodnioniemieckim, że dostarczy osobiście jednemu ze szpiegów, którego zresztą nie знаła - mikrofilm, przy czym jako punkt kontaktowy wyznaczyła miejscowość Drużbę w Bułgarii, a jako znak rozpoznawczy - niebieskie, ekscentryczne poncho. Jednym słowem doręczycielką bezcennej przesyłki miała być platynowa blondynka, nosząca tego typu poncho, mieszkająca w hotelu „Rilla” jako uczestniczka wycieczki pracowników „Radexu”.

W tym samym czasie, kiedy grając na zwłokę przeprowadzała pertraktacje i ustalenia ze szpiegiem niemieckim w Warszawie, doszła już do porozumienia z Amerykanami, którzy oszołomili

ją zawrotnymi perspektywami na przyszłość. Zdecydowała się więc na podwójną i niebezpieczną grę. Wiedząc, że na polu współpracy z Niemcami jako ich agentka jest już spalona, postanowiła na swoje miejsce podsunąć inną osobę, przypominającą ją wyglądem zewnętrznym, jako ofiarę, a tą ofiarą miała być pani, Ido.

Kozłowski przerwał i przyjrzał mi się badawczo, jakby usiłując wyczytać z wyrazu mojej twarzy, jakie wrażenie wywarło na mnie to oświadczenie.

- Zastanawiałem się, dlaczego Kaniszowa tak pani nienawidziła, i zrozumiałem przyczynę. A czy pani się domyśla?

- Nie. Jej niechęć do siebie przyjmowałam jako coś oczywistego, normalnego, może czysto kobiecego. Ja też nie znosiłam jej organicznie, więc ta wzajemność mnie nie drażniła. Najważniejsze, że nigdy nie usiłowałam z nią rywalizować, dlatego dziwi mnie jej postępek.

- Ależ myli się pani. Pani była jej rywalką i to w najbardziej intymnej sferze uczuć, chodziło jej bowiem o Wiktora Mączyka vel Mączarowskiego, jedyne go mężczyznę, na którym jej naprawdę zależało. Mączarowski był kiedyś pani mężem, miała pani z nim dziecko. Co prawda nie brała pani od niego alimentów, nie utrzymywała kontaktu, ale być może on nie zapomniał nigdy o pani, co urażało jej ambicję i sprawiało, że nienawiść jej stale rosła.

Mimo woli uśmiechnęłam się do siebie. „Ach więc to tak, nieomylny majorze, sądzi pan, że Monika jest dzieckiem Mączarowskiego. Widocznie data urodzenia, wpisana do metryki przez Grzebieniową, utwierdziła pana w tym przekonaniu. Nie, nie będę tego prostować. Ostatecznie nie zależy mi na tym. Wymagałoby to wielu zbytecznych wyjaśnień, właściwie nikomu niepotrzebnych”.

Major Kozłowski niewiele wyczytał z moich myśli, gdyż kontynuował z kurtuazją: - Oczywiście nie można się było jej dziwić, że była o panią piekielnie zazdrosna. Zdawało się, że znalazła takie rozwiązanie, aby załatwić własną sprawę, a jednocześnie zemścić się na pani. Dużym ułatwieniem było, że

rysopis wasz w ogólnych zarysach się zgadzał, być może też Kaniszowa celowo upodabniała się do pani, aby tym skuteczniej zawładnąć Mączykiem. W każdym razie podstawiając panią na swoje miejsce odsuwała na dalszy plan niebezpieczeństwo zemsty ze strony Niemców, zawiedzionych w swoich oczekiwaniach, i zapewniała sobie swobodę działania. Pozostało tylko skusić panią perspektywą zagranicznej wycieczki, wspaniałego urlopu, okazać niespodziewaną łaskawość. Musiała pani być tym zaskoczona, prawda?

- Bardzo.

- No właśnie. Trudniej może było namówić panią do pożyczania osobistej garderoby, co było nieodzownym atrybutem powodzenia całej akcji. Ale magia zagranicznych strojów działa jednakowo na wszystkie kobiety na całej kuli ziemskiej, niezależnie od ich poziomu intelektualnego.

- Widzę, że nie ma pan, majorze, zbyt wysokiego wyobrażenia o naszej płci.

- Nieprawda. Upodobanie do eleganckich i niecodziennych kreacji uważam za normalny objaw kobiecości. Ale wracajmy do niestrudzonej Teresy, Poncho, które pani pożyczyła, nie było unikatem. Posiadała dwa identyczne egzemplarze. Jedno dała pani jako znak rozpoznawczy dla Niemców, w drugim zamierzała wyjechać do Holandii jako pracownik „Radexu”, przemycając ukryty w nim sprytnie mikrofilm. Z delegacji tej nie miała już zamiaru powrócić do Polski. Zaszycie mikrofilmu w poncho, przygotowanie rzeczy dla pani i inne techniczne sprawy powierzyła Mą-czykowi, który zresztą, jak pani wiadomo, dysponował znakomitym schowkiem w swojej willi na Urugwajskiej. Początkowo dziwiło nas, że tak szybko udało się pani uruchomić mechanizm do zamaskowanego pokoju, w którym znajdowały się zwłoki Mączyka. Normalnie nie byłoby to łatwe, ale mordercy, działając w pośpiechu, nie zamknęli schowka, pozostawiając butelkę, stanowiącą klucz do tego urządzenia, w położeniu, które zwróciło pani uwagę. Należy przyznać, że posiada pani wyostrzony zmysł obserwacyjny, co nieczęsto zdarza się u kobiet. Ale to tylko uwaga na marginesie. Związek Kaniszowej z Mą-czarowskim był znakomicie

zakonspirowany. Ślub wzięli na głębokiej prowincji, w jego rodzinnych stronach, i nikt nie podejrzewał, że są małżeństwem, co ułatwiało im współdziałanie. I nagle w ostatniej chwili, kiedy wszystko było zapięte na ostatni guzik - Teresa miała wyjechać, a jej godny małżonek miał wkrótce doszłusować do niej jako uczestnik wycieczki „Orbisu”, tej zacnej parze niespodziewanie przez głupi przypadek powinęła się noga. Przez omyłkę, a właściwie nieuwagę Mączyka, pani otrzymała poncho z wszytym w nie mikrofilmem, a drugie - bezwartościowe, pozostało w jego willi. Fakt ten był druzgoczącym ciosem dla Kaniszowej, a nadto spowodował konkretne dla niej niebezpieczeństwo. W żadnym razie nie mogła bez mikrofilmu zjawić się w Holandii, gdyż pobrała już wysoką zaliczkę w dolarach i agenci amerykańscy mieli na nią oczekiwać na lotnisku w Hadze, a oni w takich wypadkach nie zwykli żartować. W tej sytuacji nie mogła również wrócić do pracy, ponieważ jej niepojawienie się w Hadze zostało natychmiast zasygnalizowane. Postanowiła więc ukryć się w willi Mączyka do pani powrotu, o który przy takim obrocie sprawy na pewno wznosiła gorące modły, aby wszelkimi sposobami potem starać się o odzyskanie poncha, a następnie uciec za granicę przy pomocy swoich mocodawców. Podczas pani nieobecności Mączyk zarzucał sieci na Monikę, prawdopodobnie w roli stęsknionego ojca, aby będąc z nią w kontakcie mieć wstęp do waszego domu. Zdaje się, że mu się to po części powiodło.

- Monika istotnie była raz u niego na Urugwajskiej, ale od tej pory ani razu się z nim nie widziała.

- Być może. Tymczasem Kaniszowa znajdowała się w położeniu nie do pozazdroszczenia. Spaliła za sobą wszystkie mosty i nie miała powrotu do dawnego życia. Jednocześnie w „Radexie”, który od dłuższego czasu był pod naszą obserwacją, rozpoczęły się liczne kontrole i rewizje. Wiele spraw pozostających dotąd w ukryciu wyszło na jaw. Oczywiście Kaniszowa i osoby z nią związane zostały w pierwszym rządzie wzięte pod lupę jako najbardziej wyeksponowane na tym terenie. Sprawa doktora Suchniaka znalazła wówczas tak

tragiczny epilog.

- Czy Suchniak współpracował z Kaniszową?

- Nie, tak nie było. To był uczciwy i rzetelny człowiek. Świadomość, że padł ofiarą oszustwa kobiety, którą pokochał, dla której zrzucał całe swoje dotychczasowe życie, była dla niego nie do zniesienia. Jednocześnie zaciążyły na nim poważne zarzuty natury etyczno-zawodowej, którym nie umiał i nie chciał stawić czoła. Wówczas postanowił odejść z tego świata, a moralną sprawczynią jego śmierci jest Teresa Kaniszowa. Podczas gdy w „Radexie” toczyło się śledztwo, a pani tak pięknie opalała się na urlopie w Bułgarii, główna winowajczyni ukryta w schowku swego męża przeżywała najróżnorodniejsze stresy. Z jednej strony obawiała się zemsty Niemców, o ile by jej intryga z podstawieniem pani na jej miejsce spaliła na panewce, z drugiej - agenci amerykańscy w kraju, należący do rozpracowanej przez nas siatki, przypuścili generalny atak w celu zmuszenia jej do wydania mikrofilmu. Kryjówkę jej wytropił Nowak, szef amerykańskiej siatki szpiegowskiej w kraju, również i pani dobry znajomy. Trzeba przyznać, pani Ido, że jest pani niezwykle interesującą kobietą i ma pani bardzo niebezpiecznych wielbicieli.

- Nie wiem, czy mam to uznać za komplement?

- Raczej za żart. Przepraszam, jeśli panią uraziłem.

W każdym razie tylko Kamil Nowak wiedział o związku Teresy z Mączykiem, gdyż Kaniszowa w swoim czasie nieopatrznie powierzyła mu tę tajemnicę w związku z lokowaniem kapitałów na koncie Mączyka w jednym z banków zachodnich. On to właśnie działając za pośrednictwem swojej wtyczki w „Radexie” - Koliczkiego, zaproponował jej współpracę z Amerykanami. W związku z fiaskiem akcji Nowak postanowił wygzekwować od niej wykonanie podjętych zobowiązań, a przynajmniej zwrot zaliczki.

Przypuszczam, że interesuje panią przebieg wydarzeń w Bułgarii. Otóż w Družbie szpieg niemiecki zidentyfikował panią bardzo szybko. Nie znał osobiście Kaniszowej, a o ile nawet posiadał jej fotografię, to być może na zdjęciu celowo zostało wyeksponowane jej podobieństwo do pani. Jak mi wiadomo,

natarczywie zaczął doma'gac się sfinalizowania umowy. Na pewno był mocno zdziwiony i zaskoczony pani zachowaniem. Początkowo uważał je za kaprys, później sprawa zaczęła przybierać groźny dla pani obrót. Wydaje się, że pani uznała go za jeszcze jednego natrętnego wielbiciela, o którym nie warto było nawet wspominać. Tymczasem ów rzekomy adorator obserwował panią bezustannie, a nawet sądząc, że pani jest na dancingu, usiłował dostać się do pani pokoju hotelowego i zrewidować rzeczy.

- Rozumiem. To było wtedy w nocy.

- Nawet nie zdaje sobie pani sprawy, jak wielkie niebezpieczeństwo pani zagrażało, gdyby go pani złapała na gorącym uczynku. Na szczęście Niemiec uciekł spłoszony. Należy przypuszczać, że musiał zaraz wyjechać z Drużby, ale przekazał swemu następcy dyrektywy koncernu, a brzmiały one: „zlikwidować spaloną agentkę”. Znakiem rozpoznawczym oprócz rysopisu było oczywiście rzucające się w oczy kolorowe poncho. I znowu na pani szczęście, a na nieszczęście Marzeny Trudzik, nastąpiła jeszcze jedna pomyłka. Trzecia platynowa blondynka o niebieskich oczach, nosząca feralne poncho, została wciągnięta do fatalnej gry i to ona, głównie dzięki swej naiwności, zapłaciła życiem. Po powrocie pani do Warszawy pomiędzy członkami obu szajek rozgorzała walka o zdobycie mikrofilmu. Nowak, który wymusił na Kaniszowej informację, gdzie go ukryła, nie chciał z pewnych, osobistych zresztą względów, o których wolałbym nie mówić, zaatakować pani otwarcie. Najskuteczniejszy wydał mu się sposób działania za pośrednictwem pani córki - Moniki, która miała mu posłużyć za narzędzie. W tym celu Gerald Finch jako ofiara rzekomego chuligańskiego napadu dostał się do waszego domu, aby zawładnąć jej sercem i duszą, bardzo zresztą uwrażliwioną na perspektywy kariery artystycznej w Los Angeles. Gdyby nie pani zdecydowany opór, poncho zostałyby wyniesione z domu na jej dorodnych ramionach.

- Wydaje mi się, że aspiracje aktorskie są udziałem większości dziewcząt w jej wieku, niezależnie od posiadanego wykształcenia - ujęłam się za Moniką z odcieniem lekkiego

rozdrażnienia, które nie uszło uwagi Kozłowskiego. - Natomiast, o ile to nie jest zastrzeżone tajemnicą zawodową, bardzo jestem ciekawa, jak to się stało, że nie wykryliście mikrofilmu w poncho, mimo iż przez dłuższy czas było w waszym posiadaniu?

- Ależ tak, mogę to powiedzieć - major uśmiechnął się przyjaźnie. - Mikrofilm, który pani znalazła, zawierał krajobrazy parku Łazienkowskiego, prawdziwy został natychmiast ukryty i właściwie zabezpieczony. Zapewne zapyta pani, w jakim celu podłożyliśmy fałszywy mikrofilm? Przed wszystkim na wypadek, gdyby poncho istotnie dostało się w ręce wroga, czego nie można było wykluczyć, byłoby to przyczynkiem do wywołania wewnętrznych tarć i rozgrywek wewnątrz siatki, a na tym nam zależało. Poza tym przy okazji pani została skreślona z listy podejrzanych po dłuższym oczekiwaniu na pani reakcję i pilnej obserwacji. Obserwacja ta wykazała jednak, że oprócz kilku randek, w tym z pewnym cenionym naukowcem, nie ma pani na swoim koncie nic obciążającego, wobec czego została pani otoczona specjalną opieką, ze względu na szczególne zagrożenie jej osoby.

- Czy mam przez to rozumieć, że ustawicznie deptający mi po piętach tajemniczy osobnicy byli to przedstawiciele rodzimej Milicji Obywatelskiej?

- Niezupełnie. Nasze służby pracują nieco dyskretniej. Raczej efektami zastraszenia usiłowali działać na pani psychikę goryle Nowaka, którzy zależnie od przebiegu sprawy mieli wkrótce przystąpić do frontalnego ataku.

- A ci hydraulicy, których przegoniła ciotka Barbara?

- Jacy hydraulicy? - zainteresował się major. - Nic mi o tym nie wiadomo.

- O Boże! - jęknęłam.-Nie mogę się już więcej pokazać w administracji. Ale to głupstwo. Czy może mi pan jeszcze coś powiedzieć o Nowaku? W jaki sposób mógł się przez tak długie lata maskować? Wydawał się być zawsze uosobieniem dobroci i prostolinijności.

- Karriil Nowak prawdopodobnie został zwerbowany do współpracy z wywiadem w czasie pobytu w Ameryce, gdzie

załatwiał sprawy spadkowe po zmarłym stryju. Spadek okazał się widać niewielki, a w każdym razie nieproporcjonalny do jego zachłanności i chciwości na pieniądze, którymi chciał zrekompensować wszystkie doznane porażki. Okazało się, że miał niepośledni talent do tego rodzaju haniebnego rzemiosła. W jego willi-bungalowie nad Zalemem mieściła się dobrze zakonspirowana filia centrali siatki.

- Jeszcze jedno. Zdaję sobie sprawę, że Monika została porwana w celach szantażu i wymuszenia na mnie zwrotu poncha, 'ale nie rozumiem, dlaczego uprowadzono Kani-szową i zamordowano Mączyka?

- Odpowiedź na to nie jest trudna. Nowak od dawna podejrzewał Mączyka o działanie na własną rękę. Wiedział, że w przystępie determinacji mógł wysypać całą siatkę. Sytuacja Mączyka rzeczywiście była nie do pozazdroszczenia. Z jednej strony był naciskany przez grupę Nowaka, z drugiej - do skóry dobrali mu się Niemcy, żądający wykonania umowy. Tymczasem mocodawcy Nowaka grozili całkowitym cofnięciem subsydiów finansowych i odstąpieniem od transakcji wobec zwłoki w wykonaniu zadania. Wtedy Nowak postanowił działać radykalnie. Przede wszystkim pozbył się bez skrupułów niepewnego Mączyka, którego uważał za sprzedawczyka i zdrajcę, a następnie zabrał Kaniszową do swojej willi. Praktycznie od chwili wyciągnięcia od niej informacji o miejscu przechowywania mikrofilmu osoba jej nie przedstawiała już dla siatki żadnej wartości i los jej był raczej przesądzony, jednak zdecydował się użyć ją do rozgrywki z panią o wymuszenie zwrotu poncha. W tym miejscu moglibyśmy mieć do pani dużą pretensję o brak zaufania i podejmowania kroków na własną rękę bez porozumienia z nami, ale usprawiedliwia panią zaangażowanie uczuciowe związane z osobą córki, która nawiasem mówiąc, posiada wyjątkową umiejętność wplątywania się w niebezpieczne konflikty.

Zauważyłam, że major już nie po raz pierwszy rzucił niemiłe uwagi pod adresem Moniki. Chciałam coś na ten temat powiedzieć, ale postanowiłam przejść nad tym do porządku dziennego. Niech nie myśli w końcu, że jestem zaślepioną

matką i nie potrafię obiektywnie oceniać jej postępów.

- A w jaki sposób dowiedzieliście się, że jestem w willi Nowaka?

- Bardzo łatwo. Pani telefon był cały czas na podsłuchu. Rozmowa z Kaniszową nie pozwoliła wprowadzić na ścisłe określenie miejsca jej pobytu, gdyż prowadzona była z budki telefonicznej, postawiła jednak nasz aparat w ostrym pogotowiu.

- Niech mi pan jeszcze powie, majorze, czy pana pobyt w Bułgarii miał charakter turystyczny, czy służbowy?

- Na to pytanie mógłbym nie odpowiedzieć, ale skoro panią to interesuje... Wyłącznie służbowy. Byłem w stałym kontakcie z milicją bułgarską i przekazywałem jej wszystkie swoje obserwacje. Dlatego też przesłuchanie pani w Warnie miało charakter raczej formalny i być może sugerowało, że zabójstwo Trudzikówny było aktem zemsty ze strony zawiedzionego adoratora... Oczywiście wówczas jeszcze sprawa poncha i roli, jaką odegrało - nie była nam znana.

- Bardzo dziękuję, panie majorze, za tak wyczerpujące informacje. Myślę, że teraz mi się uda jakoś przyjść do siebie.

- Szczerze pani tego życzę - major podniósł się z krzesła i z ujmującym uśmiechem wyciągnął do mnie rękę. Człowiek, którego przez długi czas uważałam za zmartwychwstałego Łukasza, odchodził raz na zawsze z mego życia.

- Mam wobec pana dług wdzięczności - dopomógł mi pan w mojej karierze urzędniczej. Dzięki panu awansowałam.

- Uważałam, że pani na to zasługuje i że dzieje się pani krzywda. Nie mówmy o tym. I ja również dziękuję za miłą współpracę.

- I jeszcze jedno - Kozłowski przez krótką chwilę przytrzymał moją rękę i wzmocnił uścisk. - Być może wkrótce przeniosę się na stałe do Warszawy. Czy będzie wielką niezręcznością z mojej strony, jeśli zaproszę się wtedy do pani na filiżankę kawy?

Rozdział XII

Jestem zupełnie sama w mieszkaniu. Monika wyjechała pod Warszawę do jedynej swojej bliskiej koleżanki, gdzie może robić, co jej się podoba, i gdzie nikt niczego nie będzie jej miał za złe. Uważam, że dobrze zrobiła. Powinna na pewien czas odciąć się od wszystkiego, zastanowić się nad sobą, a przede wszystkim okrzepnąć w otoczeniu, które najbardziej jej odpowiada. W naszym domu jest teraz cicho, miło i przytulnie, tak jak kiedyś, zanim zaczęła się ta cała przekłeta historia. Znowu jest mi tu dobrze, znowu mi się tu wszystko podoba. Słońce zagląda przez białe firanki, skrytykowane przez ciotkę z Rzeszowa, a według mnie gustowne i estetyczne, goździki, które przyniósł Monice przed odjazdem Marek, czerwienią się w szklanym wazonie, zegar monotonnie cyka, na meblach powoli osiada kurz. Jest mi dziwnie lekko i spokojnie na duszy, jakbym pozbyła się ciężaru, który paraliżował moją wolę i przytłaczał od wielu lat nie pozwalając normalnie żyć. Nie potrzebuję się już nikogo i niczego obawiać, jak to się mówi urzędowo - „sprawdziłam się” na samodzielnym, kierowniczym stanowisku ku chwale swojej i potomności. I nie c/.i'kam już na Łukasza. Wiem, że nigdy nie wróci, i mogę myśleć o tym zupełnie spokojnie. Odwrotnie, często śmieję się sama z siebie, z tego, że w swojej egzaltacji mogłam uznać za niego majora Kozłowskiego. Kto wie jednak, czy moja pamięć o przeszłości, moja wiara w słowa powstańczego wiersza Łukasza nie odegrała jakiejś roli zasadniczej w splocie tych wydarzeń, nie uczuliła mnie na pewne sytuacje, nie pozwoliła mi zachować się tak w decydujących momentach, jak to właśnie uczyniłam? I nawet jeśli sprowokowałam pewne zainteresowanie majora moją osobą (nie mógł tego nie zauważyć, że w swoim czasie wpatrywałam się w niego jak sroka w gnat), to czy nasza obopólna, sympatia nie jest wynikiem jakichś niewytłumaczalnych fluidów? Tfu, zaczynam wierzyć w czary, a to niedobrze, widocznie się starzeję, choć wyraźnie przeczą temu zupełnie inne objawy: na przykład miałabym ochotę pójść gdzieś dzisiaj potańczyć (wyobrażam sobie, jakby się z tego

ucieszyła Monika) i być może zadzwonię nawet do docenta Kruszkó, który rzekomo czeka niecierpliwie na wiadomość ode mnie od kilku miesięcy. A jednak musiałam się odmienić za pomocą jakiejś różdżki, choć naprawdę nie wiem, jak długo potrwa ten szaleńczy nastrój i czy wkrótce już nieodwołalnie nie zmienię się z powrotem w zahukaną kurę domową. W każdym razie, gdyby jakimś nadzwyczajnym trafem, który na pewno nie będzie miał miejsca, zjawił się dzisiaj u mnie major Kozłowski, z chęcią zabawiłabym się w czarownicę: zaparzyłabym mu kawę czarną jak piekło i dosypałabym do niej lubczyku.

zł 110,-